

3 MARZEC 1939 R.



RODZINA
POLSKA



C 45148

Po zgonie Wielkiego Papieża
 Dr M. NAŁĘCZ-DOBROWOLSKI: Królowa Ja...
 JANUSZ T. KOZIŃSKI: Potęga wielkiego plen...
 LUDOMIR RUBACH: Po pijącej Ojczyźnie ..
 Ks. Dr IGNACY OLSZEWSKI: O polskie usta...
 małżeńskie
 Dom Polaków z Zagranicy w Warszawie
 ANNA DRWIĘŻANKA: Mistyka głosu
 WŁ. BARANOWSKI: Na skrzydłach „Lotu” do O...
 M. FILIPOWICZ-WOJCIECHOWSKA: Mogiła...
 Jeniseju

124 Kącik dla dzieci

ERY JANKOWSKI: Kocia za kulisami . 126
 LEŚNODORSKI: Szlakiem opowiadań bi- 130

 L.: Podwarszawska Palestyna 133
 dszą siostrą 136
 Ze spraw rodziny, Z piśmiennictwa, Z tea-
 Muzyka, Plastyka, Ze świata radia ... 137 — 144
 PARSKI: Elektrohomeopatia (c. d.). 145
 146 — 150
 151

MARIAN JÓZEFOWICZ

VERITAS VINCIT

*Piłat umył ręce...
 Męce
 poddano Tego,
 który jednego
 słowa nie rzekł na usprawiedliwienie.
 Golgota. — Ostatnie tchnienie
 i Pan skonał...
 Potem dokonał
 się cud wielki:
 wszelki
 lud odkupion!
 To plon
 śmierci Pana, plon Prawdy.
 A gdy
 już potem poszły apostoły
 w świat, kościoły
 Pańskie budować,
 by oną Prawdę hodować
 i roznieść w ludy to,
 co
 Chrystus w swojej dokonał mądrości
 dla ludzkości
 odkupieniu —
 męki, cierpienia*

*dla tych przeznaczono,
 co ono
 Słowo Prawdy i Miłości —
 ludzkości
 wieścili.
 A byli
 pośród nich dwa męże spiżowi:
 Piotr i Paweł — słudzy Chrystusowi.
 I oto opoka Piotrowa —
 opoka słowa,
 trwa
 wieki i wieki trwać będzie jako Prawdy
 [dzieło.*

*Minęła
 jako dym cesarów potęga...
 A Krzyż? Krzyż sięga
 swoimi ramiony
 na wszystkie kraje, ludy i plemiona
 i wszędzie,
 gdzie był, jest i będzie
 człowiek!
 Wiek
 za wiekiem przejdą, jak fala po fali!...
 Świat się zawali —*

*być może!
 Lecz ciebie nic nie zmoże, o Chryste,
 za to czyste
 serce, za męki, cierpienia,
 za pragnienie
 na Krzyżu w czas skwaru straszego.
 I dlatego
 Jeszcze, żeś czysty Baranek,
 jako poranek
 rodzącej się wiosny.
 I za to, żeś radosny
 swe ostatnie tchnienie
 oddał za zbawienie
 męce, Prawdy Głoscielu.
 O Chryste! Zbawicielu! —
 opoki Twojej żadna moc nie skruszy,
 nie poruszy
 Krzyża, Twojej męki symbolu
 i bólu,
 jakiegoś doznał za nas.
 Ni czas,
 ni potęga żadna, ni moc czarta-węża
 Twojej świętej Prawdy nie wzruszy:
 Bo prawda zwycięża!*

OFIARNOŚĆ NA POMOC ZIMOWĄ W CYFRACH

Niechybnie zainteresują nas cyfrowe dane, ilustrujące rozmiary Pomocy Zimowej, tzn. ilość rodzin i dzieci objętych pomocą, wydatki z tym związane, suma zebranych ofiar itp.

Mamy przed sobą sprawozdanie cyfrowe za grudzień ub. r. Wynika z niego, że w miesiącu tym pomoc zimowa objęła 208.522 rodziny, czyli około 834 tys. osób (licząc przeciętnie po 4 osoby na rodzinę). Niezależnie od tego, dożywiono w szkołach i przedszkolach 548.626 dzieci bezrobotnych rodziców. Wydatki na ten cel wyniosły 3.562.043 zł na dorosłych i 1.133.347 zł na dzieci, co czyni razem 4.695.390 zł.

Wpływy ze świadczeń w tym samym okresie dały 3.649.622 zł w gotówce, w naturaliach zaś 1.163 ton zboża i 6.273 ton ziemniaków.

Odrębną i niezależną pozycję w rubryce wpływów stanowią grudniowa zbiórka uliczna, przeprowadzona w całej Polsce pod hasłem „Gwiazdka dla dzieci”. Dała ona ogółem 673.012 zł. Jest to kwota, jak na nasze stosunki, rekordowa, żadna bowiem zbiórka w Polsce nie dała dotychczas tak wysokiego rezultatu. Nawet w porównaniu z identyczną zbiórką w r. 1937 kwota ta wzrosła o przeszło 40%. Daje to przeszło 2 gr na głowę obywatela, gdy w roku 1937 — tylko 1,1 gr.

Mimo to jednakże już z pobieżnego rzutu oka widać, że wydatki w grudniu przewyższyły wpływy. W następnych miesiącach wydatki te będą wzrastać w bardzo szybkim tempie. Dziś więc już dochodzi potrzeba zaapelowania do społeczeństwa, by ofiary swe składało jak najszybciej, nie zaś dopiero w ostatniej chwili. Ułatwi to w znacznej mierze stałą i normalną akcję rozdzielczą Komitetów Pomocy Zimowej.

Ważnym również czynnikiem, który wpłynie na wzmoczenie wpływów, jest upowszechnienie świadczeń.

Aczkolwiek ta powszechność wzmogła się znacznie, nie osiągnęła jednak jeszcze swojego maksimum — i dzisiaj mamy jeszcze całe masy osób, które ustosunkowują się do akcji pomocy bezrobotnym biernie, lub wprost negatywnie, mimo, że ich warunki materialne nie usprawiedliwiają tego.

A przecież bezrobotni nie żądają jałmużny. Oni chcą pracy i pracę tę Pomoc Zimowa dostarcza im nawet w okresach najgorszych warunków atmosferycznych. Świadczy o tym ilość 397.593 robotnikodniówek, pracodawanych w grudniu przez klientów Pomocy Zimowej.

Niech więc każdy obywatel polski złoży swój grosz na Pomoc Zimową, a zapewni tym pracę dorosłym i pomoc biednym dzieciom.

RODZINA POLSKA



MIEŚCZNIK
ILUSTROWANY



ROK XIII. WARSZAWA, MARZEC 1939



PO ZGONIE WIELKIEGO PAPIEŻA

I. Charakterystyka działalności.

W całym świecie niezwykle silnym echem odbiła się bolesna wiadomość o śmierci papieża Piusa XI. Nie tylko katolicy — ale dosłownie opinia całego świata została żywo poruszona faktem odejścia do wieczności tego, który był nie tylko zwierzchnikiem organizacji kościelnej, ale i obrońcą ogólnoludzkiej kultury duchowej, zagrożonej przez tych, którzy w imię materialnych interesów jednej klasy czy jednej rasy chcieliby zniszczyć to wszystko, co przez długie wieki mozolnych wysiłków i heroicznych ofiar stworzył duch ludzki. Tylko w świetle tego faktu zrozumieć można dlaczego w całym świecie, w najrozmaitszych środowiskach kulturalnych i politycznych spotykamy się z głębokim hołdem i szacunkiem dla Wielkiego Zmarłego. Wybitna jego inteligencja i czułe serce żywy brały udział w tym wszystkim, co ludzkość dzisiaj dręczy i niepokoi. Nie uląkł się nigdy przemocy fizycznej — nie wahał się narażać, gdy szło o wielkie dobra moralne, których miał bronić. Zainteresowania jego były bardzo wszechstronne. Nie ma chyba dziedziny życia religijnego czy kulturalnego, której by nie poruszał w swych wystąpieniach publicznych. W każdej dziedzinie rzucał wskazówki, hasła i nakazy, świadczące o głębokim zrozumieniu i dzisiejszego świata, i odwiecznej Ewangelii Chrystusowej, którą głosił temu światu zmaterializowanemu i rozdartemu zaciekłymi walkami klas i narodów. „Pax Christi in Regno Christi” — Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowym — oto hasło naczelne jego pontyfikatu. I za ten pokój ofiarował Bogu swe życie.

Okrutnej a bezskutecznej walce klas o wyzwolenie proletariatu przeciwstawił wielki plan chrześcijańskiej reformy społecznej, opartej na sprawiedliwości i miłości. Wiedział, że wyzwolenie proletariatu wymaga konstruktywnej, pozytywnej pracy a nie krwawej rewolucji, niszczącej dorobek wieków, a wreszcie mordującej swe własne dzieci głodem i mieczem. Na prześladowania bolszewickie odpowiedział wysłaniem do Rosji misji charytatywnej, mającej ratować tysiące dzieci przed śmiercią głodową.

Upadkowi rodziny przeciwdziałał tak przez encykliki o małżeństwie i wychowaniu młodzieży, jak i przez wprowadzenie do chrześcijańskiego ustawodawstwa społecznego obowiązku specjalnego „wynagrodzenia rodzinnego”, mającego na celu stworzenie należytych materialnych warunków dla rodzin i przywrócenie matki ognisku domowemu.

W dziedzinie politycznej — śp. Pius XI jest twórcą nowego państwa kościelnego i słynnego pojednania z rządem włoskim, które zakończyło przykry zatarg powstały po wcieleniu dawnego państwa kościelnego do zjednoczonego królestwa włoskiego. Całym szeregiem nowych konkordatów uregulował stosunek Kościoła do państwa w nowej Europie powojennej.

W dziedzinie czysto religijnej — rozbudował ogromnie misje katolickie, kierując je na nowe tory przez stworzenie tubylczej, narodowej hierarchii kościelnej w Chinach, Japonii i w miarę możliwości w innych krajach misyjnych. Pomimo ciężkich klęsk poniesionych przez okrutne prześladowania w Rosji, Meksyku, Hiszpanii Kościół kierowany wprawną ręką swego Wielkiego Sternika nie tylko nie zachwiał się, ale jaśnieje nowym blaskiem ogólnego, widocznego odrodzenia życia religij-

nego — czego zewnętrznym wyrazem jest stworzona przez śp. Piusa XI Akcja Katolicka. Wbrew przepowiedniom fałszywych proroków materializmu, Kościół w powojennej Europie nie tylko nie podupadł, ale wyraźnie wzrósł na siłach. Jest w tym bezsprzecznie dużo zasługi cnotliwego i utalentowanego Sternika Piusa XI.

II. Szkic biograficzny.

Ojciec św. Pius XI, przed powołaniem na Stolicę Apostolską Achilles Ambroży Damian Ratti, urodził się 31 maja 1857 r. w niewielkim lombardzkim miasteczku Desio, niedaleko Mediolanu, z ojca Franciszka, kierownika małej miejscowej przędzalni, i matki Teresy z domu Galli. Początkowe nauki pobierał u przyjaciela swych rodziców, ks. Józefa Volontieri, następnie w małym seminarium św. Piotra męczennika, seminarium w Monza, wreszcie w kolegium św. Karola Boromeusza w Mediolanie. Atmosfera domu rodzinnego, wpływ pobożnego stryja, oraz osobiste skłonności zdecydowały o powołaniu kapłańskim młodego Achillesa Ratti. Wstępuje do wyższego seminarium w Mediolanie i w r. 1879 otrzymuje tam święcenia diakonatu. Ówczesny arcybiskup Mediolanu, Alojzy di Calabrana, oceniwszy słusznie wielką pobożność młodego kleryka i jego gorące zamiłowanie do nauki, wysłał Achillesa Rattiego na dalsze studia w Kolegium Lombardzkim przy uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. W dniu 20 grudnia 1879 r. obecny Papież otrzymuje w Bazylice Laterańskiej święcenia kapłańskie i pierwszą Mszę św. odprawia u grobu św. Piotra, a potem w celi św. Stanisława Kostki. Po studiach w Gregorianum uzyskuje ks. Achilles Ratti potrójny doktorat: teologii, filozofii i prawa kanonicznego, poczem powraca do archidiecezji mediolańskiej, gdzie pracuje przez lat trzydzieści. Mianowany z razu wikariuszem skromnej parafii Barni, już po kilku miesiącach powołany zostaje na profesora seminarium wyższego w Mediolanie. Zwrócił tu na siebie, dzięki swej wielkiej sumienności naukowej, uwagę ówczesnego prefekta Biblioteki Ambroziańskiej, mons. Corianiego, który w r. 1888 włączył ks. Rattiego do tzw. „kolegium doktorów” wspomnianej Biblioteki. Tu, jako rezultat swych prac archiwalnych, ogłasza ks. dr Ratti wielkie czterotomowe dzieło „Acta Ecclesiae Mediolanensis”, przeszło 60 zwięzłych, lecz treściwych monografij, dotyczących dziejów Biblioteki Ambroziańskiej, liturgii ambroziańskiej, historii archidiecezji mediolańskiej i św. Karola Boromeusza. Odbywa liczne podróże, zwiedza biblioteki Rzymu, Paryża, Wiednia i Londynu, nawiązuje kontakt ściślejszy z wielu archiwistami całego świata. Praca bibliotekarska i naukowa nie pochłania wyłącznie ks. Rattiego. Jest on przede wszystkim i nadal kapłanem-duszpasterzem. Był kapelanem i kierownikiem duchownym zakładu „Cenacolo”, urządzał rekolekcje, organizował wykłady katechetyczne dla dzieci przystępujących do I Komunii św., zakładał stowarzyszenia o podkładzie religijnym, jak np. katolicki związek nauczycielek. Jedynie podczas wakacyj odrywał się od zwykłego ciężkiego i wyczerpującego trybu życia. Miłośnik przyrody, spędzał je najczęściej w Alpach, wspinając się na niedostępne szczyty, by tam w pobożnym podziwiewie szeptać: „Benedicite, glacies et nives, Domino”. Zdobywając w roku 1889 szczyt Dufour góry Monte Rosa, uzyskał sławę

wybitnego alpinisty, co poparł jeszcze wydaniem „Scritti Alpinistici”.

W r. 1907 ks. dr Ratti, wówczas już prałat J. Św., zostaje po śmierci Corianiego prefektem Ambrozjany, na którym to stanowisku pozostaje do r. 1911 ogłaszając cały szereg poważnych prac naukowych. Opuścił je na wezwanie Piusa X, który powołał go do Rzymu na stanowisko wiceprefekta, a później prefekta Biblioteki Watykańskiej. W r. 1918 Benedykt XV z uczonego mons. Rattiego czyni dyplomatę, powierzając mu najpierw misję Wizytatora Apostolskiego, a następnie pierwszego Nuncjusza w odrodzonej Polsce. Już jako nuncjusz i arcybiskup Lepanto, ma do spełnienia trudne i niewdzięczne zadanie Wysokiego Komisarza Papieskiego dla terenów plebiscytowych Górnego Śląska.

Na pierwsze lata nuncjatury ks. arcybiskupa Rattiego w Polsce przypadły zbrojne zmagania się odrodzonego państwa polskiego z najazdem bolszewickim. Nuncjusz papieski pozostawał w tym okresie w najbliższym kontakcie z naczelnikiem państwa i naczelnym wodzem J. Piłsudskim. Żywo odczuwał troski i potrzeby kraju walczącego o swą niepodległość i granice. W ciężkim okresie bojów pod Warszawą dał przykład całemu korpusowi dyplomatycznemu, oświadczając, iż nie opuści stolicy państwa, w którym jest akredytowany. Stanowisko nuncjusza Rattiego w tym okresie, zarówno jak i jego postawa w czasie, gdy był wizytatorem apostolskim w Polsce podczas okupacji niemieckiej, pozostały we wdzięcznej pamięci narodu polskiego.

Z lat tych datuje się początek szczerzej i dozgonniej przyjaźni, jaką Wielki Papież darzył nasz naród i której często dawał wyraz w swych przemówieniach i czynach.

„Jestem przyjacielem Polski — mówił kiedyś do księdza pośła Kotuli. — Gotów jestem tu całe życie pozostać, a nawet nic nie miałbym przeciw temu, aby na waszej ziemi złożono kości i prochy moje. Ukochałem waszą piękną ojczyznę, z racji Polski zostałem biskupem, w Polsce zostałem konsekrowany na biskupa przez biskupów polskich... Ja jestem właściwie biskupem polskim”.

I rzeczywiście, jak polski biskup zwiedził niemal całą Polskę, modlił się na Jasnej Górze, na śniegu kłęząc w Wilnie przed Ostrą Bramą, poznał wieś polską, męczeńskie Podlasie, Chełmszczyznę... Zwiedzał szpitale, przytułki, w szczególności troszcząc się losem ubogiej dziatwy. W Warszawie objeżdżał zatułki Woli, Powiśla i Ochoty, cieszył się widokiem dziatwy, tulił ją do siebie, przemawiał czule, a w nuncjaturze zawsze znajdował dość czasu, by nikomu nie odmówić audiencji.

Kiedy z woli Opatrzności powołany został na Stolicę Piotrową, zaraz po swym obiorze zwrócił się do obecnych kardynałów polskich: „W osobach waszych widzę i pozdrawiam Polskę, błogosławię jej i proszę jej synów, aby się za mnie modlili... Powiedzcie Polakom, że kochałem i nadal kochać będę drogą Polskę, za którą nigdy modlić się nie przestanę”. Nie zapominał o Polsce Pius XI i ostatnio, gdy mimo cierpień fizycznych z powodu choroby i ciężkich bólów moralnych, jakie mu sprawiała troska o los Kościoła w Hiszpanii, Rosji, Meksyku, Niemczech, nowemu Nuncjuszowi w Polsce, arcybiskupowi Cortesiemu, mówi o swej miłości dla naszego kraju i polecając mu przynieść nam Jego apostolskie błogosławieństwo kazał zapewnić, że Polska w sercu Jego zajmuje i zajmowała zawsze miejsce uprzywilejowane.

Ostatnim dowodem serdecznego stosunku śp. Piusa XI do naszego narodu była dokonana na Wielkanoc 1938 r.

uroczysta kanonizacja św. Andrzeja Boboli, Patrona Polski, oraz przekazanie jego relikwii m. st. Warszawie.

19 kwietnia 1921 r. ks. Achilles Ratti otrzymał godność arcybiskupa Mediolanu. 4 czerwca tegoż roku opuścił Warszawę, a w 12 dni później został mianowany kardynałem.

W dn. 6 lutego 1922 r. kardynał Ratti został wybrany przez conclave Papieżem, jako następca Papieża Benedykta XV, przyjmując imię Piusa XI.

Dziełem historycznym, dokonany przez Papieża Piusa XI, było zakończenie sporu Watykanu z Kwirynałem, znanego pod nazwą „kwestii rzymskiej”. Rozpoczęte w parę lat po objęciu tronu papieskiego przez Piusa XI rokowania z szefem rządu włoskiego Mussolinim doprowadziły do zawarcia 11 lutego 1929 r. układu znanego pod nazwą „układów laterańskich”, których ratyfikacja nastąpiła 7 czerwca 1929 r. Układy te położyły kres stanowi rzeczy, powstałemu w r. 1870, kiedy wojska państwa włoskiego wkroczyły na terytorium państwa kościelnego, włączając Rzym do zjednoczonego królestwa Włoch.

W umowie z dn. 11 lutego 1929 r. Włochy uznały państwo watykańskie pod suwerennością Papieża, przywracając w ten sposób historyczne państwo kościelne.

Państwo watykańskie uzyskało własną walutę, własną pocztę, a nawet małą odnogę własnej linii kolejowej.

Państwo to obejmuje wprawdzie minimalne terytorium 44 hektarów częściowo zajętych przez olbrzymie budowle, jak Bazylika Św. Piotra, Pałac Watykański, muzea pełne bezcennych skarbów sztuki starożytnej, gmach gubernatoratu i inne mniejsze, jak radiostacja, dworzec kolejowy, obserwatorium astronomiczne, częściowo zaś przez słynne, choć niezbyt rozległe ogrody watykańskie. Pomimo to posiada zupełną suwerenność i politycznie od nikogo nie zależy. Mimo swej małości jest wielkie wielkością tej władzy, której służy jako ziemską siedziba.

Pontyfikat zmarłego Papieża nie należał do łatwych. Bolesne krzywdy wyrządzane Kościołowi raz po raz raniły serce Ojca św. Wyczerpująca, ustawiczna walka z coraz to nowymi zakusami na prawa Kościoła, na prawa Boskie i ogólnoludzkie niszczyła jego zdrowie więcej niż podeszły wiek.

W grudniu 1936 r. Ojciec św. ciężko zaniemógł. Choroba trwała długie miesiące. Lecz mimo cierpień Pius XI nie przerywał niemal swej pracy. I cudem zaiste powrócił do zdrowia.

Pracował do ostatnich chwil swego życia, przezwyciężając dolegliwości sędziwego wieku. Zgasł po nowiej krótkiej chorobie, po 17 latach rządów Kościołem św.

Historia zaliczy Go na pewno do rzędu najwybitniejszych następców św. Piotra.

III. Pius XI w Warszawie.

Warszawa jest na zawsze związana z życiem zmarłego Papieża Piusa XI.

Tu w jej murach Ojciec św. nie tylko przebywał czas dłuższy jako nuncjusz apostolski, nie tylko przeżył trudne chwile bohaterskiej obrony Warszawy w 1920 r., kiedy Polsce groził potop bolszewicki, ale w warszawskiej głównej świątyni, w Katedrze Św. Jana, otrzymał sakrę biskupią.

Oprócz kościołka kamedułów na Bielanach, gdzie zachowała się cela rekolekcyjna Ojca św., najpiękniejsze

muzeum pamiątek po zgasłym Papieżu — stanowi mieszkanie pierwszego nuncjusza apostolskiego w odrodzonej Polsce. Znajdowało się ono w domu parafialnym przy ul. Książęcej 21 w Warszawie.

Nie wiele się od tego czasu zmieniło w tej czerwonej kamienicy, tylko chyba to, że na frontonie wmurowano płytę kamienną, na której złoci się napis pamiątkowy:

**PIUS XI PAPIEŻ
MIESZKAŁ W TYM DOMU
JAKO PIERWSZY
NUNCJUSZ APOSTOLSKI
W POLSCE ODRODZONEJ.**

Zaszczytny to napis dla parafii św. Aleksandra w Warszawie, ale mimo swej zwięzłości wypowiedający całą symfonię uczuć miłosnych wszystkich serc polskich, dla Ojca św., którego znów z powodu szczególniejszej życzliwości dla Polaków — nazwano „polskim Papieżem”.

Tego wyjątkowego muzeum papieskiego w Warszawie jakby honorowym kustoszem jest sędziwy ksiądz prałat Brzeziewicz.

Już przy wejściu do środka gmachu parafialnego spotykamy się z herbem papieskim, na którego tarczy polski rzeźbiarz Weloński umieścił dzikiego ptaka drapieżnika („ratti” — stąd i nazwisko Ojca św.), pod nim zaś klucze Piotrowe, a nad nim tiarę papieską.

Pius XI mieszkał na pierwszym piętrze. Wejście prowadziło do przedpokoju, którego całe umeblowanie składało się z kilkunastu krzesel. Stąd dopiero przechodziło się do drugiego przedpokoju, w którym urzędowało dwóch urzędników nuncjatury. W biurze tym spędzał wiele godzin i przyszedł Papież, dopełniając swą wiedzę o Polsce pilnym studiowaniem rozwieszanej mapy Rzeczypospolitej Polskiej.

Przybywający do nuncjatury interesanci zazwyczaj oczekiwali w przyległym pokoiku, zamienionym na poczekalnię. Stół, biurko sekretarza i kilka fotelików, oto całe umeblowanie tego salonu przyjęć. Stały tu także szafki-sekretarzyki, w których mieściły się akta urzędowe. Tutaj zwykle nuncjusz Ratti przyjmował swych interesantów.

Do przyjęć oficjalnych członków Rządu i korpusu dyplomatycznego służył osobny salon, który wprawdzie był duży, ale w którym trudno było zauważyć coś zbyt-



Z historycznych wspomnień: Sp. marsz. Piłsudski, sp. ks. kard. Kakowski, sp. Papież Pius XI jako Nuncjusz Apostolski w Warszawie.

kowniejszego. Skromne meble i parę obrazów treści religijnej stanowiły urządzenie sali recepcyjnej.

Podczas przyjęć Ojciec św. zwykle sadzał gości albo na kanapce, albo w miękkich fotelach, sam zaś sadowił się na małym krzeselku.

Jeszcze więcej prostoty, zasadniczej cechy Zmarłego, widzimy w Jego dawnym pokoju pracy, gdzie prócz szafy z książkami, biurka i kilku krzesel nic więcej nie było. W tym pokoju Ojciec św. spędzał większą część dnia, rano czytając gazety wespół z tłumaczem, ks. prałatem Brzeziewiczem, od 9 do 12 w południe przyjmując interesantów, a w godzinach wieczornych wygotowując obszernie raporty dyplomatyczne. Praca niejednokrotnie przeciągała się długo po północy — tak, że na sen nie pozostawało więcej od 4 do 6 godzin.

Tryb życia Papieża Piusa XI podczas pobytu w Warszawie był bardzo prosty i odznaczał się wielką pracowitością. Nuncjusz wstawał i zimą, i latem już o 5 rano. Po odprawieniu Mszy św. i odmówieniu modlitw kapłańskich Ojciec św. spożywał śniadanie, które zazwyczaj składało się z filiżanki kawy i jednej bułeczki z masłem.

Po lekturze prasy i przyjęciu interesantów następował obiad. Menu było potrójne: zupa, danie mięsne lub rybne i deser w postaci jabłka lub kompotu. Z przyrządzaniem potraw i ich wyboru nigdy służbie Ojciec święty nie sprawiał kłopotu.

Po obiedzie następował spacer. Warszawianie pamiętają te czasy, kiedy Piusa XI często widywali przechadzającego się wolnym krokiem po ulubionej trasie Książęcą w dół, do Rozbratu i Górnośląską. W drodze powrotnej Wiejską do domu (Ojciec św. unikał ulic ruchliwych) bardzo często wstępował do kościoła. Na nabożeństwach niedzielnych widywano go w ławkach wśród szaraczków, kiedy w skupieniu słuchał Mszy św.

Po 5 po południu zaczynały się recepcje, a po 7 wieczorem, po wypiciu szklanki herbaty, albo zupy i spożyciu pieczywa — następowały sprawozdania sekretarza i długie godziny wypełniania raportów dyplomatycznych.

Tak żył i tak pracował w Warszawie Ojciec święty Pius XI.

JANINA TANALSKA

PO ŚMIERCI OJCA ŚWIĘTEGO

*Zabrzmiały wielkie dzwony spiszowe,
Echo się wzbiło do nieba bram...
Kirem zastane progi Piotrowe,
A w Bazylice matrzy i sam
Spoczywa Pius XI.*

*— Pasterzu Wielki! Co serce złote
Dał Ci Zbawiciel, byś w Jego ślad
Wstąpił, pocieszał ludów zgryzotę.
Abyś ukochał cały ten świat
Sterniku Łodzi Piotrowej.*

*— Odeszłeś od nas — Głowo Kościoła,
Bóg Cię zawezwał po wielki plon —
Skrwawił nam serca, pochylał czoła
Zwiastun Twej śmierci — spiszowy dzwon
Rozkołysany po świec.e.*

*— Wieniec zwycięstwa Bóg Ci założy
I berto świętych otrzymasz w dłoń,
Wielki Pasterzu, zastępcu Boży,
Ku nam swe czoło Ojcowskie skłoń
I zawsze broń nas od złego.*

KRÓLOWA JADWIGA

Jadwiga nie była Polsce obca krwią, ojciec jej bowiem król węgierski Ludwik ze słynnego rodu andegaweńskiego był synem króla Neapolu Karola Roberta, najmożniejszego i może najpotężniejszego ówczesnego monarchy, oraz Elżbiety siostry Kazimierza Wielkiego, matka zaś Jadwigi — Elżbieta Bośniacka, była wnuczką króla chłopków.

Jadwiga nasza otrzymała od ojca i babki wyjątkowo staranne wychowanie, przez pewien czas było ono przerwane, gdyż po zaślubinach w Haimburgu (śluby dzieci należały do ówczesnych zwyczajów) z towarzyszem zabaw, Wilhelmem austriackim, przez pewien okres bawiła na dworze wiedeńskim, podczas gdy jej mąż „in futuro” przebywał w węgierskiej Budzie. Tu też, w tym rakuśkim Wiedniu, nasłuchiwała się Jadwiga wcześniej wielu fantastycznych historii o dalekiej Polsce i strasznej pogańskiej Litwie wrogiej chrześcijaństwu, wrogiej przede wszystkim zakonowi krzyżackiemu, który jej ojca Ludwika uważał za wielkiego swego protektora i opiekuna.

Niebawem spokojne dzieciństwo Jadwigi zostaje zakłócone wypadkami politycznymi, które zmieniając pierwotne zamiary zmarłego w międzyczasie Ludwika — niweczą wszystkie hytre zabiegi dworu rakuśkiego, oparte na ślubach haimburskich i krzyżują plany wydania za Luksenburgczyka starszej córki Marii, przeznaczonej przez ojca na tron polski. Wskutek niechęci oddania korony Piastów niepopularnemu w Polsce czesko-niemieckiemu Zygmuntovi, podstępnemu wrogowi naszego państwa — wysunięte zostały po trzecim zjeździe szlachty w Sieradzu prawa Jadwigi do tytułu królowej Polski. Sprawa jednak przyjazdu Jadwigi do Krakowa, mimo zasadniczej zgody jej matki Elżbiety, przedłużała się, groziła nawet ostrymi zawikłaniami. Wreszcie gdy wszystkie przeszkody zostały pokonane, Jadwiga w towarzystwie świetnego orszaku wjeżdża do stolicy, gdzie następuje uroczysta koronacja. Wkrótce przybywa również do Krakowa jej narzeczony, Wilhelm, pragnąc dopełnić zaślubin z Jadwigą, niebawem już pełnoletnią dziewczyną.

Najważniejszym, a zarazem najdrażliwszym szczegółem tego okresu jest właśnie sprawa istotnego dopełnienia ślubów dziecięcych Jadwigi z Wilhelmem. *To dopełnienie nie nastąpiło*, ponieważ Jadwiga, wedle najważniejszych dokumentów mogła się urodzić najwcześniej w grudniu r. 1373, a zatem w krytycznych dniach sierpniowych przy spotkaniu z Wilhelmem miała dopiero 11 lat i 6 lub 7 miesięcy, zatem jako niepełnoletnia nie mogła prawnie zawrzeć właściwego ślubu¹⁾, tym więcej, że głęboka religijność i surowe przestrzeganie ustaw kościelnych było najbardziej wybitnym rysem charakteru naszej królowej. Dlatego też Wilhelm tak usilnie dążył się do podwoi Wawelu, ażeby zrealizować to, co było mu przyrzeczone i co było jego marzeniem, nie tyle wpływającym ze sentymentu, jak z wyrachowania politycznego — przed przybyciem Jagiełły. Wiemy również, że dzielna postawa panów polskich, zwłaszcza Dymitra z Goraja, skłoniła Jadwigę do zaniechania myśli połączenia się z Wilhelmem, a tym samym ocaliła Polskę od oddania tronu narzucającemu się Rakuszanie. I gdy Jagiełło odbywa wjazd do stolicy, Wilhelm — podobnie



Królowa Jadwiga — rysunek Jana Matejki.

jak Zygmunta Luksenburgski po zaślubieniu Marii (los zięciów Ludwika dziwnie był zbliżony) — zmuszony jest piechotą, chyłkiem, w ubogim przebraniu uciekać raz na zawsze z granic Polski.

Dnia 18 lutego 1386 r. odbył się uroczysty obrzęd zaślubin Jadwigi z Jagiełłą. Małżeństwo to było już dawniej postanowione w układzie królewskim z dnia 13 lipca 1385 r., czekano jednak umyślnie jeszcze kilka miesięcy, ażeby królowa, zgodnie z wymaganiami prawa, ukończywszy dwunasty rok życia, osiągnęła pełnoletność.

Niepodobna zresztą przypuścić, ażeby Jadwiga po formalnym zawarciu małżeństwa z Wilhelmem mogła bezpośrednio przed aktem ślubu z Jagiełłą uroczystość, publicznie w katedrze — fałszywie zaprzysięgać o swojej niewinności. Jest również rzeczą niemożliwą, ażeby najwyżsi dostojnicy państwa, duchowni i świeccy, mogli świadomie zmuszać swoją królową w razie dokonanego małżeństwa, do powtórnego ślubu z Jagiełłą, zatem do

¹⁾ Prof. dr Oskar Halecki: „Małżeństwo królowej Jadwigi w świetle historii”. Toruń 1938. Str. 12 itd.



Wojciech Gerson. — Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja.

świadomego dwużeństwa. Sprawa ta jest przesądzona „uznaniem prawomocności małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą przez najwyższy autorytet Stolicy Apostolskiej, Urbana VI, znanego ze swej surowości. Papież zbadał najdokładniej tę sprawę, a to nie tylko na podstawie informacji ze strony polskiej, lecz także przez legata swego arcybiskupa raguzańskiego, mediolańczyka Maffiolusa Lampugnano, oraz przez wysłanego tu nie wiele później świątobliwego i uczonego kardynała, Bonawenturę z Padwy. Potem zaś przekonawszy się najwidoczniej o bezpodstawności pretensji Wilhelma, który zresztą wcale się nie stawiał na wszczyty przez siebie proces kanoniczny, papież w bulli z dnia 18 kwietnia 1388 r. zwrócił się do króla Władysława Jagiełły ze słowami pełnymi uznania dla dzieła chrystianizacji Litwy, dokonanej w rezultacie jego ślubu z Jadwigą, co do którego legalności nie wyraził nigdy najmniejszej wątpliwości”²⁾.

Jadwiga poddawszy się racji stanu, jako królowa Polski, poniosła najwyższą ofiarę, na jaką zdobyć się może kobieta. „Przez przeszło pięć wieków burzliwych, nieraz i tragicznych naszych dziejów, dramat rozegrany na Wawelu pozostał zawsze żywym w pamięci wszystkich

Polaków. Zaiste dla Polski postać Jadwigi ma to samo żywotne znaczenie, co Joanny D’Arc dla Francji. Powołane do wzniosłej, choć okrutnej ofiary, te dwie dziewczynki, jedna królowa, a druga wieśniaczka, stały się symbolami najszczytniejszych marzeń i najszlachetniejszej wiary narodów”³⁾.

Poza tym ofiara jej miała nieco inny charakter, aniżeli dawniej sądzono. Nie poświęciła namiętności dojrzalej kobiety, ujęcie to mogło zresztą nasuwać wątpliwości już wtedy, gdy jej przypisywano lat czternaście. Nauka nie może stwierdzić o jakości uczucia Jadwigi dla Wilhelma ściśle, prawdopodobieństwo psychologiczne jest, że było co najmniej bardzo serdeczne dla towarzysza lat dziecięcych o powierzchowności bardzo ujmującej, jak stwierdzają współczesne źródła. Całkiem pewne, że im młodsza była Jadwiga, tym więcej musiał ją przerażać projekt poślubienia Jagiełły, co najmniej 36-letniego mężczyzny poganina i posądzonego o zamordowanie stryja, pochodzącego z środowiska, które Jadwiga przywykła uważać za obce, a nawet wrogie, kulturalnie znacznie niżej stojące. O tym, że Jagiełło miał wielkie zalety serca i umysłu mogła się dopiero przekonać później, zresztą rozwinęły się one w znacznym stopniu pod jej własnym wpływem. Ona sama, sprawująca od roku rządu królewskie, a jak najbliższe lata zaraz wykazały, niepospolicie zdolna, subtelna i wczesnie rozwinięta, wychowana w głębokiej religijności zdawała sobie, mimo młodocianego wieku, całkowicie sprawę z decyzji, jakiej od niej wymagano i poniosła ofiarę w pełnej świadomości jej znaczenia i motywów.

Wyjątkowo wykształcona, słynąca z rozumu, biegła w teologii — Jadwiga nie miała sobie równej wśród władców współczesnej Europy. Przede wszystkim zaś uderzała w całym życiu Jadwigi „stwierdzona przez współczesnych *świętobliwość życia osobistego*, połączona z czynną, litościwą miłością bliźniego, znajdującą wyraz w niezliczonych fundacjach dobroczynnych, a utwierdzona cudami jeszcze przed śmiercią i bezpośrednio po niej...”⁴⁾. Jej dbałość o każdego najwięcej maluczkiego zjednywała dla niej serca ludzkie w całym kraju, nie było dnia, by jakiś nędzarz nie zbliżył się do królowej i nie odszedł zaspokojony.

Jadwiga nie tylko uposażała kościoły, klasztory i szpitale, lecz również oddawała w nich *liczne osobiste usługi*. Mnóstwo opowieści przedstawia ją jako pocieszycielkę starców, wspomóżycielkę ubogich, ratującą chorych i kaleki. Anielska litość dla cierpień bliźnich powiększała się im bliżej królowa zbliżała się do progu wieczności. Każda łza ludzka ważyła u niej więcej niż całkowita naprawa szkody wyrządzonej. Jej proroctwa przyszłych wypadków, owe pamiętne groźne przepowiednie upadku pysznego zakonu, jasnowidzenie kłęski Witolda pod Worską, a wreszcie przepowiednie przedwczesnego końca swego życia są również niezwykłymi znamionami duchowymi Jadwigi. Jakąż świętą podniosłością brzmią jej słowa, gdy spodziewając się być matką zabrania mężowi ozdabiać swe łożo i mówi: „Okazałości światowej już dawno się odrzekłam. Pora macierzyństwa bywa częstokroć porą śmierci, nie złota więc i klejnotów blaskiem znikomym, lecz wielką ubogą pokorą powinnyam przyjąć łaskę, którą Bóg mnie obdarza”.

„Aczkolwiek życie małżeńskie mało jej dawało szczęścia osobistego, było ono jednak pod każdym względem wzorowe, gdyż mimo chwilowych różnic w poglądach na tę

²⁾ Charlotte Kellog: „Jadwiga”, przetł. z angielskiego Róża Potocka. Kraków 1933. Str. 127.

⁴⁾ Ch. Kellog. Ibid. Str. 111 itd.

czy inną sprawę polityczną, stara się Jadwiga być wierną i niestrudzoną współpracownicą króla, który też przez całe swoje życie tyle dłuższe zachował wdzięczną o niej pamięć, nie zdejmując z palca obrączki ślubnej Jadwigi, jako najdroższej pamiątki.

Zachowując sama nawet po ślubie pełnię władzy monarchicznej, dzięki swej koronacji na króla w r. 1384, władzy, jakiej nie miała żadna inna królowa polska — Jadwiga i te również obowiązki stanu spełnia wśród niezwykle trudnych warunków w sposób tak doskonały, że jej ogromne, wszechstronne na tym polu zasługi, nagromadzone w nieustannym wysiłku krótkiego stosunkowo panowania, nie tylko zdobywają w miarę postępu badań coraz większe uznanie historii, lecz *stają się też niezaprzeczoną cechą jej właśnie typu świętości*...⁵⁾.

Do tych wielkich czynów Jadwigi, posiadających niesłychaną doniosłość polityczną, a będących równoczesnym rozwiązaniem wysokich ideowych wartości, należy przede wszystkim wskutek zaślubienia Jagiełły: *unia Litwy z Koroną*.

Konsekwencje unii — nieobliczalne, granice przesunęły się o całe setki kilometrów na wschód, wpływy kultury polskiej rozszerzyły się niepomiaralnie, naturalna zaś potrzeba ekspansji została zaspokojona. Równocześnie Polska stawała się murem obronnym przeciw niemieckim zakusom „Drang nach Osten”, w którym Krzyżacy byli poprzednikami grenadierów Fryderyka Pruskiego, szarej armii Hindenburga i hitlerowskich nazistów.

Drugim takim wielkim dziełem — było *przyłączenie Rusi Czerwonej do Korony* wbrew rodzinnemu sentymentowi, uczynione jednak pod wpływem wewnętrznego nakazu sumienia królowej Polski, wykonane z niezwykłą energią i umiejętnością.

W akcji dyplomatycznej Jadwigi o potężnym zasięgu wysuwa się zawsze na pierwszy plan: umiłowanie sprawiedliwości, oraz dążenie do zgody i pokoju. Z dawnej porywczosci dziewczynki nie zostało w późniejszych latach śladu — Jadwiga nie umiała się gniewać, wzdrygała się na wszelką myśl o wojnie. Toteż nic dziwnego, że te cechy jej charakteru wpływały kojąco na całe otoczenie, wnikało w poszczególne stany społeczeństwa, a w politycznych sporach godziła poważnione strony.

Nie tylko pogodziła Witolda z Jagiełłą, lecz również zażegnała spór między Witoldem a Skirgiełłą. Składając hołd jej sprawiedliwości i rozumowi, uchwalili bracia w każdej waśni, powstałej wśród członków królewskiej rodziny, Jadwigę powoływać na najwyższego i jedyne sędziego. Wszyscy skłaniali głowy przed jej niezwykłą inteligencją... Nimb nieziemskiego światła, jaki otaczał jej postać, urok jej duszy, zalety umysłu i wdzięk kobiety przełamywał wszelki gniew i opór.

Również w dyplomatycznych stosunkach Polski z zakonem — działalność Jadwigi celem opamiętania, rzecz można — nawrócenia Krzyżaków przez królową, jest jedną z najciekawszych kart historii.

Oprócz wielkich posunięć w polityce zagranicznej Polski, nadających nowy rytm historii Europy, Jadwiga, zaliczana do najwyższtańszych kobiet owej epoki, w życiu wewnętrznym ojczyzny staje się jej duchową opiekunką przez swoje trzy fundacje: podniesieniem i rozszerzeniem zaniedbanej Akademii Krakowskiej, ufundowaniem w Pradze czeskiej kolegium nauczycielskiego dla Litwy i powołaniem zakonu benedyktynów słowiańskich do Krakowa, jako misjonarzy Rusi.

Jadwiga poznała się na piękności mowy polskiej, zaprowadza polszczyznę w kościele i piśmiennictwie, tam gdzie dotąd wszechwładnie panowała łacina. Na jej żądanie tłumaczono na język polski Pismo Święte i Listy Doktorów Kościoła. Szczątki pozostałe należą do najpiękniejszych zabytków ówczesnej literatury ojczystej.

Lud uważał już za życia Jadwigę jako świętą, patrząc na liczne przez nią czynione cuda. Wierząc w nadziemską moc królowej „wysyłano do niej przedstawicieli kraju, by uprosiła deszcz, czy też pogodę, dobre sianokosy, miodne lato. Od dawnych czasów nie pamiętano, by rzeki i jeziora tyle dały ryb, ani lasy zwierza, co w roku ciąży królowej. Kronikarze na dalekich dworach notowali, że dzięki niej baronowie łupiescy wypuszczali więźniów z niewoli i samowolnie zwracali zagarnięte bezprawnie ziemie i trzody. Dobroć jej serca łagodziła ciężkość niewolnictwa, zatwardziałość i pychę panów, surowość sędziów...”⁶⁾.

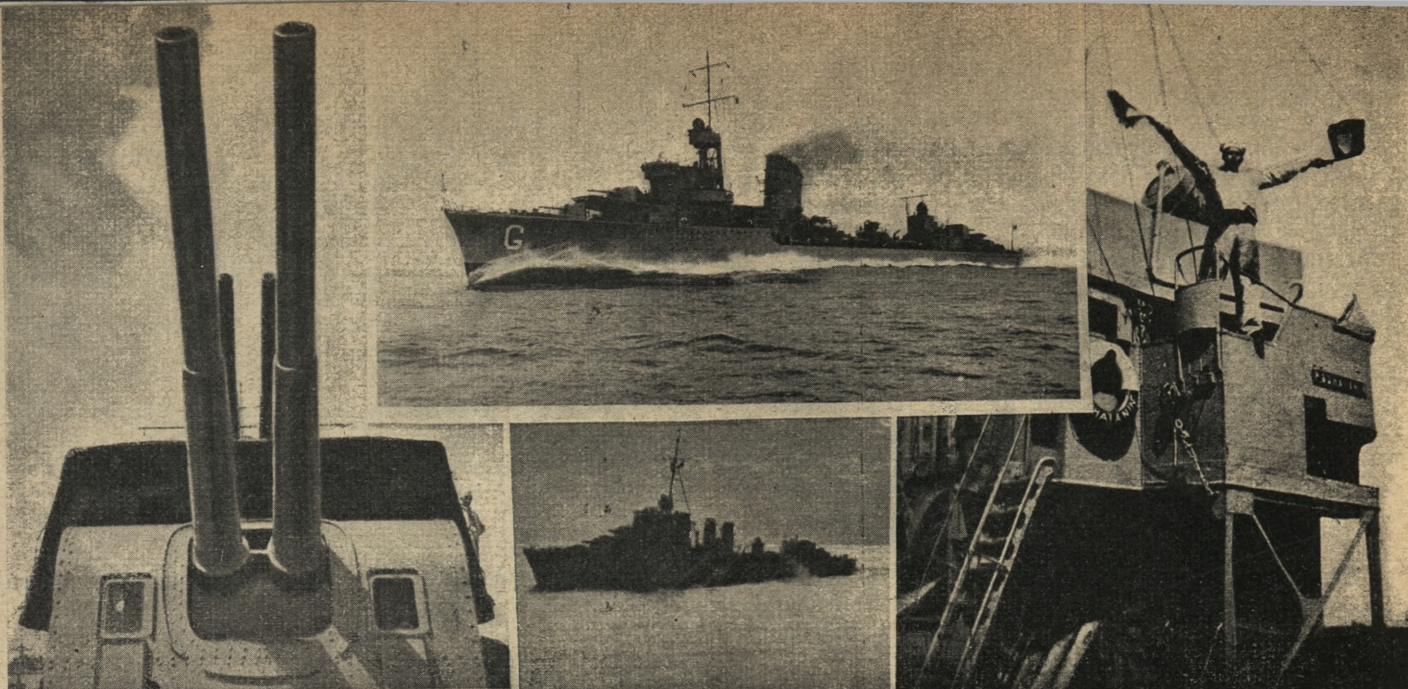
A przecie mimo wszelkie oznaki czci, mimo coraz jaśniejszej nad krakowskim zamkiem pogody, czuła się (Dokończenie na stronie 120).

⁵⁾ Ch. Kellog. Ibid. Str. 231.



Jan Matejko. — Założenie szkoły głównej przeniesieniem do Krakowa ugruntowane.

⁶⁾ O. Halecki. Ibid. Str. 19.



JANUSZ T. KOZIŃSKI

POTĘGA WIELKIEGO PLEMENIA

Drzewiej, słony wiatr igrał podmuchami wśród źdźbeł morskich traw, a na obrusie złotego piasku gęstwily się oczka rybackich sieci...

Dziś wystrzeliły dumnie w górę konstrukcje dźwigów, osiadły na brzegu jasne bloki nowoczesnych zabudowań i przestrzennych hal, a poświsty gniewliwego wiatru rozdziera ryk portowych syren...

Jak cudowny miraż odsłonił się największy port Bałtyku — Gdynia.

Tam, gdzie ogrom wód brata się z polskim brzegiem, poprzez gęstwę masztów, kominów las, dźwigów żelbetu polata dumny, tężejący w naszych sercach szum.

„Czy łąny zielone, czy bory nad brzegami Wisły. Niemna i Dźwiny rozszumiały się tak gwarem głosów milionowym? Czy w tabuny koni, powstawszy z grobów, pędzą skońcoocy ordyńcy? Czy żubry to z Białowieży ruszyły i racicami krzywymi tratują zboża na chłopskich zagonach? Czy burza piorunami nabrzmiała sunie nad ziemią Polanów, by pokłon oddać turniom tatrzańskim? Hej, nie kłósy szumią pieśń swoją o kraju mlekiem i miodem płynącym, nie burza daleka piorunami ziemię zamiata...

„To morze mówi”.

I pomyśleć, ta piękna ziemia, to szumiące swą rozgłosną mową — jak cudnie opisał Mariusz Laruski — morze, to przecież wszystko nasze od prawników.

Nasz lud kaszubski skrzętnie zdeptał wszystkie ślady stóp obcych, będąc zawsze ludem wolnym i polskim, wołającym z całego szczerego, twardego serca: — Spokojną bądź, Polsko, o morską twą straż, wypełni ją wiernie kaszubski chłop nasz. —

Karty historii oblubienicy morza — Rzeczypospolitej zapisane są głoskami czynów naszych praocjów.

Zastępy Mieszka wojowały o Wolin nad brzegiem Odry, nikańcej w odmętach mór, miecz Chrobrego osłaniał św. Wojciecha, niosącego światło krzyża do Gdańska i nad ujście wód Wisły.

Poprzez Bolesława Krzywoustego, który: „pobrawszy skarby z Danii, jechał do Polski”, poprzez króla Łokiet-

ka, Kazimierza Wielkiego dotrwali monarchowie w trosce o błękit polskiego morza, aż do schyłku Piastów.

Królewscy Jagiellonowie zdają sobie sprawę z potrzeby żywej, polskiej, polityki morskiej, a widomym znakiem tych starań miedziany posąg Zygmunta Augusta, na szczycie ratuszowej wieżycy gdańskiej.

Był czas, gdy, prawie przez sto lat, budowa polskiej floty morskiej stała się momentem decydującym na elekcjach królewskich, poczynając od Waleczjusza, od Batorego, który wślawił swe imię bojami o Gdańsk i Inflanty.

Anna Jagiellonka, instruując sejmiki w ostatnich latach w. XVI, podkreślała żywotną stałe myśl: „Wiedzą WMOściowie, jako wiele na tym zależy, liberum dominium maris, bez którego słabe są największe państwa, a najmniejsze państwo morską wolnością i panowaniem w portach, ku gorze się wynosi”.

A następnie monarcha Władysław IV, Wielkim zwany, nakreśla linie naszej polityki morskiej, zabiegając o budowę floty polskiej, o umocnienie wybrzeży warownym portem, hetman Czarniecki, Jan Sobieski, zadomowiony w Gdańsku, dają niezbity dowód swego zainteresowania i swych poddanych sprawami polskiego wybrzeża morskieskiego.

Gdy Rzeczpospolita, po latach ciężkiego snu, poczęła się budzić do nowego niepodległego życia, Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wydał historyczny dokument: „Z dniem 28 listopada 1918 r. rozkazuję utworzyć marynarkę polską...”.

I powstała marynarka w nowej, odrodzonej Polsce.

Nie długo potem błękitny generał wjechał w fale Bałtyku rumakiem, biorąc go w Rzeczypospolitej wieczne posiadanie.

Drogami najrdzenniejszych czarnoziemów i piasków ojczystej ziemi wojska polskie dotarły w dniu 10 lutego 1920 r. do brzegów Bałtyku.

Ślub Bałtyku z Rzeczypospolitą, uczyniony w tym pamiętnym dniu, jest ślubem wiecznym, najmocniejszym, trwale żywym i radosnym.

Mamy w oczach pamięci wspaniały wymownej uroczystości obraz zaślubin chłopca polskiego z morzem polskim, jaki urządziła przed laty jedna z wycieczek włościańskich.

Był to potężny głos zdrowej duszy narodu, który z poszumem nadbrzeżnego wichru zmieszany wołał rozgłoszenie: — to morze od wieków jest nasze i wara komukolwiek obcemu od niego! —

W gotowości obronnej preży się nie tylko pierś narodu polskiego, ale stalowe kształty kontrtorpedowców, stawiaczy min, okrętów podwodnych, torpedowców, kanonierek-trawlerów i szeregu drobniejszych statków o charakterze szkolnym i pomocniczym, noszących polską wojenną banderę.

Broni błękitu polskiego morza i naszego wyjścia na świat zrealizowana wizja wyczarowanych poszumów słonego wichru morskiego — Gdynia.

Krótkie, dźwięczne słowo Gdynia — a radosny uśmiech wykwita, a duma rozrywa piersi.

Pamiętając o słusznych prawach w Gdańsku, wybudowała polska myśl twórczo całkowicie i wyłącznie od siebie zależny port morski na miejscu, już przez hetmana Koniecpolskiego wskazanym.

Nowy port na Bałtyku — Gdynia — przed niespełna piętnastu laty jeszcze właściwie nieistniejący, zajmuje pierwsze miejsce na bałtyckich wodach, a czwarte wśród rodzimych portów naszego kontynentu.

Holenderski Rotterdam, belgijska Antwerpia, niemiecki Hamburg dystansują jeszcze Gdynię, za którą ułożyły się według „powagi” takie ośrodki morskie, jak: Marsylia, Rouen, Bordeaux, Bremen, Triest, Havre i inne.

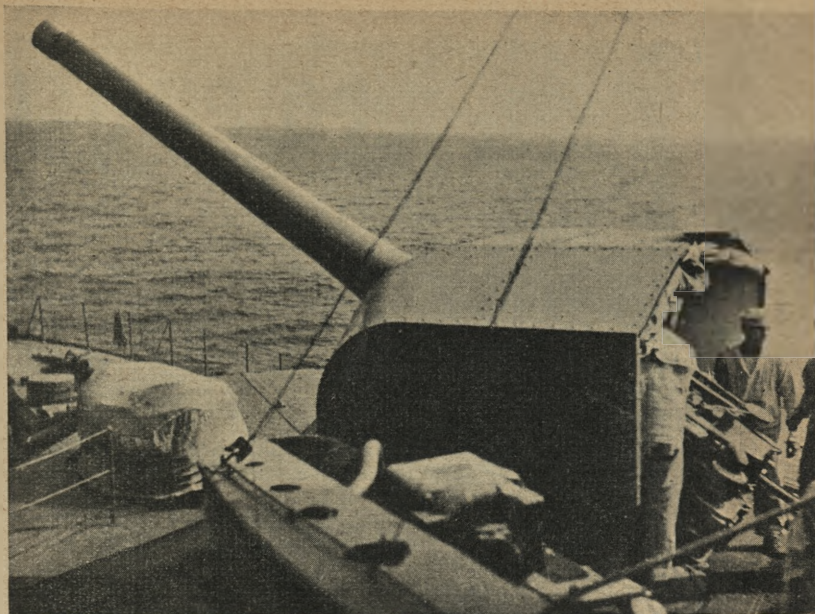
Czołowe i przodujące stanowisko w świecie morskim portów europejskich wywalczyła sobie Gdynia wielkimi, rocznymi, obrotami towarowymi, które w rb. mają osiągnąć ćwierć miliarda ton.

W budowie znajduje się wojenna stocznia polska w Gdyni, której teren przewidziany jest na 46 ha obszaru, z czego 36 ha lądowego moła i 10 ha wodnych basenów.

Czasy ostatnie przyniosły utworzenie kilkunastu, ho-daj czterzystu, regularnych połączeń pasażersko-towarowych z portami kontynentu i za oceanem.

Działalność polskiej floty handlowej pozostawia w kraju około 15 milionów zł, które musielibyśmy płacić obcym armatorom w przeciągu każdego roku.

Kilkanaście tysięcy oficerów i marynarzy, rozległe biura zatrudniające urzędników — oto aparat handlowy naszej marynarki.



Strzelanie artyleryjskie na ORP „Burza”.

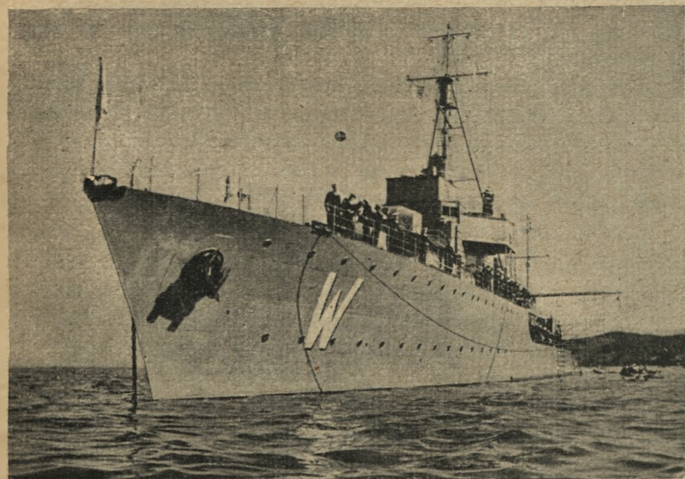
Doniosłe znaczenie posiada także, silnie rozwinięte obecnie, rybołówstwo morskie. Gdy dawniej, za czasów niemieckich, czy choćby w pierwszych latach niepodległego bytu, ogólna ilość złowionych ryb na wybrzeżu polskim wynosiła około 1 miliona kg w stosunku rocznym, to obecnie oceniana jest cyfrą ponad 24 miliony kg rocznych połowów.

Stworzono potężny program morski dla utrzymania i rozwinięcia polskiego stanu posiadania, który przewidyje w okresie dziesięcioletnim rozbudowę floty obronnej do wysokości ogólnego tonażu 150.000 ton.

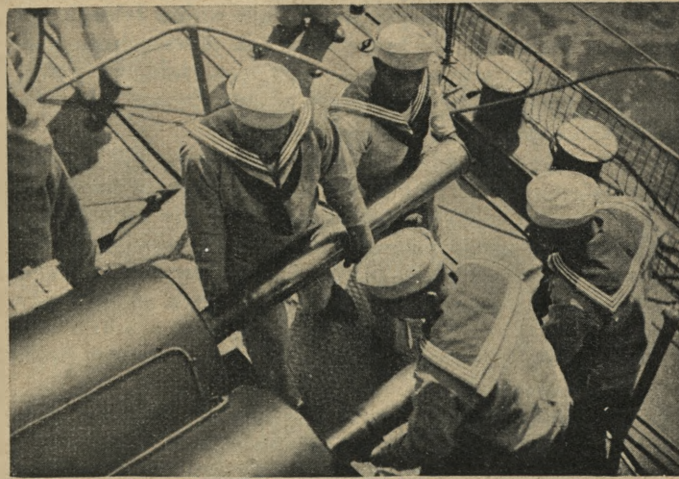
Urzeczywistnienie nakreślonego programu, w którym przewidziana jest budowa okrętów wszelkich typów, wysunęłoby polską marynarkę wojenną na Bałtyku na trzecie miejsce.

Tak więc wykwitłe na realnej płaszczyźnie wspólnych interesów urzeczywistniają się słowa piewcy morza — Stefana Żeromskiego:

„...Ockniona znowu z tylosetletniego snu wola Chrobrego króla, spełniona wykonaniem żywota Jana Henryka Dąbrowskiego, objawiła się w tej stronie, ażeby pokazać ułamek potęgi wielkiego plemienia”.



Okręt wojenny Rzeczypospolitej, kontrtorpedowiec „Wicher”.



Ćwiczenia artyleryjskie na ORP „Grom”.

PO PIJĄCEJ OJCZYŹNIE

(Felieton, który był aktualny podczas „tygodnia trzeźwości“ i jest również aktualny podczas „tygodni nietrzeźwości“.)

Luty — to srogi miesiąc dla pijaków!

Każdy stały konsument wyrobów Państwowego Monopoli Spirytusowego w głębi swego patriotycznego serca wzdyga się na samo jego wspomnienie. W tym bowiem najkrótszym miesiącu co roku Liga Antyalkoholowa organizuje swój tydzień propagandy trzeźwości, w czasie



Stara karczma w Rakotupach w ziemi chełmskiej.

którego bezkarnie „pod okiem władz“ agituje przeciw obowiązkowi pomnażania dochodu państwowego, depce tysiącletnią tradycję, uwieńczoną milionem znakomitych przysłów i trafnych „powiedzonek“, w piosenkach i poematach. Czyżaj bowiem wrażliwa na piękno staropolskiej tradycji dusza nie łka w czasie tygodnia trzeźwości na widok jawnego poniewierania perłami mądrości ludowej, uformowanymi doświadczeniem pokoleń, oszlifowanymi po wszystkich karczmach, zajazdach, barach i restauracjach naszej rozległej ojczyzny w ciągu długich stuleci, które tylu widziały znakomitych, na świat cały sławnych pijaków, budzących respekt u swoich, uznanie i podziw u obcych.

Niewątpliwie wiele racji ma najpopularniejszy pijak współczesnej Warszawy, Walery Wątróbka, który na łamach prasy codziennej niejednokrotnie w okresach świątecznych ogłasza swe enuncjacje, że „tradycja upada w narodzie“.

Bo, jakże to? W miesiącu, o którym się mówi „przyjdzie luty — wdziej ciepłe buty“, nie wolno łknąć ani odrobiny alkoholu, najskuteczniej, jak powszechnie wiadomo, wypędzającego mróz i... grypę z ciała, co nawet znalazło naukowe potwierdzenie w antygrypowych zaleceniach lekarzy.

— Nie ma na grypę lepszego lekarstwa jak ćwierć szklanki gorącej herbaty i trzy czwarte francuskiego koniaku — mawia mój sąsiad lekarz, zasłużony alkoholik.

A tymczasem, gdy karnawał osiąga swe największe natężenie... nie wolno pić, trzeba być trzeźwym!

Jakże daleko odeszliśmy od tych pięknych czasów, gdy do najbardziej respektowanych obowiązków obywatelskich należało zalecenie — jedz, pij i popuszczaj pasa.

Wiele się zmieniło.

Dziś wśród ludu pijącego „wyborową“ kursuje złowróżebne powiedzenie, że „alkohol to zguba ludzkości“.

Świat ludzi pijących jedyny swój ratunek upatruje w doświadczeniu zawodowych pijaków, którzy łagodzą srogą prawdę tego powiedzenia inną sentencją, odzwier-

ciadlającą całą głębię ich mądrości życiowej — „lecz pojedynczemu człowiekowi nie szkodzi“...

I może tylko dzięki temu, że chętnie korzystamy z wiedzy życiowej ludzi doświadczonych, tradycja nie została całkowicie zdeptana w narodzie przez wysiłki różnych lig, może dlatego od Turmontu do Zakopanego, od Gdyni po Zaleszczyki wciąż jeszcze przez cały okrągły rok, nie wyłączając lutego, w okresie szaleństw karnawałowych i w czasie postu „przy śledziu“, w niedziele i w soboty, na pierwszego i piętnastego, w święta i w dni powszednie, jak za dawnych czasów, rozlega się ochocza piosenka: — pij, braciszku, pij!

Jeśli, najmilsi, niepokoi was działalność walczących z tradycją lig antyalkoholowych, jeśli troszczycie się o dobro państwowe, jeśli wreszcie stoicie na straży staropolskich obyczajów, proszę, zaufajcie mi, i wraz ze mną zaryzykujcie podróż po ojczyźnie w czasie takiego właśnie tygodnia trzeźwości.

Jako punkt zbiórki proponuję ulicę Wiejską. Zbierzemy się przed gmachem Sejmu. Bo to gmach powszechnie w całym kraju znany, najbardziej atrakcyjny obiekt turystyczny stolicy, którego wizję wyczarował wieszcz, pisząc prorocze słowa: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie“...

Niechaj się wam w czasie zbiórki, broń Boże, nie przypomną nieoczekiwanie słowa innego poety...

Skasowali drożyznę
Zbudowali ojczyznę,
A po pracy co żywo
Poszli na... piwo!...

Taka reminiscencja byłaby co najmniej nie stosowna, bo piwo w dzisiejszych czasach w naszym kraju nie cieszy się takim uznaniem jak ongiś. Już przecież Mikołaj Rey z Nagłowic wypominał swoim współczesnym obojętność do piwa a zamiłowanie do gorzałki tymi słowy:

Nasi przodkowie podobno pijali,
ale, najmilsze piwko, a bardzo bijali...

Dwa słowa — gorzałka i piwo — przypominają mi inny wiersz, do niedawna popularny na Mazowszu:

Jedna dróżka do Pułtusza
a druga do Warki.
Boli gardło śpiewać darmo,
trzeba by gorzałki.

Niechaj ten czterowiersz będzie drogowskazem w naszej podróży.

Wyruszamy więc „dróżką“ do Warki. Mijamy bary Mokotowa i Wierzbna, restauracje w Pyrach i Piasecznie, gdzie do białego świtu „rźnie kapela od ucha“, a rozochocona młodzież przypomina sobie refren przed kilku laty w całym kraju popularnego przeboju:

Hej, przepijmy naszej babci domek mały! —

Niejednemu z was na dźwięk tej piosenki zakreśli się łza w oku. Nie zaginęła tradycja. Dzielna młodzież wstępuje na te same drogi życiowe, po których przeszli zataczając się w oparach win i miodów nasi zapomniani przodkowie.

Pamiętacie? Wszak to sam Juliusz Słowacki naszkicował kontrefekt jednego z nich, pisząc:

Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.

Umiano w dawnych czasach przepijać całe fortuny, umiano! Co tam fortuny. Choć nadeszła taka tragiczna

chwila, że największa fortuna narodu, wolność, ginie, to szlachta ciągle pije i toasty wznosi.

Wierni tej tradycji potomkowie nie tylko babci domki przepijają, nie tylko. Zajrzyjcie do dzienników. W rubrykach kryminalnych co dzień wyczytacie „sensacyjne” historie z życia tych, którzy na chorągiewkach swych istnień wypisali dźwięczną sentencję: pij, pij i z życia drwij.

Lecz nie czas na rozmyślenia.

Oto minęliśmy już Górę Kalwarię, zbliżamy się do Czerska. Przypominamy starodawne powiedzenie o mieszkańcach Mazowsza, którzy lubili się spijać w Warce na gorzałce, a w Czersku na złym piwsku.

I dziś lubią popić. W cichych uliczkach Warki, w gęstej mgłę zimowego przedświtów dostrzeżemy na pewno jakiegoś rodaka obejmującego czule uliczną latarnię.

W Warce i gdzie indziej. W szynkach wiejskich Mazowsza i herbaciarniach małych miasteczek, po restauracjach II i III rzędu, w myśl staropolskiej zasady: „dobry trunek na frasunek”, biedni i jeszcze ubożsi, robotnicy i bezrobotni, rzemieślnicy i wieśniacy, dorośli, a nawet młodociane pacholęta piją „czystą”. Ziemia lechicka, ongiś mlekiem i miodem płynąca, spływa teraz co dnia i co noc strugami alkoholu, sączonego z małych 50-groszowych buteleczek, którym lud nadał pełną swoistego humoru nazwę „szczeniaczków”, być może dlatego, że i dla dzieci ich cena i zawartość nie jest straszna.

Toteż spotkamy w naszej wędrowce po kraju niejednego nauczyciela, który nam opowie jak to tradycja upowszechnia się wśród naszego społeczeństwa, jak coraz częściej kursują „setki” wśród szkolnej młodzieży, jak w miarę wzrostu konsumpcji alkoholu wśród jego uczniów zanika zapał i chęć do nauki, a rośnie przyrodzona krnąbrność, czyli tak zwany — indywidualizm.

Język śwędzi, aby poradzić naszym pedagogom, że na ten „indywidualizm” dobre by były... kije, ale od udzielenia tej rady powstrzymuje nas uwaga poety. Przecież to Mikołaj Rey pisał, że:

U nas, by pijanego każdego stłuc miano,
Ledwieby kijów z lasa dostatek dodano.

Ile kijów z lasa dostać można i ilu w pięknej krainie lechickiej pijaków przyczynia się do „prosperity” Monopoli Spirytusowego, o tym statystyki milczą. Ale jeśli lubimy parą się statystyką, to od pracodawców, inspektorów pracy, działaczy społecznych, dowiemy się, że



Płonie Dawidgródek, podpalony przez pijaków.

tworzy się już nowa tradycja, przypominająca słynne ustawy francuskiego expremiera, pana Bluma.

Oto najeczęściej opuszczanym dniem pracy staje się u nas poniedziałek, który, jak wiadomo, następuje po niedzieli, stanowiącej dzień jakby specjalnie dla pijaństwa stworzony dla tych, którzy do kościoła trafić nigdy nie mogą, a do karczmy zawsze.

Dowiemy się też, że najwięcej zbrodni i wypadków przypada na soboty i niedziele, czyli na dni, w których „po wypłacie”... kieliszek jeden, drugi zdrowiu nie zawadzi — jak mawiali bohaterzy satyr przestawnego ks. biskupa warmijskiego, Ignacego Krasickiego. A że przy tej okazji tysiące ludzi przepija cały tygodniowy zarobek, nikogo o to „głowa nie boli”, chyba tylko nieszczęsne żony, które na próżno, otoczone gromadą głodnych dzieci, oczekują powrotu mężów z niezbędnymi na chleb złotówkami. Ale kto by na taki drobiazg zwracał uwagę. Wiadomo, że żona zawsze potrzebuje pieniędzy.

A wszak i to jest w tradycji naszego narodu, że chłop zarobioną złotówkę chętnie przepija do ostatniego grosza, a żona cudem jakimś i dobrocią Bożą dzieci przy życiu utrzymuje. Jakby dla uplastycznienia tej tak u nas powszechnej zasady jeszcze do dziś na peryferiach Częstochowy pokazują pielgrzymom i turystom ruiny karczmy, od której wzięto nazwę jedno z przedmieść podjasnogórskiego grodu... Ostatni Grosz. To w tej właśnie karczmie przyjeżdżający na targi i jarmarki spod

Obrazek z Pińska. Bezdomna matka, troje dzieci i... butelka wódki.

Człowiek, który pije samogon.

Ojciec pije... rodzina eksmitowana.



O POLSKIE USTAWODAWSTWO MAŁŻEŃSKIE

W Polsce odrodzonej, po dwudziestu latach pracy Izby Ustawodawczych, nie ma jeszcze jednolitego polskiego prawa małżeńskiego. Obowiązują ustawy narzucone nam przez obcych zaborców. Jak pisze „Czas” z dnia 19. I bieżącego roku, „Polska rozpada się pod względem prawa małżeńskiego na pięć aż obszarów: 1) b. Królestwo Kongresowe, 2) ziemię wschodnie b. zaboru rosyjskiego, 3) b. zabór austriacki bez Spisza i Orawy, 4) Spisz i Orawa i 5) b. zabór pruski. I gdybyż jeszcze w tych pięciu obszarach obowiązywały systemy prawne do siebie zbliżone. Ale tak nie jest. Prawodawstwo obowiązujące w b. Kongresówce i na kresach przewiduje jedynie śluby religijne. Na przyłączonych skrawkach Spisza i Orawy istnieją śluby cywilne fakultatywne, w b. Galicji ustawa ustanawia w zasadzie śluby religijne, uznaje jednakowoż również śluby cywilne tzw. z konieczności, tj. w razie odmowy przez Kościół udzielenia ślubu z powodu przeszkody, której prawo państwowe nie uznaje, wreszcie na terenie b. zaboru pruskiego śluby cywilne są obowiązkowe, a śluby kościelne nie mają żadnego znaczenia prawnego”.

Szanowni Panowie ustawodawcy nie dawno obchodzili szumnie dwudziestolecie pracy w odnowionym parlamencie polskim. Dwadzieścia lat zbożnej pracy — a tego tak pilnego i nie trudnego pozornie problemu nie zdołano rozwiązać.

Taka powolność jest zrozumiała jeśli idzie na przykład o poważne zaniedbania w dziedzinie kultury materialnej, pozostawione nam przez zaborców. Gdy brakowało domów, mostów, dróg bitych i żelaznych itp. — to brak dostatecznych środków materialnych tłumaczy dostatecznie pewną powolność w usuwaniu tych braków. Ale stworzenie ustawy małżeńskiej nie wymaga milionowych zapasów pieniężnych. Wymaga tylko dobrej woli i pewnego talentu ze strony czynników miarodajnych. Czego brakło naszym ustawodawcom, dobrej woli czy talentu — nie wiem. Czasu było dosyć. Prace w tym kierunku trwały już kilkanaście lat. Projekt „gotowy” leży już lat 10 w aktach Komisji Kodyfikacyjnej. Jak widać, nasza komisja doskonale spełnia rolę przechowalni projektów, ale to rola dobra dla muzeum, nie dla żywej komisji, mającej rozwiązywać pilne zagadnienia społeczno-państwowe.

Prawda, że nie jest całkiem łatwo stworzyć dobrą ustawę małżeńską. Ustawy małżeńskiej, która by wszystkim dogadzała, w ogóle stworzyć się nie da. Nawiasem mówiąc, nie trzeba się łudzić co do roli takiej ustawy. Przy najlepszych nawet ustawach małżeńskich zawsze jeszcze będą małżeństwa złe, czy nieszczęśliwe.

Ale panowie nieszczęśliwi małżonkowie i nieszczęśliwe panie małżonki, to już wasza wina: pana małżonka, pani małżonki, a najczęściej obojga państwa małżonków. Jedna i druga strona wiedziała chyba z kim łączy swe życie, i jedna, i druga strona zdaje sobie sprawę z tego, dlaczego małżeństwo nie jest szczęśliwe — to prywatne winy — żadna ustawa, ni komisja nie zawiniła i nie pomoże. Sprawy małżeńskiej zgody i małżeńskiej miłości pozostaną zawsze w dziedzinie prywatnej inicjatywy.

Ustawa małżeńska z natury rzeczy nie może odpowiadać wszystkim prywatnym wymaganiom i życzeniom jednostek. Musi natomiast odpowiadać pewnym zasadniczym postulatom, wynikającym z naszych pojęć o cha-

rakterze i celu małżeństwa, oraz warunków kulturalnych, w jakich żyjemy.

Pojęcia o małżeństwie kursujące w dzisiejszym społeczeństwie są dość różne. Jedni widzą w małżeństwie instytucję o charakterze czysto prywatnym. Uczucie, kaprys, osobista przyjemność grają rolę wyłącznie decydującą w sprawach małżeńskich. Ludzie o takich przekonaniach pragnęliby, by ustawodawstwo liczyło się głównie z tymi czynnikami. By nie krępowało ich swobody używania i nadużywania, by się nie ośmielało przeciwstawiać ich zmiennym kaprysom, ich indywidualnym upodobaniom — by uznało ich wolność w zmienianiu żon czy mężów.

Gdyby prawodawca chciał wychodzić z takich założeń i takich pojęć o małżeństwie, ustawa małżeńska wyglądałaby dziwnie. „Róbcie co i jak wam się podoba” — tak musiałby brzmieć naczelną paragraf takiej ustawy. Nawet ludy pierwotne nie zdobyły się na tak „mądrą” ustawę, a w narodach kulturalnych jest ona w ogóle nie do pomyślenia. Jest to równoznaczne z stwierdzeniem zasady, że małżeństwa nie można uważać za prywatny kontrakt, lecz przeciwnie jest to instytucja o charakterze społecznym i że dobro społeczeństwa, a nie upodobania czy kaprysy indywidualne muszą być naczelną normą ustawodawstwa małżeńskiego. Temu dobru muszą być podporządkowane wszystkie paragrafy, jakie w księgach praw Rzeczypospolitej wypisze Komisja Kodyfikacyjna i Izby Ustawodawcze. Zasada ta jest zresztą powszechnie uznana. Tylko jej konsekwencje budzą niechęć i trudności. Bo jest zrozumiałe, że konsekwencją takiej zasady musi być to, że ustawodawstwo, liczące się przede wszystkim z dobrem narodu jako całości, będzie ograniczało wolność indywidualnych upodobań. Nie ulega bowiem kwestii, że dobro narodu wymaga jak największej stałości związku małżeńskiego i stąd nie raz jednostka, by być w zgodzie z prawem i dobrem publicznym, musi się zdobyć na ofiarę z przyjemności osobistej.

Staość małżeństwa jest koniecznym warunkiem, by rodzice mogli spełniać naczelną swój obowiązek i naczelną cel małżeństwa — wychowanie młodego pokolenia, w którego ręce przekazają przecież losy narodu. Obowiązek ten w normalnej rodzinie wypełnia cały prawie czas pojęcia małżeńskiego aż do późnej starości.

Ustawa małżeńska jest więc tym lepsza, im lepiej odpowiada postulatowi stałości małżeństwa. Warunkowi temu odpowiada tylko ustawodawstwo oparte na zasadzie nierozzerwalności małżeństwa.

Powszechnie wiadomo, że przy tej zasadzie stoi zdecydowanie prawo kościelne. Ale prawo kościelne nie tu jest unikatem. Włoskie prawo małżeńskie z epoki przedfaszystowskiej było zupełnie świeckie, nie uznawało w ogóle ślubów kościelnych, a mimo to nie uznawało również rozwodów. Wnioski poselskie za uznaniem rozwodów zawsze upadały — pomimo iż w ówczesnym parlamencie włoskim większość nie należała bynajmniej do praktykujących katolików.

U nas wysuwa się czasem zarzut, że uznanie katolickiej zasady nierozzerwalności sprzeciwiałoby się praktyce innych wyznań, uznających rozwody — naruszałoby ich wolność religijną. Jest to zarzut niesłuszny. Nie idzie przecież wcale o narzucanie innym wyznaniom przekonania religijnych katolickich. Nierozzerwalność małżeń-

stwa nie wynika tylko z nauki Kościoła, lecz z samej natury tego związku i z postulatów dobra narodu. Zresztą jeśli ktoś obawia się, że uznanie katolickiej zasady nierozzerwalności małżeństwa miałyby sprzeciwiać się wolności religijnej wyznań niekatolickich, ten musi przecież zdać sobie sprawę z tego, że wprowadzenie praktyki odwrotnej, czyli uznanie rozwodów tym bardziej byłoby sprzeczne z prawem i nauką kościoła katolickiego. A chyba jest jasne, że katolicy, stanowiący ogromną większość narodu, mają prawo żądać, by w ustawodawstwie dla tego narodu przeznaczonym liczone się raczej z ich przekonaniami, niż przekonaniami mniejszości — zwłaszcza jeśli te ostatnie są dla dobra powszechnego raczej szkodliwe. Pozostawienie dotychczasowej praktyki uznawania rozwodów, udzielanych przez różne konsystorzce innowiercze i samozwańczych duchownych różnych sekt stwarza warunki anormalne, łamie charaktery, otacza smutną sławą sekciarskie biura rozwodowe i daje podstawy do licznych nadużyć, kończących się znanymi procesami różnych „duchownych” fabrykantów rozwodów.

Podstawą polskiego prawodawstwa małżeńskiego musi więc zostać nierozzerwalność małżeństwa, które o tyle tylko może spełnić zadanie wobec narodu i przyszłego pokolenia, o ile samo będzie zwarte i silne.

Inny postulat, to postulat ślubu religijnego. Jest faktem, że od czasów najdawniejszych śluby małżeńskie miały charakter aktu religijnego. W najnowszych czasach w wielu krajach władze państwowe nie liczą się z tym charakterem i uznają tylko śluby cywilne, zostawiając obywatelom swobodę dokonywania również obrzędu religijnego, który jednak nie ma znaczenia prawnego wobec władz państwowych. U nas takie prawodawstwo obowiązuje w byłym zaborze pruskim — jako spuścizna po Prusakach. W Małopolsce śluby kościelne mają pełną moc obowiązującą wobec państwa — dopuszczalne jednak są i śluby cywilne w wypadkach, gdy ślub kościelny z powodu przeszkody uznanej przez Kościół a nie uznanej przez państwo odbyć się nie może.

Jeśli idzie o katolików, to nasze ustawodawstwo winno iść po linii uznania formy kościelnej ślubu za ważną i wystarczającą. Stanowisko Kościoła w tej sprawie jest jasne: małżeństwo chrześcijan jest nie tylko umową

prawną, ale i sakramentem, i jako sakrament podlega wyłącznej władzy Kościoła. Państwo nasze i z racji wiekowej tradycji, i z racji tej, że cała prawie ludność rdzennie polska jest chrześcijańska, nie może stanąć na laicystycznym stanowisku ignorowania przekonań religijnych ogromnej większości swych obywateli.

Władze państwowe winny w swym ustawodawstwie wykazać zrozumienie i poszanowanie dla przekonań i tradycji obywateli przynajmniej wtedy, gdy te przekonania nie tylko nie stoją w sprzeczności z dobrem narodu, ale przeciwnie, stoją na straży jego dóbr moralnych.

Przedstawiony przed 10 laty projekt ustawy małżeńskiej nie liczył się z przytoczonymi wyżej postulatami. Projekt nie stał się ustawą z powodu sprzeciwu społeczeństwa i hierarchii katolickiej. Od tego czasu sprawa ustawy małżeńskiej stanęła na martwym punkcie, choć projekt ten bynajmniej nie został zarzucony — jak to widać choćby z tego, że dalsze szczegółowe projekty ustaw opierają się na podstawie projektu z r. 1929.

W Sejmie zapytywano nie raz w jakim stadium znajduje się sprawa nowego prawa małżeńskiego. Trzy lata temu minister sprawiedliwości, p. Michałowski, zainterpelowany w tej sprawie, odpowiedział, że „ustawa musi być uzgodniona z całym szeregiem czynników”. Przed rokiem pytał o to samo poseł Olszewski. Odpowiedź referenta brzmiała wtedy, że projekt zasadniczo gotowy znajduje się w stadium uzgadniania.

Historia tego uzgadniania jest dość długa i mozolna, a raczej zdaje się beznadziejna. Bo jak pisze ks. prof. Choromański w „Kurierze Warszawskim” z dn. 22. I 1939 „projekt opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną zupełnie do uzgodnienia się nie nadaje”. Stanowisko społeczeństwa katolickiego w sprawach, o których piszemy w tym artykule, nie może być przedmiotem dyskusji. Od członków Komisji Kodyfikacyjnej można chyba wymagać, by liczyli się z tym dla jakiego to społeczeństwa tworzą ustawy. Powinni by więc uznać, że ich osobiste teorie i zapatrywania nie mogą grać roli wyłącznie decydującej, te teorie te muszą ustąpić przed rzeczywistością tradycji i przekonań narodu. I panowie ustawodawcy winni by zrozumieć, że dalsze zwlekanie w załatwieniu tych spraw nie tylko jest szkodliwe, ale i kompromitujące.

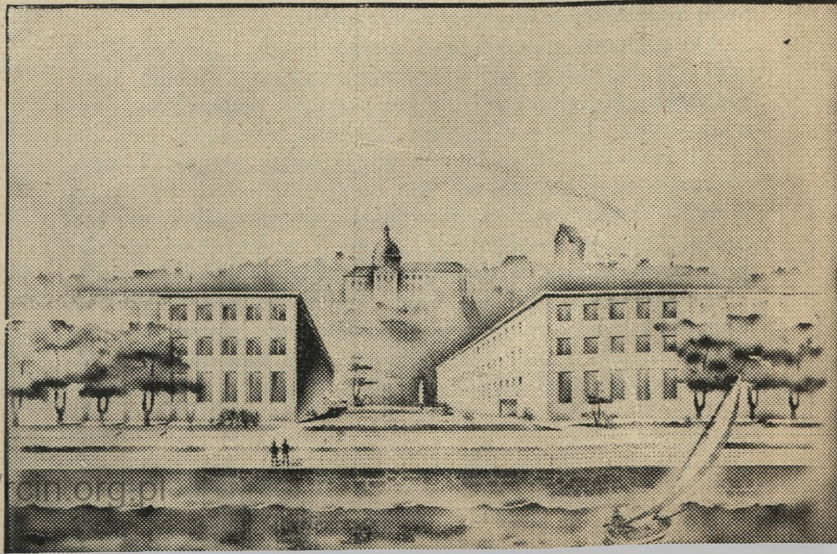
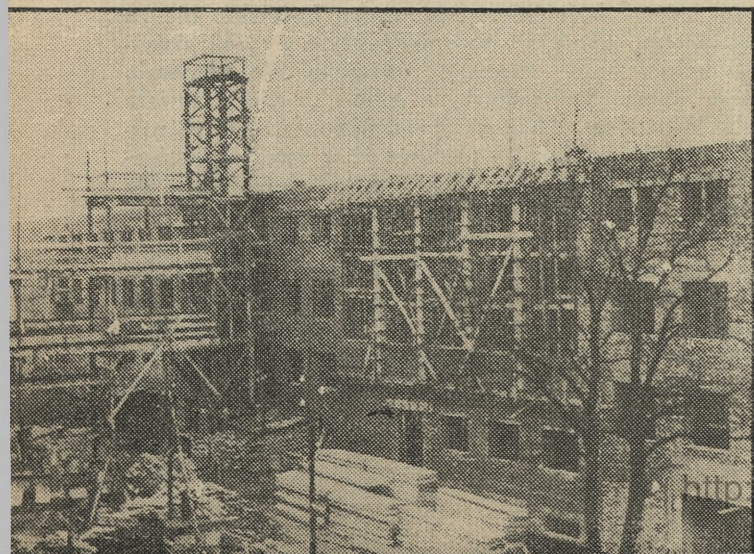
DOM POLAKÓW Z ZAGRANICY W WARSZAWIE

„III Zjazd Polaków z Zagranicy we własnym Domu”, takie jest jedno z haseł tegorocznego zjazdu delegatów środowisk polskich z całego świata. Zjadą do stolicy

Rzeczypospolitej, by radzić o swoich sprawach, a zarazem nacieszyć wzrok i świadomość faktem wzniesienia w Warszawie Domu ich imienia, gmachu, który będzie

Dom Polaków z Zagranicy w budowie.

A tak będzie wyglądał za parę miesięcy.



nie tylko symbolem wspólnoty wszystkich Polaków w świecie, ale i ogniskiem pracy dla ich wspólnego dobra. Bo Dom Polaków z Zagranicy będzie oddany do użytku już przed III Zjazdem.

Obydwa bloki Domu, wyciągnięte pod dach, z nastaniem pierwszych wiosennych miesięcy w szybkim tempie będą wykończone. Jeden z nich — jak wiadomo — przeznaczony będzie na schronisko i internat dla młodzieży polskiej z zagranicy studiującej w Warszawie, drugi — pomieści biura Światowego Związku Polaków z Zagranicy i instytucji współpracujących, przy czym poszczególne sale tego budynku nosić będą miano tych środowisk polskich za granicą, które przyczyniają się do ich ufundowania.

Ambicją największego polskiego skupienia za granicą — Polonii amerykańskiej jest ufundowanie najokazalszej sali w Domu Polaków z Zagranicy, toteż pod tym hasłem prowadzona jest w Stanach Zjednoczonych akcja zbiórkowa. Wyniki jej rosną z dnia na dzień. Rada Polonii amerykańskiej stale zamieszcza w prasie polskiej w Stanach Zjednoczonych długie wykazy ofiar, składanych na ten cel zarówno przez organizacje społeczne jak i pojedyncze osoby.

Nie pozostają w tyle inne środowiska polskie za granicą. Nie pozwala się wyprzedzić w ofiarności na ten cel społeczeństwo w kraju.

Spśród ofiarodawców w kraju wysuwają się na czołowe miejsce instytucje i placówki gospodarcze. Hutnictwo polskie złożyło na budowę Domu Polaków z Zagranicy ponad 60.000 złotych, przemysł włókienniczy około 20.000 złotych, a nie ma prawie ani jednego większego

przedsiębiorstwa przemysłowego, które by nie dorzuciło swej ofiary.

Polski Związek Eksporterów i Artykułów Zwierzęcych złożył ofiarę w kwocie 5.000 złotych, Bank Polski wpłacił 10.000 złotych jako resztę przyznanej przez Radę Banku subwencji na budowę Domu Polaków z Zagranicy, zaś Linie Żeglugowe Gdynia-Ameryka 5.000 złotych, tytułem ostatniej raty takiejże subwencji.

Ogólna suma ofiar na budowę Domu Polaków z Zagranicy w Warszawie, która w gotówce wpłynęła do kasy Komitetu Budowy, przekroczyła już 350.000 złotych. Na kwotę tą złożyły się ofiary zarówno ze środowisk polskich za granicą jak i od osób oraz instytucji w kraju.

Na dzień 31 grudnia ub. roku suma ofiar gotówkowych, które wpłynęły do kasy Komitetu, wyniosła 285.000 złotych, przy czym na ośrodki polskie wypadło 33.438 złotych, na kraj zaś 251.870 złotych.

W ciągu pierwszych trzech tygodni bieżącego roku wpłynęło do kasy Komitetu ponad 60.000 złotych.

Stosunek ofiar w kraju w ciągu ub. m. przechylił się na stronę ofiar ze środowisk polskich za granicą, na której przypada ponad 30.000 złotych.

Zaznaczyć należy, że akcja zbiórkowa w środowiskach polskich za granicą — poza Kanadą — nie została jeszcze zakończona i przyniesie niewątpliwie dalsze zwiększenie kwoty ofiarności Polaków z zagranicy na budowę Domu ich imienia w stolicy Rzeczypospolitej.

Ofiarności społeczeństwa w kraju, wyrażająca się już dotychczas w kwocie ponad 280.000 jest miarą tych gorących uczuć, jakie całe społeczeństwo w kraju ma dla rodaków za granicą.

ANNA DRWIĘŻANKA

MISTYKA GŁOSU

Głos a wynalazki. Wchodzimy w okres życia, kiedy dźwięk głosu ludzkiego zaczyna nabierać coraz więcej znaczenia. Przez takie wynalazki, jak telefon i radio — fale głosu naszego zwiększają niesłychanie swój zasięg działania.

Dziś jeden człowiek głosem swym w jednym i tym samym czasie może poruszyć miliony serc i umysłów na całej ziemi. Wkraczamy już jakby w sferę „magii głosu”. Każdy aparat radiowy — to jakby okno na świat, wprowadzające nas w kontakt z przedziwnym, pełnym uroku światem dźwięków i głosów, płynących ze wszystkich stron globu.

Głosy z przeszłości. Nadchodzą czasy, kiedy głosy ludzkie będą coraz więcej utrwalane przez nowoczesną technikę. Już teraz mamy zbiory utrwalonych głosów ludzi wybitnych. Dzięki temu, następne pokolenia będą mogły lepiej uświadomić sobie charakter i własności działania tych ludzi, którzy poruszali swym głosem masy.

P. Anna Drwiężanka, która przed mikrofonem P. Radia odśpiewała szereg pieśni hinduskich i indiańskich kompozytorów angielskich, oraz pieśni polskich, transmitowanych dla Ameryki, wykazując piękny głos o głębokim, metalicznym brzmieniu, wyrównany w całej skali. P. Drwiężanka rozpoczęła karierę jako uczennica słynnego prof. Daddi, w Póln. Ameryce, występy jej w Chicago, Nowym Jorku, San Francisco, Milwaukee cieszyły się dużym powodzeniem. Poniżej podajemy ciekawe uwagi wybitnej śpiewaczki na temat „mistyki głosu”.



Gdzie są głosy tych, co żyli przed nami? Czy wibracje, wydawane przez dźwięk ich głosów już zamarły, czy też istnieją jeszcze gdzieś w przestrzeniach...? Czy doczekamy takich czasów, gdy geniusz ludzki przez nowe specjalne wynalazki będzie mógł wywoływać te głosy przeszłości?

Ten ogrom dźwięków, wysyłanych od wieków przez ludzkie głosy, dźwięków nasyconych dynamiką psychiki, głosów radości, zwycięstwa i rozpacz, głosów rozśmianych i jęczących — ten ogrom głosów ludzkich tworzy: niesłychaną energię, którą naładowana jest aura ziemi.

Głos a natura. Istnieją zasadnicze dźwięki, wydawane przez głos ludzki, tkwiące u podstawy języków świata. Te dźwięki odwieczne związane są z powszechnym rytmem energii kosmicznych... Tak uczyli starożytni mędrcy. Głos posiada jakieś tajemne własności oddziaływania na przyrodę. Znaną są fakty zaklania wężów, które rytmicznymi dźwiękami unieruchamiają hinduscy Jogowie. Znaną jest własność „magii” głosowej w sztuce poskramiania dzikich zwierząt.

Natura do nas przemawia tą „magią” dźwięków. Przypomnijmy sobie choćby poetycki opis Sienkiewicza o „modlitwie lasu”, o „charakterze drzew” — o tych przedziwnych poszumach, charakterystycznych dla każdego drzewa, poruszanego wiatrem...

Głos w codziennych rozmowach. Głos w codziennym obcowaniu ma wielką wagę... Są głosy suche, twarde, jakby kryjące zgrzyt poszarpanej duszy. Są głosy pobudzające do życia, tchnące energią i dynamiką wewnętrzną.

Istnieje teoria, że myśli, wysyłane w przestrzeń, przyciągają ku sobie pokrewne myśli innych... Czy tak się nie dzieje czasami z dźwiękami głosu ludzkiego... Czy nie odbywają się przypadkiem w przestrzeni te niewidzialne skojarzenia pokrewnych wibracji głosowych...

Dźwięki słów, powtarzane w codziennych rozmowach, wytwarzają niewidzialną, ale realną aurę wokoło nas. Nasze przygnębienie, czy ożywienie w nastrojach codziennych — częściej, niż sobie wyobrażamy — bierze źródło z tych energii i wibracji, jakie głosem wokoło siebie stwarzamy.

Głos a kłamstwo. Słowa, zgodne ze stanem naszej duszy i świadomości, mają zupełnie inny ciężar gatunkowy, niż słowa kłamliwe... Kłamstwo — to jest naruszenie równowagi, jaka winna istnieć pomiędzy świadomością a dźwiękiem, który ją wyraża. Bo każdy stan świadomości ma sobie tylko właściwy wyraz zewnętrzny, oddany dźwiękiem głosu.

Kłamstwo, nawet gdy jest nie uchwytnie dla słuchają-

cych, bywa zawsze „zarejestrowane” w naturze, otaczającej nas. Natura nie kłamie: przemawia zawsze tylko takimi dźwiękami, jakie jej odpowiadają.

Artyzm i natchnienie w głosie. Gra aktora nabiera mocy, gdy jest on zarazem prawdziwym artystą, to znaczy, gdy z przekonaniem przeżywa to, co mówi. Wtedy dopiero jest twórcą — udziela bowiem te same przeżycia innym.

Trybun, przywódca tłumu, wówczas najsilniej porusza masy, gdy w wibracje swego głosu wprowadza pierwiastek bezwzględного przekonania o wartości głoszonych przez się prawd.

Największe jednak napięcie energii „magia głosu” osiąga w natchnieniu artystycznym, przejawionym w mowie, czy w śpiewie. Takie natchnienie — to przejście granicy zwykłej świadomości, to przerwanie tej tajemniczej zasłony, poza którą intelekt artysty zlewa się z uczuciem jego i wolą — przez co następuje harmonijne działanie wszystkich władz duszy.

Głos a fale radiowe. Niepodobna dziś jeszcze objąć wyobraźnią, jaką moc nadało głosowi ludzkiemu radio. Pomyślimy tylko, że fale głosu ludzkiego, za pomocą tego wynalazku, mnożą się we wszystkich kierunkach, że mogą dotrzeć do milionów umysłów i serc. Stąd odpowiedzialność za głos, rzucony na fale, wysyłane przez radio, jest ogromna.

Jeżeli wtedy, gdy przemawia, czy śpiewa — w duszy swej ma chaos, gniew, żal czy przygnębienie, to choćby nastrojał dźwiękowo swój głos na nutę inną — przesła jednak w jakiś niewidzialny sposób swój stan hołesny w przestrzeń. — I tym jakby powiększy ogólną sumę chaosu i przygnębienia na ziemi.

Ale gdy przed wystąpieniem w swej kreacji głosowej mówca czy śpiewak zharmonizuje władze swej duszy pragnieniem udzielenia z siebie jak najwięcej dobra — to działanie jego będzie zawsze dobroczynne.

Czy można wprowadzić słuchaczy w błąd tonem głosu? Oczywiście tak! Gdy śpiewak, czy mówca pragnie wytworzyć w sztuczny sposób nastrój, którego sam nie przeżywa, wtedy słuchacz jest pozornie zdobyty, ale do głębi jego świadomości sztuczny nastrój kłamliwego głosu nie dociera. I wcześniej, czy później zrzuci on z siebie sztucznie otrzymane wrażenie...

Są głosy, które, płynąc na falach eteru przez radio, rozdrażniają nerwy, albo przygnębiają — mimo, że technicznie biorąc, mogą posiadać pewne walory. Ale są głosy kojące, głosy — w których daje się odczuć wiarę, entuzjazm i miłość, głosy o czarownej głębi i dynamice duchowej, które idąc w przestrzeń, dają natchnienie umysłom i ogrzewają serca.

Dokończenie artykułu: Królowa Jadwiga.

Jadwiga nieszczęśliwą. Ogarniała jej duszę coraz większa samotność. Srogie cierpienia pozostawiły niezatarty cień na jej duszy. Wszak wszystko, co było bliższe jej serca na tym świecie, odeszło: matka okrutnie zamordowana, siostra zmarła przedwcześnie, ci zaś, z którymi związała ją wola Najwyższego, poili ją często goryczą, „za jedno wygnanie miała królowa sobie to życie...”⁷⁾

Zupełnie samotna przed śmiercią, Jagiełło wyjechał właśnie wówczas na Litwę, jeszcze w ostatnich chwilach dotknięta stratą córki, nie miała Jadwiga, konając na zamku królewskim, nawet męża u swego boku. Świąto-

bliwy testament, jedyny w swoim rodzaju, jak jej żywot, był końcowym świadectwem doskonałości duchowej Jadwigi. Cały majątek ruchomy zapisała ubogim.

U grobowca królowej, gdy odeszli wielmoże, pozostali tylko nieszczęśliwi i ubodzy. Płynęło ich coraz więcej, garnęli się ku stopom zmarłej, błagając, jak przedtem, o pomoc, a kościelka też ludzkich niosła wszystkim z zaświatów pociechę. Ktokolwiek we frasunku, czy niemocy przyszedł szukać ulgi u trumny błogosławionej królowej, był pokrzepiony na duchu i ciele.

Duch jej opiekuńczy unosi się zawsze nad Polską i ochrania ojczyznę w każdej potrzebie tak jak przed wiekami, kiedy naród z ufnością złożył swój los w niewinne, dziewięcące ręce królowej.

⁷⁾ Karol Szajnocha: „Jadwiga i Jagiełło. 1374 — 1413. Opowiadanie historyczne”. Warszawa 1902. T. VI. Str. 119.

NA SKRZYDŁACH „LOTU” DO OSTREJ BRAMY

W eleganckim biurze Lotu w Al. Jerozolimskiej spotykam pana Szkopa, zastępcę kierownika ruchu na lotnisku pasażerskim na Okęciu.

Wita mnie swym miłym uśmiechem.

Z radością dowiaduję się, iż za pół godziny obejmuje służbę na lotnisku.

Przyjemnie widzieć w momencie odlotu, tym bardziej mego pierwszego w życiu odlotu — znajomą, sympatyczną twarz.

Podniecony oczekującą mnie niecodzienną emocją, zasypuję mego rozmówcę szeregiem pytań, dotyczących samolotów pasażerskich i bezpieczeństwa w podróży.

Pan Szkop odpowiada mi spokojnie, uśmiechając się, ubawiony moim podnieceniem. Daje mi kilka praktycznych rad i wskazówek, dotyczących mojej ewentualnej „idiosynkrazji” do podróży samolotem.

Byłem przekonany, iż nie będę z nich korzystać, co zresztą za pół godziny całkowicie się potwierdziło.

Siedzieliśmy w niebieskim autobusie Lotu, który miał nas odwieźć na Okęcie, gdy przyjechał jeden z kolegów pana Szkopa i zabrał nas swoją zwinną „Dekawką” na lotnisko.

Przemknąwszy Al. Jerozolimską, przez kolonię Staszycy, wpadliśmy w Al. Zwirki i Wigury. Pędziliśmy świetną autostradą, w prostej linii przecinając pole Mokotowskie. Koło wieży pułku lotniczego zakręciliśmy na prawo i szosą wysadzoną drzewami, rzucającymi na asfalt czarne cienie, mknęliśmy do coraz więcej ku nam zbliżającego się dworca lotniczego.

Objąłem wzrokiem lotnisko, pokryte zielonym dywanem trawy, na którym stało kilka samolotów pasażerskich. Wyglądały jak wielkie, białe ptaki z rozpostartymi do lotu skrzydłami.

Piękny to był widok.

Na tle zielonej murawy, pod kopułą niebieskiego, pogodnego nieba — wysrebrzone słońcem samoloty.

Zdziwił mnie ruch, jaki panował na dworcu, sporo pasażerów, których poznawałem po nesecerach i walizkach, trzymanyh w ręku.

Jednego z licznych pilotów mój znajomy salutował, przy czym pozdrowił go uprzejmym:

— Bon jour, monsieur!

Był to pilot rumuński — jak mnie poinformował.

Ciekawie oglądałem dworzec lśniący niklem, marmurem i fornierami.

Kiosk Ruchu, zajmujący w holu poczesne miejsce, jak paw rozłożył swój barwny ogon, ułożony z różnorodnych czasopism, magazynów i ilustracji. Przed szklanymi gablotkami, mieszczącymi estetycznie ustawione pudełka z papierosami i tytoniem — florę polską chwala kolorowe, strzępiaste astry i peonie.

Na tym zaś tle, wdzięczne, ładnie zaondulowana, jasna główka z parą chabrowych oczu, przekonywująco reprezentuje polską płęć piękną.

Eleganckie kasyno na piętrze, lśniące czystością i barwieniący się różnokolorowymi etykietami na baterii butelek — pociągają do spożycia, na pewno smacznego posiłku.



12-osobowy samolot „Lotu” o szybkości ponad 300 km na godz.

Z cichym westchnieniem stwierdzam, iż nie mam na to czasu.

Schodzę na dół, gdzie spotykam pana Szkopa, który zaczął już swe urzędowanie.

W oddziale pocztowym i celnym wre praca.

Przyglądając się temu wszystkiemu, nabiera się przekonania i widzi się, iż komunikacja powietrzna, która jeszcze w pojęciu wielu ludzi jest czymś oderwanym od normalnego życia — stanowi dziś już taki środek lokomocji, jak pociąg lub autobus — codzienny i pewny.

Wymieniam z panem Szkopem serdeczny uścisk dłoni i zajmuję miejsce w samolocie.

Po sprawdzeniu ilości pasażerów schodki, po których wchodziliśmy, usunięto i drzwiczki samolotu zostały zatrzaśnięte.

Zawarczały motory. Samolot ruszył, sunąc po zielonej murawie lotniska. Na linii startu zatrzymał się. Śmigła pracowały.

Na znak startu, dany machnięciem chorągiewki, motory zagrały głośnie.

Śmigła rozplynęły się w błyskawicznych obrotach. Zadygotały ściany kabiny. Przez szyby okienka widziałem, jak trawa lotniska kładła się po ziemi, przygniatana silnym prądem powietrza.

I nagle samolot, niby ognisty rumak, któremu jeździec popuścił cugle — pomknął jak strzała.

Wilno z lotu ptaka, na pierwszym planie Katedra.



Ziemia szybko uciekała w tył.

Lekko, prawie niewyczuwalnie, samolot oderwał się od ziemi, która teraz zdała się zapadać w dół.

Maszyna pięła się w górę, szybko nabierając wysokości. Zatoczyła nad Warszawą łuk i poszybowała na północ.

Warkot motoru stał się jednostajny, spokojny.

Szeroko otwartymi oczami, przez szyby samolotu, patrzyłem na ziemię, która leżała w dole, jak jakaś wielka mapa plastyczna.

Niteczki szos i dróg przecinały ją w najrozmaitszych kierunkach. Rzeki wiły się w dziwacznych pętach i zygzakach. Miasta i wsie wyglądały jak ulepione z plasteliny — małe modele.

Gdy minął pierwszy zachwyt, rozejrzałem się po kabini, którą wypełniało 10 wygodnych foteli, umocowanych wzdłuż jej ścianek. Wąskie przejście wyścielał miękki chodnik, do kabiny pilota prowadziły drzwiczki, zaopatrzone w okienko, zasłonięte niebieską firaneczką, taką samą jakie znajdowały się, ściągnięte, przy okienkach obok foteli. Na tylnej ścianie za fotelami wieszak na okrycia, kawałek zaś wolnej przestrzeni wypełniał bagaż ręczny.

Miękkim, wysokim oparciem foteli, za pomocą znajdującej się z boku korbki, można nadać mniejszy lub większy kąt odchylenia. Umożliwia to spanie w pozycji leżącej.

Tylko sześć miejsc było zajętych.

W rozmowie z moim sąsiadem dowiedziałem się, iż wrócił wczoraj samolotem z Budapesztu.

Rozmowy naszej warkot motorów nie głuszył. Nie potrzebowaliśmy, rozmawiając, podnosić głosu.



Wnętrze kabiny pasażerskiej 12-miejscowego samolotu.

W pewnej chwili sąsiad mój pokazał mi pociąg sunący po prawie niewidzialnych kreskach szyn. Wyglądał jak mała, pełząca gąsienica.

Minęliśmy go szybko.

Radiotelegrafista podał komunikat, z którego dowiedzieliśmy się, że przelatujemy nad Grodnem, lecąc na wysokości 1.500 metrów z szybkością 260 km na godzinę.

Spojrzałem w dół, na ziemię i ujrzałem Niemen, przedziwną wijący się serpentyną. Z prawej strony leżało po obu stronach rzeki Grodno. W jego środku czerwienił się kościół, gotykiem wieży strzelając w niebo.

Zbliżyliśmy się do Wilna.

Lecieliśmy obecnie nad gęstym lasem i licznymi jeziorami. W ich zielonej, czystej wodzie, południowe słońce kapało swoją promieniami zwieczoną głowę.

W pewnej chwili, nad drzwiami kabiny pilota, zapaliła się matowa lampka, z wymalowanym na niej przekreślonym papierosem. Był to znak, że samolot podchodzi do lądowania i nie wolno palić.

Maszyna zataczała łuk, pochylając się na lewe skrzydło.

Spojrzałem na lewo i przestraszyłem się. Przed okienkiem wyrosła wielka góra, pokryta domami. Wyglądało to, jakby ziemia stanęła sztorcem.

Patrzę na prawo i w dole widzę niebo.

Samolot za chwilę wyrównał swoje położenie.

Ziemia zbliżała się ku nam z zawrotną szybkością. Wszystko naniej rośnie w oczach.

Lekki wstrząs i usiedliśmy na lotnisku, po którym samolot potoczył się w kierunku budynku dworca.

Była godzina 13.45, gdy opuszczałem dworzec lotniczy w Wilnie.

Przed dworcem czekał na nas mały, błękitny autobus Lotu. W Wilnie zostawało dwóch pasażerów, reszta leciała dalej.

Zajęliśmy miejsca w autobusie. Po załadunku poczty i przesyłek z samolotu — odjechaliśmy do miasta, które od lotniska na Porubanku znajdowało się w odległości paru kilometrów.

W Wilnie byłem pierwszy raz.

Skierowałem się Wielką Pohulanką, potem Tatarską i skręciłem w ulicę Niemiecką. Minąłem ratusz o okazałym frontonie, wspartym na sześciu wielkich kolumnach i wstąpiłem do dużego kościoła, znajdującego się niedaleko Ratusza.

Owionął mnie chłód pustego, starego kościoła. Tablice z uwidocznionymi na nich datami mówiły o wiekach, które na swych mocnych sklepieniach dźwigała ta świątynia.

Od kobiety, zmiatającej z kamiennych schodów złoto jesiennych liści, dowiedziałem się, iż jest to kościół jezuitów, w którym za Napoleona były składy zbożowe.

Minąwszy rokokową bramę, prowadzącą do klasztoru bazylianów, w którym się znajduje cela Konrada — w perspektywie ulicy ujrzałem Ostrą Bramę.

Wzrokiem ogarnąłem potężną fasadę kościoła Św. Teresy, białą, klasyczną galerią biegnącą wzdłuż lewej strony ulicy, zamkniętej łukiem bramy.

Podniosłem oczy w górę.

Ręka mimo woli sięgnęła ku kapeluszu, aby odłonić głowę.

Ze szczytu Ostrej Bramy spod wpół przymkniętych powiek, patrzyły na mnie nieskończenie dobre oczy Matki Bożej.

Spod srebrnej korony, spośród bogatych, ślnięcych szat, wyłaniała się subtelna, piękna, nieziemskim cza-rem znaczone twarz.

Kornie na piersi złożone, o wymu-
kłych palcach dłonie, zdały się z mi-
łością matczyną przytulać tych wszyst-
kich, co z ufnością i pokorą przycho-
dzą do Niej, aby w modlitwie utulić
swoją ból.

We wdzięcznym przechyleniu, aure-
olą promieni i gwiazd otoczonej głó-
wie, jest coś tak wzruszającego, że
wargi mimo woli poruszają się w mo-
dlitwie.

Trafiłem właśnie na nabożeństwo.
W kapliczce przed ołtarzem ksiądz
odmawia litanie, a „módl się za na-
mi” — wiernych, wzbija się ku Tej,
„Co w Ostrej świeci Bramie”, i nie-
skrupowane żadnym sklepieniem, leci
ku pogodnemu niebu.

Ulica jest zajęta przez modlących
się. Klęczą na chodniku i na jezdni.
Twarze rozmodlone, wzruszone. Nie-
rzadko łza spłynie i wsiąknie w kurz
ulicy. Oczy z nadzieją i z ufnością
utkwione w cudownym obrazie —
o cud błagające.

Nabożeństwo skończone. Wzrokiem objąłem obraz,
Ostrą Bramę i skupione, rozmodlone twarze. Przymkną-
łem powieki, aby utrwalić ten widok, wziąłem go do
serca i jak najcenniejszy skarb złożyłem na jego dnie.

Odehodziłem z przekonaniem, że odchodzę wzbogaco-
ny w wartość nieprzemijającą, której mi nikt i nic na
świecie pozbawić nie może, a która nieraz w życiu doda
sił w chwilach walki i zwątpienia.

Następnego dnia udałem się na cmentarz na Rossie.

Cmentarz, znajdujący się po lewej stronie drogi, leży
na terenie górzystym. Z prawej strony również dość
wysokie wzniesienie, porośnięte drzewami.

Przed murami starego cmentarza znajduje się cmen-
tarz żołnierski, którzy w r. 1919 polegli w obronie Wilna.

Wśród żołnierskich szeregów, prostych płyt — mauzoleum,
w którym pod granitową płytą, u stóp matki spo-
czywa serce jej wielkiego syna, marszałka Józefa Pił-
sudskiego.

Jak niegdyś za lat dziecięcych pociechy szukało na
łonie matki, tak teraz — serce, które „kochało i cierpia-
ło za miliony”, spoczywa na wieki po trudach wielkiego
i drogiego życia, u stóp matki.

*

Wieczorem pilnie wysłuchałem radiowych komunika-
tów meteorologicznych przed czekającym mnie jutro lo-
tem do Warszawy.

Wstawszy rano udałem się przed hotel Georga, gdzie
czekał autobus Lotu.

Po drodze zwróciłem uwagę na kontrast ruchu ulicz-
nego wileńskiego z warszawskim.

Pomimo dnia powszedniego, ludzie szli jakoś spokoj-
nie, nie spiesząc się. W przeciwieństwie do warszawia-
ków, zawsze śpieszących i rozpedzonych.

Na samolot lecący do Warszawy z Helsinek przez Wil-
no czekało nas 5 osób. O 10 samolot lądował w Wilnie,
zaś o godz. 10.10 startowaliśmy do Warszawy.

Lockheed zatoczył koło nad Wilnem, które leżało te-
raz nisko pod nami, najeżone wieżycami swych pięknych
kościółków, tonące w czerwieni i złocie jesiennych drzew.
Bieliły się w słońcu krzyże Trzykrzyskiej Góry i czer-
wieniła się świeżą cegłą baszta na górze zamkowej.



Obraz zniszczenia spowodowanego trzęsieniem ziemi w Chile.

Wkrótce Wilno zostało daleko za nami.

Sąsiadem moim w samolocie był młody człowiek, któ-
ry tak jak ja przed dwoma dniami, odbywał swój pierw-
szy lot.

Głośno wyrażał swój zachwyt i zdziwienie.

Czułem się już wyjątkowym i objaśniałem rzeczy
i zjawiska, które sam niedawno poznałem. Robiłem to
z niemałą satysfakcją.

Gdy dolatywaliśmy do Warszawy, sąsiad mój stwier-
dził z westchnieniem:

— Piękna podróż! Tylko szkoda, że tak krótko.

Samolot podchodził do lądowania.

Patrzyłem przez okienko kabiny na panoramę War-
szawy.

Szeroko rozłożona po obu stronach wstęgi wiślanej,
poprzecinana ulicami, pyszniła się drapaczem na Placu
Napoleona i niewykończonym masywem Dworca Główn-
nego.

Samolot zatrzymał się przed dworcem lotniczym. Wy-
siadłem z samolotu.

Powitał mnie p. Szkop, który przyjmował samolot.

Serdecznie uściskałem jego wyciągniętą rękę, z wdzię-
cznością odwzajemniłem miły uśmiech, dziękując za
tyle przyjemnych wrażeń, jakie doznałem odbywając
trasę Warszawa — Wilno — Warszawa, samolotem.

LAMIA I BOŁĄ STAWY

Cierpią na to wszyscy artretycy i reumatycy. Są to
choroby przewlekłe i trudne do wyleczenia, nie należy
zatem ich lekceważyć i zaniedbywać i już w początkach
należy wejść na drogę leczenia przyczynowego. Przyczyną
tych chorób jest zwykle wada w przemianie materii
i na to przede wszystkim należy zwrócić uwagę. Zioła
Magistra Wolskiego przeciw artretyzmowi, ischiasowi,
reumatyzmowi i podagrze ze znak. ochr. „REUMOSA”,
zawierające rzadką roślinę chińską Schin-Schen, usuwają
z organizmu nadmiar kwasu moczowego, łagodzą bóle
i regulują przemianę materii. Do nabycia we wszyst-
kich aptekach i drogeriach.



MARIA FILIPOWICZ-WOJCIECHOWSKA

MOGIŁA NA WYSPIE JENISEJU

OPOWIADANIE

Kolej nocnego czuwania dzisiaj przypadła na Zygmunta, zapiął skórzaną kurtkę i usiadł przy sterze.

Mrok gęstniał szybko, chłonąc jaskrawe barwy zorzy i ostre, płomienne strzałki, wykute z jednego, złotego promienia, który słońce odchodząc zostawiło ziemi. Niebo stało się szare, później czarne, a woda, jak wierne zwierciadło, przywdziała jego żałobę. Znikły wstęgi brzegów. Wieczór rozsunął ściany horyzontu, przemieniając świat w bezkres ciszy i ciemności.

Samotna łódź płynęła z bystrym prądem Jeniseju, a wstecz, przeciw wszystkiemu, co było okrutną rzeczywistością, mknęły myśli kierującego sterem człowieka.

Dumał: o Polsce oddalonej o tysiące kilometrów, o rodzinie wygnanej przez wojnę spod własnego dachu i zatufanej w chaosie. Zjawiała mu się przed oczyma — matki głowa siwa, pochylona kędyś, przed świętym obrazem, w żarliwej modlitwie o jego powrót. Ona nie wiedziała, gdzie znajduje się jej syn, ani co przyszło mu przeżyć w tym strasznym dniu, kiedy wojska bolszewickie zajęły Krasnojarsk.

Zanim się to stało, uciekli z miasta wszyscy, którzy chcieli ocalić życie i chociaż cząstkę mienia. Zygmunt nie uciekł. Jako naczelny lekarz wojskowego szpitala, nie chciał opuścić swego posterunku i został na najgorsze. W skwarne południe, błydy lecz spokojny, stawiał się przed groźnym obliczem komisarza.

— Wy doktor?

— Tak.

— Oficer?

— Tak.

— Białej armii?

— Jestem Polakiem i nie mieszam się do wewnętrznych spraw Rosji.

— No... znamy się na tej neutralności. Ilu żołnierzy leczysz się w szpitalu?

— Trzydziestu kilku.

— Jutro zrobimy z nimi koniec, bo nam niepotrzebny ten balast.

— Jak wyzdrowieją oddam ich pod rozkazy panów, ale dokąd są chorzy, nie pozwolę ich tknąć. Takie jest

prawo międzynarodowe, a na szpitalu powiewa chorągiew Czerwonego Krzyża. —

Głęboko osadzone oczy komisarza, błysnęły złowrogo.

— Pan nie pozwoli? Niech pan spróbuje nie pozwolić! Ha... skończyło się wasze panowanie. Za jawny opór, pójdzie pan pod ścianę, razem z nimi. Słyszysz pan?! — grzmotnął pięścią w stół, rozgniewany milczeniem swej ofiary. Po chwili dodał:

— A tę tam, kobietę, przepędzić won!

— To jest moja żona.

— Żona? To ją pan bierz z sobą na tamten świat i stamtąd wnoś skargę przed sąd międzynarodowy.

Wyszedł z tej kaźni pewien, że jutra nie doczeka. No-gi uginały się pod nim, więc stanął wsparty plecami o mur. Nie czuł w sobie szczególnej zmiany, tylko jakieś dokuczliwe palenie w przetyku. Jak większość ginących, chciał pomodlić się. Zaczął „Pod Twoją obronę”... ale po kilku zdaniach pamięć zacięła się; nie umiał już pukać do wrót łaski. Ze ściśniętym sercem myślał, co powie żonie. A kiedy znalazł się przy niej, zamilczał o sobie, tylko ją błagał, żeby wyjechała zanim będzie uwięziony. Piękne, błękitne oczy Basi długo patrzyły na niego z bezgranicznym oddaniem. Wreszcie, znalazła słowa, odsuwające niechybny cios.

— Ja się z tobą nie rozłączę w żadnym razie, więc zostając tutaj zgubisz nas oboje. Czy pozwoli ci na to sumentanie? Oni nas zamordują! Ja jestem młoda, nie chcę umierać, i ty nie możesz umrzeć! Uciekajmy razem. Zyziku najdroższy! Cicho, cicho, nie mów. Ja sama wszystko urządzę. — Przytuliła się; drobne ręce objęły go za szyję, dodając mu otuchy i jednocześnie szukając pokrzepienia dla siebie.

Dziwna to była istota, ta jego Basia. Nerwowa, dziecinna, przeczulona. Nad zdechłym kotem lub stłuczoną filiżanką mogła płakać całymi godzinami, zato w ciężkich chwilach zdobywała się na spokój i odwagę.

Wtedy sprostała trudnemu zadaniu, uzyskawszy protekcję posługaczki szpitalnej, tej samej, o której wiedzieli, że oskarżyła ich wczoraj przed bolszewickimi władzami. Owa Katia, będąc narzeczoną, potrzebowała pieniędzy i przywiązywała pewną wagę do błogosławień-

stwa pani doktorowej. Z tych względów ułatwiła ucieczkę poniżonym burzujom.

Z małym tłumoczkim, zawierającym trochę bielizny i kosztowności, wyszli na miasto, później za rogatki, gdzie poniosły oczy.

W czasie uciążliwej wędrówki, spotkali się z serdecznym swym przyjacielem, który do niedawna dzielił z nimi niedolę tułaczki, a teraz z żoną i maleńkim, chorym synkiem, opuścił Krasnojarsk przed najściem czerwonej armii. Wspólnie z nim postanowili ukryć się przed wrogami, aż do chwili, kiedy możliwy będzie powrót do Polski. Kupili dużą, żaglową łódź i na niej uciekali Jenisejem, na północ, w nieskończoność syberyjskich przestrzeni.

* * *

Zygmunt bacznie przyglądał się rzece. Woda ogromna, nieujarzmiona, gniewna na ludzi wdzierających się do jej królestwa, uderzała miarowo o burty. Zasłuchał się w ten złowieszczy szum, w westchnienia głębiny, w dalekie, śpiewne pluskanie fali; nagle drgnął poczuwszy za sobą czując obecność. Z kajuty, gdzie sypiali, wysunęła się jasna postać i szła ostrożnie ku przodowi łodzi.

— Basiu, przysłaś? Dlaczego nie śpisz?

— Bulikowi gorzej. Och... bardzo źle. Ja myślę, że to już koniec. Radź — mój drogi. To będzie straszne dla Janka i dla Leny. —

Uśmiechnął się smutno.

— W tych warunkach, ciężkie zapalenie płuc u rocznego dziecka. Cóż lekarz może pomóc, nie mając żadnych środków? Jednak pójdę do nich. Zostań na moim miejscu. —

Otulił ją swoją kurtką i, schylając się w niskim przejściu, wszedł pod dach. Przewiewnie tam było i ciemno. Na skrzynce siedział Kitasoto — angorski kot Basi — nieruchomy, kształtny jak gipsowy posążek. Jego wielkie, bursztynowe oczy płonęły jak dwie gromnice i tylko te oczy widać było w mroku, utrudniającym wszelkie poczynania. W kącie kwiliło i trzepotało rączkami chore maleństwo, przy którym stali zrozpaczeni rodzice. Zygmunt odsunął ich łagodnie i przywarł uchem do drobnej piersi Bulika.

— Leno, czy masz płótno na kompres? Trzeba ulżyć choć trochę naszemu, kochanemu biedakowi. —

Długo szukała w walizce, i nic nie znalazłszy, podarła jedwabną koszulę na okład i bandaże. Troskliwie spowinęła płaczące dziecko, które po chwili zasnęło w ramionach matki.

— Niedługo to już potrwa — szepnął Zygmunt — przygotujcie się moi drodzy. —

Przerwało mu szlochanie Leny; wysmukła postać Janka zachwiała się jak pod dotkliwym ciosem. Cisza zaległa, męcząca cisza oczekiwania. Wiedzieli, że z daleka, po wodnej powierzchni idzie ku nim biały anioł, niewołany przewodnik do krainy wieczności.

* * *

Nad ranem dziecko umarło. Rozwidniało się wtedy na świecie; pierzchały mgły rusalczane. Cienie nocy jak dymy kadzidel wzbity się w górę i zastygły pod sklepieniem niebiosów. W nabożnym milczeniu przyrody ukazało się i zabłysło słońce, podobne złotej, najświętszej monstrancji. Dopełniał się codzienny cud wskrzeszenia światła zamkniętego w grobie nocy i z wysoka, z jarzącego ołtarza spływało błogosławieństwo dla ziemi. Łagodna jasność przeniknęła do ciasnej izdebki, gdzie leżało blade i zimne dzieciątko.



Na nędznym barłogu spoczął mały Polak — dziecko pięknego nazwiska, herbu i majątku; okrutnym losu zrządzeniem pozbawiony trumienki i skrawka ziemi, która by przygarnęła i rozsunęła jego prochy.

Matka nie zgodziła się na oddanie ciała wodnemu żywiołowi.

Przybić do brzegu było niebezpiecznie ze względu na podejrzaną usposobienie chłopów, którzy mogli odstawić ich do czerezwyczałki.

Uradzili: zaczekać z pogrzebem dokąd nie spotkają na rzece wyspy.

Płynęli więc dalej, zgnębieni, smutni, nie mówiąc nawet do siebie. Obecność Bulika kładła im na usta pieczęć milczenia, a myśl o rozstaniu z nim, przeszywała serca.



Dopiero nazajutrz wynurzyła się z wody kępa drzew, ku której skierowali łódkę.

Czubate perkozy, nurkujące przy brzegu, zerwały się z krzykiem. Zygmunt wyskoczył na grunt i umocowawszy łańcuch, badał wzrokiem obcy teren. Za szmaragdowym pasem łąki widniał las sosnowy, przetkany olszyną. Nie znać było śladów ludzkiego istnienia, tylko zwierzątka ożywiały ustronie. Mignął wśród zieleni puszysty ogon rudej wiewiórki i wysunęła się zza pnia — śpiczasta, rozumna mordeczka lisa, który przywędrował tu zimą po lodowym moście.

Janek przyniósł siekiere, wybrali miejsce na wzgórzu i wspólnymi siłami zaczęli kopać grób. Ciężko szło bez rydła. Korzenie rąbali, a ziemię wygarniali rękoma. Wolniutko pogłębił się dół.

Lena przyszła z Bulikiem, zawiniętym w prześcieradło, i rzewnie płacząc oddała ciało Jankowi, stojącemu w jamie.

Wtedy, po raz ostatni, ojciec przycisnął do serca jedynego syna i złożył go na grząskim dnie. Basia rzuciwszy pęk kwiatów, przykryła nimi sztywną mumijskę. Upadły pierwsze, lekkie grudki, później z głuchym łoskotem obsunęła się ziemia.

CZESŁAW KSAWERY JANKOWSKI.

KOCIA ZA KULISAMI

Szeroki wychowawczy odcinek dziecka znajduje się w ostatnich latach coraz częściej pod wnikliwym reflektorem obserwacji pedagogów, wychowawców i higienistów. Rozważa się i dystyluje zagadnienie i stosunek dziecka zarówno pod kątem współczesnych warunków życia jak i przystosowania jego psychiki do oczekujących go zagadnień i aktualnych norm istnienia. Nauka za pośrednictwem psychotechniki dąży do prześwietlenia na wskroś: zdolności i indywidualnych właściwości dziecka; eksperymentalność systemów wychowawczych chce doprowadzić do takiego duchowego rozjarzenia istoty dziecka, by wszystko było w nim jasne, przejrzyste, określone.

Czy sytemy, te prowadzone częstokroć z laboratoryjną niemal precyzyznością, wydały pożądane rezultaty, nie będziemy obecnie rozważać — pragniemy natomiast zwrócić uwagę na pewien punkt wielkiego odcinka pomijany i nie poruszany w tym wyjątkowo doniosłym zagadnieniu, jakim jest wychowanie dziecka. Chcemy poruszyć sprawę teatrów dziecięcych funkcjonujących jako stałe i zawodowe instytucje.

Problem teatru dzieci i dla dzieci od dawna interesuje sfery naukowe i wychowawcze jako ten odcinek, którego nie da się już dziś, po wprowadzeniu go do systemu wychowawczego, wyeliminować z życia dziecka. Teatr z istoty swojej stanowiący potężny, silniej oddziaływający, niż inne formy, czynnik kultury od dawna przestał być jedynie miejscem zabawy, stał się natomiast — jak słusznie określa go Mączyński „zwierciadłem żywota ludzkiego” i wykładnikiem teorii, idei i prądów nurtujących organizmy społeczne.

Teatr jest realizatorem uczuć i przeżyć ludzkich i jego działania na wrażliwość mas stała się nawet potężnym środkiem propagandy, a bez istnienia jego życie społeczeństw kulturalnych byłoby pozbawione jednego ze szlachetniejszych i emocjonalnych czynników cywilizacyjnych.

Znów jęli się smutnej pracy, tym razem wszyscy czworo.

Mogła, sypana tkliwymi dłońmi, rosła jak żal i jak tęsknota za utraconym bezpowrotnie szczęściem.

Na wysokim kurhanie zatknęli krzyżyk z bolesną datą, wyrżniętą w nieociosanym drzewie.

Pora już była odejść. Uklękli na świeżym, wilgotnym piachu i każde po swojemu szeptało słowa modlitwy i pożegnania.

Przed wieczorem wsiedli do barki.

Zadzwoił łańcuch niedbale rzucony. Zygmunt z Jankiem zaparli o grunt wiosła i odepchnęli łódź od brzegu; zsunęła się po sitowjach, szeleszcząc jak tren atlasowej sukni.

Bystry prąd porwał ich i poniósł w dal. Uciekał wstecz zielony gaj, który po chwili stał się małą, ciemną plamką na srebrzystym gościńcu rzeki.

Zygmunt nachylił się do ucha Basi.

— Wiosną, w czasie przyboru, zabierze go woda. —

Spojrzeli na Janka, a on odwrócił się szybko, żeby ukryć łzy, spływające po zmęczonej twarzy.

Lena siedziała niema i na wszystko obojętna, patrząc ciągle w stronę wyspy.

Jeżeli zatem teatr wywiera tak silny wpływ na psychikę ludzi dorosłych, opanowanych i zrównoważonych nerwowo i umysłowo, przygotowanych do przyjmowania wszelkich kategorii wrażeń, to wpływ ten oczywiście w stosunku do dziecka jest bez porównania głębszy, wywołujący gwałtowne przeobrażenia i duchowe wstrząsy. Na pobudliwy, emocjonalny, skłonny do łatwych uniesień i ekscytacji umysł dziecka teatr częstokroć wywiera znacznie silniejsze wrażenie, niż dziecko umie to nawet wyrazić. Przy niedostatecznie rozwiniętym zmysle krytycznym teatr może wywołać chaos pojęciowy, wprowadzając uczucia dziecka na niebezpieczną drogę powikłań i manowców myślowych i psychologicznych. Z tych też wychodząc założeń zarówno sfery wychowawcze jak i pedagogiczne zalecają bardzo oględne stosowanie teatru jako czynnika sprzyjającego rozwijaniu kultury i obyczajowości dziecka.

Nie te jednak ogólne uwagi są celem niniejszego artykułu — chodzi nam o zagadnienie wprawdzie mniej złożone, bardziej jednak doniosłe, mianowicie o dziecko biorące stały i zawodowy udział w roli aktora na scenach teatrów dla dzieci. O małe Kocie, Alinki i Basie, o Józiołów, Wojtusiów i Stefciołów za kulisami teatru.

Teatry takie, traktowane jako imprezy zawodowe dochodowe, istnieją, jak wiadomo, zarówno w stolicy jak i — zdaje się w większych miastach prowincjonalnych. Dzieci grają dla dzieci. W podejściu do samej istoty rzeczy, w bezpośrednim ujęciu jej nie ma na pozór żad-

WYKWINTNA PRACOWNIA G O R S E T Ó W.
OSTATNIE MODELE PASÓW I BIUSTONOSZY
„G E N O W E F A”,

wł. G. Szewczyk, Warszawa, ul. Oboźna nr 11, wejście od ul. Słowackiego 1. Tel. 3-31-45. Dzwonek przy wystawie.

nych elementów, które by przeciwko takiemu ujęciu sprawy mogły wywoływać zastrzeżenia i obiekcje. Na pozór — przy dokładniejszej bowiem analizie występuje cały szereg zastrzeżeń nie pozbawionych, zdaniem naszym, tematu do szerokiach w tej sprawie refleksji społecznych, a zwłaszcza wychowawczych.

Jeżeli dziecko jako *widz* ulega wpływowi promieniującym ze sceny, to jakież następują procesy psychiczne w dziecku — aktorze grającym systematycznie, zawodowo, a nawet zarobkowo? Kulisy posiadają dziwnie fascynującą w sobie tajemnicę — reflektory sceniczne, szminka i garderoba tworzą odmienny zgoła świat od tego, jaki leży przed rampą sceniczną.

Dziecko *gra*, spełnia zawodową pracę podciągającą je nerwowo i emocjonalnie do stanu niewątpliwej ekscytacji. Istota gry polega na władaniu nad widzem, na koncentrowaniu uwagi na sobie. Ta koncentracja zainteresowań jest dla dziecka wysoce niebezpieczna, tworzy ona bowiem w jego psychice moment stawiający je wśród otoczenia rówieśników znacznie wyżej, jest sztuczną eliminacją na plan wyjaskrawiony, zacierający granice rzeczywistości.

Kostium, charakteryzacja, gra, a nade wszystko atmosfera teatru i kulisy nie pozostają bez wpływu nawet na mentalności dojrzałe; ten wpływ uwidacznia się w całej jaskrawości wówczas, gdy dziecko wprzega się do *zawodowej* pracy aktorskiej.

Dziecko podświadomie i bezwiednie przenosi czynnik gry ze sceny bezpośrednio do życia, nasiąka atmosferą teatralną, maniera sceniczna staje się manierą drobnego istnienia. Mała primadonna sceniczna po barwnych atlasach kostiumowych niechętnie patrzy na skromną sukienkę i wełniane pończoszki. Jej podatna, porowata jak gąbka psychika przeciąga linie gry ze sceny do codziennego skromnego, szarego istnienia. To istnienie chce ona zamienić na piękny i miły w nastroju akt sceniczny.

Przeprowadziłem szereg konferencji z wychowawcami i nauczycielstwem szkół średnich i powszechnych na temat poruszony w niniejszym artykule. Wszyscy oni jednogłośnie stwierdzili, że teatr jako czynnik podnoszący niewątpliwie kulturę i zewnętrzne cechy dziecka należy traktować w odniesieniu doń z całą przemyślaną przezornością, doświadczenie bowiem wskazało, że zejście z właściwej linii daje w konsekwencji rezultaty ujemne, zgoła inne od powziętych zamierzeń.

Nawet teatr szkolny musi mieć repertuar preselekcjonowany bardzo umiejętnie i oparty przede wszystkim na inscenizacji scen historycznych, podań, bajek, legend itp., aby nie wpłynął on ujemnie i nie wypaczył charakterów młodych aktorów. Z repertuarem z dziedziny komediowej należy postępować bardzo ostrożnie jako z materiałem nie zawsze bezpiecznym...

Teatr i kulisy wywierają szczególnie widoczny wpływ, jak to stwierdzono z obserwacji, na dziewczęta; mała kobiątka znacznie prędzej nasiąka miazmatami atmosfery teatralnej, niż chłopcy. Wiąże się to z jej naturalną psychiką i dlatego też właśnie zawodowy współudział jej w zespołach teatralnych staje się tym niebezpieczniejszy.

Rozmawiałem kiedyś z matką półinteligentką, 9-letnia córka której brała systematyczny udział w zespole teatru

dla dzieci. Na wszelkie wyłuszczone w tej sprawie argumenty odpowiedziała z rozbijającą szczerością — Jeżeli ma spadać, to niech spada z wysokiego konia.

Teatr miał się stać zatem odskocznią do upadku córki w przyszłości „z wysokiego konia”...

Czyż ten epizod rozmowy wymaga jakichkolwiek komentarzy? Czy nie jest on dostatecznie wymowny dla psychologicznej istoty zagadnienia, jakie podejmujemy?

Istnieją, jak wiadomo, przepisy i ustawy normujące pracę dzieci. Czy istnieją one i na tym odcinku pracy, nie mogliśmy tego, niestety, zbadać, a cała sprawa wydaje się w tym względzie dość mętna. Zważywszy, iż część dzieci w teatrach, o jakich piszemy, pracuje zarobkowo, niewątpliwie prawo wypowiada się w tym kierunku jasno i wyraźnie — jeżeli nawet jest, to niemniej samo zagadnienie, jakie podejmujemy jako problem społeczno-wychowawczy, nie traci bynajmniej ani na swoim ciężarze gatunkowym, ani na aktualności.

Zagadnienie dziecka jako przyszłego człowieka, przyszłego potencjału Polski nabiera wyjątkowej w naszych warunkach doniosłości. Sygnalizowane jest ono coraz częściej z rozmaitych odcinków, a niestety sygnały te poczynają rozbrzmiewać tonem coraz bardziej niepokojącym. Uważamy, że pozostawienie sprawy, jaką poruszyliśmy, bez zwrócenia czyjej należy uwagi, byłoby jaskrawym zaprzeczeniem naszej troski o dziecko.

A P A R A T Y
F O T O G R A F I C Z N E
I
K I N E M A T O G R A F I C Z N E



dla rodziny

w podróży — nauce — spacerie

z największej w Polsce, chrześcijańskiej
powszechnie znanej z fachowej i rzetelnej
obsługi

firmy **FOTO-GREGER**

właśc. **KAZIMIERZ GREGER**
POZNAŃ 3

NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY NASZ BEZPŁATNY
PORADNIK - KATALOG P. X. —
który odpowie na wszelkie zapytania z zakresu fotografii.

Nie pozwól by głodne i zziębnięte były dzieci bezrobotnych — złóż ofiarę na Pomoc Zimową



Katastrofalne trzęsienie ziemi nawiedziło Chile w Am. Poł. Liczba ofiar dochodzi 50.000.



Min. von Ribentrop w Włochach. W środku gen. Kasprzycki przebiega ulicę.

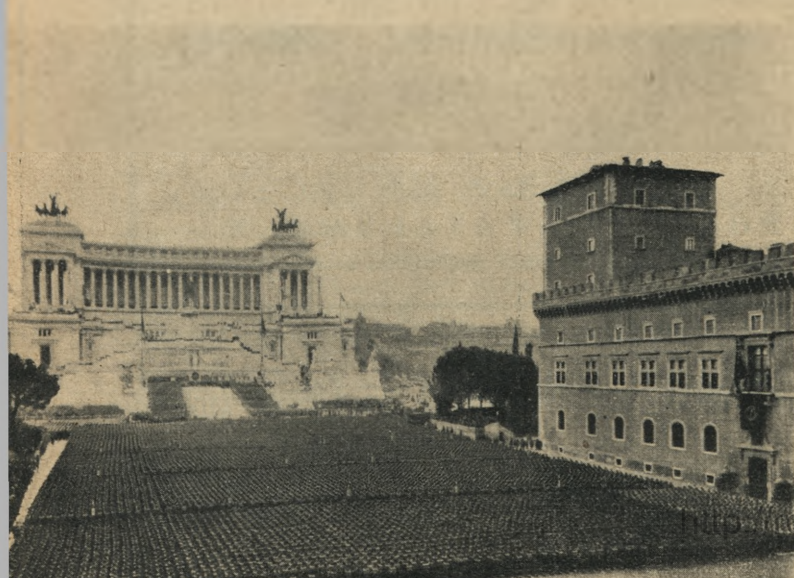
Z SZER ŚWI



Min. von Ribentrop przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Od lewej: p. Łubieński, p. von Ribentrop, p. von Moltke, gen. Kasprzycki, gen. Trojanowski.

Ks. August Włószyn, szef rządu karpatoruskiego.

Karne szeregi ochotniczej milicji faszystowskiej na Placu Weneckim w 16-tą rocznicę powołania tej organizacji. W środku pomnik Wiktora Emanuela II. Z prawej strony Palazzo Venezia, rezydencja Mussoliniego.

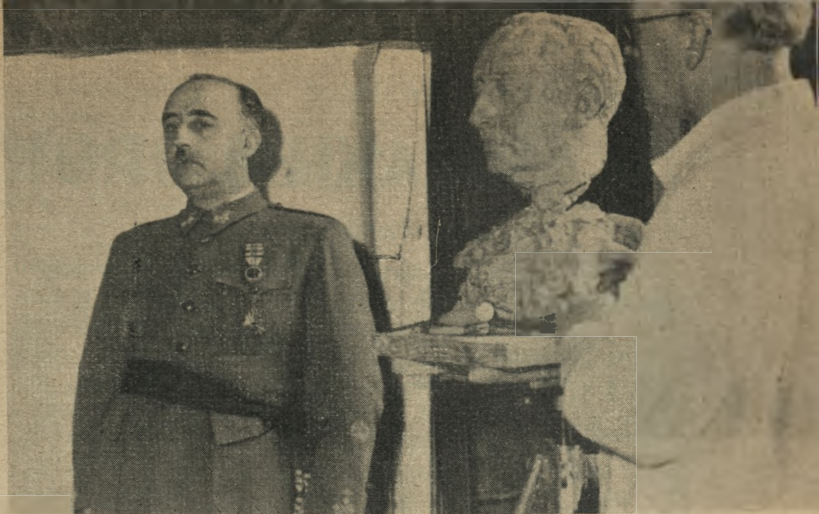




przechodzi w towarzystwie
em kompanii honorowej.

OKIEGO ATA

Mistrzostwa łyżwiarskie Europy w jeździe parami w Zakopanem.
Na zdjęciu popisy węgierskiej pary łyżwiarskiej Bass-Laszlo
i Rotter Barcza.



Słynny rzeźbiarz niemiecki, prof. Georg Kolbe, tworzy spiżowe
popiersie wodza Hiszpanii gen. Franco.



Matki hiszpańskie unoszą swe dzieci przed grozą wojny.

Uchodźcy hiszpańscy na granicy francuskiej w Le Perthus.



SZLAKIEM OPOWIEŚCI BIBLIJNYCH

Kraina wielkiej tajemnicy.

Epos biblijne, to pierwsza wielka literatura naszych dziecinnych lat. Kiedy przestajemy już wierzyć w fantastyczny świat bajki i tajemnicze własności otaczających nas przedmiotów, kiedy słowa modlitwy, sztuka i architektura kościelna, ceremonie liturgiczne zaczynają nabierać treści i znaczeń głębszych, przerstających naiwny dziecięcy antropomorfizm wyobrażeń religijnych, wtedy przed oczyma naszymi otwiera się nowy niezbadany świat. Kraina wielkiej tajemnicy... Pomostem zaś, który do niej prowadzi, są ilustracje w najpiękniejszej księżce świata — biblii. Ziemia Święta, Nazaret, Betlejem, Jordan, Kana Galilejska, Tyberiada, Jerozolima, Golgota — wszystko to staje się w wyobraźni dziecięcej jakimś nierealnym Monsalwatem, celem, do którego winno się dążyć. Mam wrażenie, że okres żarliwej religijności, jaki prawie każde wrażliwe dziecko przechodzi, przypomina — w miniaturze — nastroje średniowieczne, epokę wojen krzyżowych, kiedy pogłębiona idea religijna i wieczysta tęsknota za Wielką Przygodą i Nieznanym splatają się ze sobą w jedną całość.

Dzieje Starego i Nowego Testamentu są bowiem równocześnie Pismem Świętym i najbardziej pasjonującą



Jordan.

lekturą. Świat wędrówek odkrywczych i nadprzyrodzonych wizji, epeje wojenne, rozwój i upadek potężnego królestwa, cudowne życie proroków, uroki nauczających przypowieści, misterium Betlejemu i Golgoty, dzieje apostołskie, narodziny Ewangelii i triumf religii objawionej, wszystko to razem zmieściło się i rozegrało na tym wąskim skrawku azjatyckiego wybrzeża.

Wyobrażenie i rzeczywistość.

Podróż do Palestyny jest zatem poniekąd konfrontacją rzeczywistości ze światem wyobrażeń dziecięcych. W grocie betlejemskiej i u grobu Chrystusa przeżywamy jeszcze raz wspomnienie tych czasów, kiedy po raz pierwszy objawiła się nam wielka poezja i prawda obu Testamentów. Rzeczywistość przynosi jednak wiele niespodzianek. Wszystko właściwie przedstawia się inaczej niż to sobie wyobrażaliśmy...

Więc przede wszystkim klimat i krajobraz... Suche gorąco wisi nieustannie w powietrzu pod szaro-niebieskim, zawsze bezchmurnym niebem. Skąpa smutna zielen (proso, kukurydza, różne gatunki zbóż) nie ożywia bynajmniej szarych kamienistych pól. Martwe osty, agawy, kaktusy, kolczaste krzewy nadają temu monotonnemu krajobrazowi charakter pustynny. To Judea. Znad Morza Śródziemnego od Jaffy i Tel Awiwu jedziemy świetną autostradą na wschód w stronę łańcucha niegościnnych gór. Na osiemsetmetrowym falistym wzniesieniu u stóp Góry Oliwnej leży Jerozolima. Wokoło system dzikich wąwozów. Krajobraz bardziej niż na nizinie surowy i groźny. Potworny żar słoneczny wysuszył i wyniszczył górskie pustacie. Brak wody, brak roślin, brak życia. Szara, rozpalona od słońca skała, szare, rozpalone od słońca budowle. Wszystko ze szarego kamienia. Twarze ludzi również szare. Krajobraz tonie w tumanach szarego kurzu, który się wciska do gardła, nosa, uszu. To... historyczna „Ziemia Obiecana”. Trudno zrozumieć, z czego właściwie żyją mieszkańcy tych ponurych nieużytków. Europejski luksus kolonii nad brzegiem morza Tel-Awiwu i nowoczesnych dzielnic Jerozolimy sąsiaduje z potworną nędzą i brudem, i kompletnym prymitywem życia autochtonów, tak arabskich jak żydowskich.

W Palestynie znajdziemy rozmaite typy krajobrazu. Pas wybrzeża nad Morzem Śródziemnym, to pewnego rodzaju Riwiera syryjsko-palestyńska (malownicze zatoki, skały, sady owocowe, wino). Leżąca na północy Samaria i górzysto-lesista Galilea są to krainy bardziej już ludne i urodzajne. Skąpane w słońcu mirty, laury, cyprysy, gaje oliwne i pomarańczowe, ogrody palm daktylowych i fig kokietują oko podróżnika malowniczością roślinnych form, wdziękiem światłocieni. W miękkich zarysach gór kryje się spokój i łagodna cisza. Nad syntezą palestyńskich wrażeń ciąży jednak historyczne centrum tego kraju. Złowrogi milczenie i groza krajobrazu Judei.

Rozpalona otchłań.

Zjeżdżamy z płaskowyża jerozolimskiego w dziką depresję Martwego Morza. Różnica poziomów tysiąc dwieście metrów, w tym czterysta metrów depresji. Asfaltowa autostrada łukiem omija leżącą u stóp starych murów niewielką Dolinę Jozafata, poczem po przebyciu płaskiego górskiego siodła wali fantastycznymi wirażami w dół.

Jedziemy dnem potwornego leja, pozbawionego roślinności i wody. Wrażenie po prostu niesamowite. W rozpalonym autobusie można się udusić z braku powietrza. Nie sposób też wychylić głowy za okno, gdyż pęd gorącego wichru tamuje oddech i pali twarz nieznośnym żarem. W pewnej chwili w pole widzenia wjeżdża tablica przydrożna, informująca, że osiągnęliśmy już poziom morza. Stąd zaczyna się już depresja. Depresja nie tylko geograficzna, lecz również i psychiczna. W rozszalałym piecu na kołach trudno wytrzymać. Szum w uszach. Krew w skroniach wydzwania coraz to szybsze staccato...

Po godzinie wariackiego staczania się w dół wjeżdżamy wreszcie na dno kotliny. Trzeba jednak przyznać, że krajobraz i atmosfera tej największej na świecie depresji przedstawiają się nieco mniej groźnie, niż to zapowiadała koszmarna podróż. Morze Martwe nie wiele się różni od zwykłego jeziora, rozlanego w kotlinie między dwoma łańcuchami gór. Wiatr marszczy delikatnie powierzchnię wody i trzeba dopiero się w niej zanurzyć, by wyczuć jej potworną gęstość i nasycenie solą. Niespodzianką jest również widok europejskiego hotelu z tarasem, budkami kąpielowymi, plażą... Spodziewaliśmy się tutaj raczej zupełnej pustki, martwoty, ciszy.

Dnem doliny płynie Jordan, szaro-brudna, wąska rzeczka, wijąca się grymaśnie wśród zielonych zarośli, chwastów i kamienistych wydm. Woda w rzece gorąca jak ukrop.

Nieco dalej na północ leżą ruiny Jerycha, smutne kre-towisko z resztkami dawnych murów. Powyżej piętrzy się dzika góra, na której szatan kuśił Chrystusa widokiem... edenu ziemskiego. Świat jest pełen niespodzianek i kontrastów.

Ziemska Jeruzalem.

Miasto wschodnie z daleka wygląda nader... nowoczesnie. Proste klocki domów, płaskie dachy, ściany bez ozdób, gzymsów, sztukaterii — wszystko to przypomina europejskie budowle, zwłaszcza wille, z epoki sześćdziesiąt, betonu i pionu. Kiedy jednak wejdziemy w obręb starych murów, otworzy się przed nami zupełnie nowy niesamowity świat. Miasto wschodnie, to właściwie jeden wielki dom czy bazar z niezliczoną ilością odkrytych lub nawet częściowo krytych korytarzy. Prawdziwy labirynt drózek wykładanych kamieniem i wyrąbanych wśród kamiennych, prostopadłych ścian. Zaułki i zakamarki, uliczki bez nazwy, domy bez numerów orientacyjnych. Schody w górę, schody w dół. Rzecz jasna, że w tej ciasnocie może się odbywać jedynie tylko komunikacja piesza lub wierzchem na wszędzie obecnych osłach. Wszelkie pojazdy konne i mechaniczne muszą pozostać poza pętlą obronnych murów, za którymi dopiero rozciąga się szerokim pasem nowoczesne miasto z asfaltami, neonami, kawiarnianym zgiełkiem. Mury starej Jerozolimy wzniesione przez sułtana Solima w wieku XVI na miejscu dawnych fortyfikacji Hadriana



Fragment murów starej Jerozolimy.



Fragment Drogi Krzyżowej.

i krzyżowców, przeżyły niezliczoną ilość oblężeń aż po czasy dosłownie ostatnie.

Via dolorosa.

W tym chaosie kamiennych, z grubsza ociosanych form toną wszystkie miejsca i pamiątki święte, cel wycieczek i pielgrzymek od tysiąca lat. Wszystko jednak zostało tutaj odbudowane, obmurowane, połączone w system budowli i świątyń. Droga krzyżowa — to ciasna, zawikłana uliczka lekko wznosząca się ku górze. Co kilkadziesiąt metrów wmurowana w ścianę tablica informuje o kolejnych stacjach Męki Pańskiej. Góra Kalwaria, nieznaczne wzniesienie terenu, znajduje się w środku Jerozolimy i jak całe miasto jest pokryta szczelnym labiryntem zabudowań. Droga krzyżowa po kilku zakrętach i załamaniach wyprowadza nas na ciasne podwórko, gdzie nagle wyrasta przed nami masyw Bazyliki Grobu św. Po chwili stoimy już w rozległej nawie pod sklepieniem rozłożystej kopuły. W środku wznosi się niewielka budowla, jak gdyby kapliczka obwieszona mnóstwem wotów i srebrnych lamp. Grób św. We wnętrzu, na miejscu gdzie spoczywało ciało Chrystusa, marmurowa płyta ołtarza, wokoło której zmieści się zaledwie parę osób. Pod dachem tego samego kościoła, wzniesiona nad jego poziom o jedną zaledwie parumetrów kondygnację schodów, znajduje się — Golgota. Dzisiaj jest to po prostu boczna kaplica rozległej Bazyliki, przeładowana dekoracją architektoniczną, malaturami, złoceniami.

Hegemonia kielni i dłuta.

Tak jak wszędzie w Palestynie, tak i tutaj od realnych miejsc świętych kultów jesteśmy oddzieleni zimnym murem i zawikłaną ornamentyką najrozmaitszych epok i stylów. Jest to jakiś niesamowity barok orientalno-grecko-romańsko-bizantyński. Nie możemy się zresztą temu wszystkiemu dziwić. Przez długie wieki święte miejsca były przedmiotem zbiorowego kultu. Starano się ze wszystkich sił, by je zachować przed zniszczeniem, możliwie uświetnić. Na miejscu pogańskich budowli cesarza Hadriana dźwignęły się dwie bazyliki cesarza Konstantyna, przerabiane z kolei wielokrotnie i przebudowywane przez krzyżowców, potem przez Greków i wszystkich kolejnych gospodarzy. Stąd te wszystkie mozaiki architektoniczne, ozdoby częstokroć nieestetyczne, świe-



Węście do Bazyliki Grobu Świętego.

cidełka, obrazy, rzeźby, pamiątki, wota. Pobożni władcy cesarstwa wschodniego, Konstantyn Wielki, św. Helena, potem krzyżowcy, templariusze, oo. franciszkanie, Grecy, Armeńczycy, koptowie, syryjscy jakobici, chrześcijańscy Abisyńczycy, niezliczone rzesze pielgrzymów w czasach nowszych, wszyscy dążyli do uzyskania dostępu do Grobu św. i wszyscy pragnęli w realny sposób dać wyraz swej żarliwej wierze. W rezultacie jednak właściwie zniszczono wszystkie autentyczne pamiątki. Tak się musiało, niestety, stać. Podróżnik odczuwa jednak mimo woli pewien żal, że rzeczywistość odbiegła tak daleko od świata jego dzieciennych wyobrażeń.

Grota Betlejemka.

W odległości dziewięciu km od Jerozolimy leży Betlejem. Scena najpiękniejszej na świecie opowieści o żłobku i gwiazdzie betlejemskiej, o hołdzie pasterzy i królów, zniknęła pod ciężarem bazyliki z czasów Konstantyna Wielkiego. Do groty Narodzenia wchodzi się przez kościół, zstępując w dół, jak do grobowca. Ściany groty nikną pod osłoną makat i różnych pobudówek. Na posadzce w płytkim wgłębieniu w murze srebr-



Morze Martwe.

na gwiazda wskazuje miejsce, gdzie narodziło się Dzieciątko Jezus. W głębi druga nisza, gdzie stał żłóbek. W pełnej nastroju i skupienia ciszy rezległa się nagle melodia polskiej kołedy. Jest to stary zwyczaj naszych turystów, o którym opowiedział oprowadzający nas ojciec franciszkanin. Przypomina się kraj lat dziecińczych, daleka północ, zima, Boże drzewko, szopka z gwiazdą, pasterze wokoło „jasełek”. Najpiękniejszy z kultów i religijnych tradycji polskich. Przejście wzruszające i piękne.

Jeziro Tyberiadzkie.

Jest jednak w Palestynie okolica, która w pełni zachowała krajobraz i atmosferę dawnych biblijnych czasów. Jezero Genezaret. Senna woda otoczona wieńcem cyprysów i girlandą pochyłonych w zamyśleniu palm. Na polach i łagodnie sfalowanych wzgórzach leży cisza. Tutaj chyba nie się nie zueniło przez lat tysiąc dziewięćset. W tych zaś właśnie okolicach żył i nauczał Chrystus. Tutaj miało miejsce uciśnienie burzy, cudowna wędrówka po falach, nakarmienie tysięcznych rzesz. Oto góra ośmiu błogosławieństw. Oto przytulone do jeziora miasteczka, których same nazwy przypominają już rozdziały dziejów Nowego Testamentu. Tyberjada, gdzie św. Piotr został ustanowiony głową widzialną Kościoła, Magdala, skąd pochodziła św. Maria Magdalena, Betsaida, miejsce



Jeziro Genezaret.

cudownego rozmnożenia chleba, Kafarnaum z ruinami przeklętej synagogi. Wokoło egzotyczna zieleń. Eukaliptusy, palmy daktylowe, cierniste akacje. Na dalszym planie nad łańcuchem górskim króluje Hermon inkrustowany płatami wiecznych śniegów. W przestworzu błękit nasycony słoneczną mgłą, cisza, dziwna słodycz. Jezero Tyberiadzkie, Kafarnaum, druga ojczyzna Chrystusa. Kraina, gdzie narodziło się ożywcze światło wielkiej nauki. Obraz ten, to dominanta wrażeń na szlaku opowieści biblijnych.

ZBIGNIEW WILL

PODWARSZAWSKA PALESTYNA

I. Od autora.

Czytelniku! Przedstawiam Ci się: jestem „wielkim” podróżnikiem. „Wielkim”, a jednak nieznanym. „Wielkim” dlatego, że wiele jeżdżę, a nieznanym z tego powodu, że jeżdżę... tam i z powrotem. — Zapewniam Cię, że gdyby los pozwolił mi odbywać podróże jedno kierunkowe, objechałbym kulę ziemską nie raz już i nie dwa i napewno imię moje byłoby już tak głośne, że... nie potrzebowałbym Ci się przedstawiać.

Niestety. Stało się inaczej. Zamieszkałem w Semitówku pod Warszawą, że zaś liczne nici łączą mię z stolicą, więc codziennie — rozumiesz — przejażdżka do Warszawy i... z powrotem. — Jedno pocieszające: nie samowarkiem. Ale powiedz: co mi z wygodnej, szybkiej, taniej komunikacji, gdy wiem, że choć bym do śmierci jeździł, nie wyjeżdżę sobie sławy podróżnika?

Zapytasz: co to takiego ten Semitówek? Licho go wie! Od czterech lat w nim mieszkam, codziennie zadaję sobie to samo pytanie i, jak dotychczas, nie znalazłem na nie odpowiedzi — Osada? Kiedy tam nikt nikogo nie osadził. Wieś? Chłopa na lekarstwo. Miasteczko? Ani jednej kamienicy. Stacja klimatyczna? Bzdury. Miejscowość kuracyjna? Tak mówią, ale ja w to wątpię. Letnisko? Co znowu: mieszkam tu przez cztery pory roku, więc trudno, bym jedną z nich faworyzował innych do głosu nie dopuszczając. A dopuszczę, to będzie: wiosennisko, letnisko, jesiennisko i zimnisko, co

stanowczo nie spodoba się purystom, z których każdy pogodziłby się raczej z nowotworem złośliwym we własnym żołądku, niż z niezłośliwym w języku. Jeśli zatem chcesz koniecznie letnisko — niechaj będzie letnisko.

Gdzie leży? Na linii Warszawa — Otwock. Może słyszałeś co o Falenicy, Miedzeszynie lub Świdrze?... O właśnie: to tam!

Jeżeli jesteś choć trochę lingwistą, to zainteresują Cię źródłosłowy tych nazw. Falenica — to dawna Chwalenica; Miedzeszyn od miedzy polnej; Świder, bo rzeczka tej samej nazwy wświdrowuje się w Wisłę niby korkociąg, wreszcie... Semitówek, no wiesz, od...

Ale, ale co to? Widzę na Twoim obliczu grymas... Tak, nie myślę się: niewyraźny grymas niechęci, niesmaku, czy zdziwienia... — Ach! Więd pewnie zdziwiło Cię pochodzenie tej ostatniej nazwy... Rozumiem, rozumiem... i... śmiałybym się w głos, gdyby nie było mi przykro, że sprawię Ci prawdą słów mych jeszcze tyle zawałów...

Oto dowiedz się, że mnie bynajmniej nazwa Semitówek nie dziwi. Ma ona głębokie uzasadnienie... w rzeczywistości. Dziwią mię raczej owe Falenice, Miedzeszyny, Świdry, które są, jak puste dźwięki, w mych uszach nazwami bez znaczeń! — Rzednie Ci mina? Rumienisz się? Wstyd wpełza Ci na czoło? — Oto słuchaj do końca i wiedz: te wszystkie miejscowości zasługują w całej pełni na nazwy takie, jak: Cebulinek,

Parchawice, Pluskwinki, Wszówek i Pejsyszki... A dla całego tego okręgu, w którym gnieździ się letniskujące żydostwo Warszawy, znalazłbym jedną, jedyną nazwę: Podwarszawska Palestyna.

Tak. A teraz, skoro już znasz mię, Czytelniku, i wiesz, co myśleć o moich podróżach, daj się namówić na rzecz nieco ryzykowną, ale właśnie dlatego pociągającą. Zainteresuj się moimi przygodami, przygodami podróżnika „wielkiego” a nieznanego. — Wiem: przyzwyczaiłeś się do pochłaniania nadzwyczajności. Nęcą Cię malunki srogich bestyj urastających w Twojej wyobraźni do smoków wielopaszczych. Porywają Cię sytuacje w których życie bohatera wisi na włosku i oddychasz z ulgą, gdy ów prawie nieboszczyk cudem powraca z mrocznych krain śmierci na łono życia.

Czy jednak nie wybaczysz mi pewnych odstępstw od tego ustalonego schematu?

Zamiast Afryki, zawiozę Cię do Palestyny Podwarszawskiej; wielbłąda zastąpię zupełnie niezwykłym, bo elektrycznym pociągami; polować będziemy na obrazki z życia w miejsce krokodyłów; a wielką grozę w nas wzbudzą nie bestie puszczy dzikich, nie smoki stugłębne, ale... małe, niepozorne pijawki łase na krew naszą nie mniej, niż owe straszne potwory.

Uśmiechasz się? Rumieniec znikł już z Twoich lic? — Ale, prawda! Więc ta jest różnica pomiędzy moją książką a tymi, które piszą sławni podróżnicy, że tamte czytasz z bez troską, a tę przeczytasz... ze wstydem!

A zatem wiesz już wszystko! Wyrwałś mi sekret spod serca! Piszę, właśnie dlatego piszę, byś się wstydził, wstydził!...

II. Żydzi „umilają” nam podróż.

W przedmowie wspominałem o szybkiej, wygodnej i taniej komunikacji. Obecnie pozwolę sobie na niejaką korektę. Szybka jest. Tania dla tych, którzy mają pieniądze. A wygodna byłaby, gdyby nie korzystali z niej Żydzi. — Pociąg elektryczny jest bez wątpienia wygodniejszy i czystszy od „kopciucha”. Powiedzmy szczerze: w porównaniu z tramwajem trzęsącym żoliborzanina przez przeszło pół godziny w drodze do śródmieścia — luksus! Ale... jeżdżą nim całkiem nieluksusowi pasażerowie i... tu sęk!

Wsiadasz do łaźni. Zapach potu, cebuli, czosnku i całej, wielce skomplikowanej mieszanki wyziewów ludzkich zatyka ci nos. Nie ma czym oddychać. W tłoku, który grozi rozsądzeniem wątych ścian wagonu, zmuszony jesteś ocierać się o chałaty handlarzy wiozących sterty cuchnącego bagażu. Brud tych chałatów i tych handlarzy nie daje się do opisu. Często po takiej przeprawie znajdziesz u siebie kolekcję wiadomego inwentarza. — I tu moja stereotypowa uwaga: nie zrozumie mię ten, kto linią otwocką nie jeździ. Te rzeczy są nie do wyobrażenia; trzeba je widzieć, żeby je osądzić. Trzeba choć raz zostać zmaltretowanym, zgniecionym, zduszonym, żeby wiedzieć w przybliżeniu, co znaczy być stałym pasażerem tej linii.

Ale najkapitałniejsze jest „wsiadanie”, jeśli tak nazwać można niewinnie szturm pasażerów do automata'ycznie otwierających się drzwi. Stado dzikich bachmatów, horda barbarzyńców, potwory najfantastyczniejszych baśni to baranki wobec tłumu usiłującego dostać się do wnętrza wagonu. — Przepis opiewa, że pierwszeństwo mają wysiadający. Jak wiele innych, przepis ten istnieje tylko na papierze. Dlaczego? Bo Żydzi nie respektują polskich przepisów. Rezultat „wsiadania” jest zawsze taki, że nachalny Żyd zajmuje miejsce siedzące,

a grzeczny i unikający brudu Polak wystawać musi pomiędzy ławkami. Najbardziej cierpią na tym kobiety. —

Dla uplastycznienia obrazu należy dodać, że z Polaków mieszkających w tych stronach większość stanowią urzędnicy i młodzież szkolna, Żydzi zaś stanowiący co najmniej 80% pasażerów, to przeważnie handlarze. Trudno pomyśleć, by skromna, grzeczna i przyzwoicie ubrana urzędniczka biła się o miejsce z ludźmi, po których łażą wszy. W tym samym położeniu znajduje się uczennica, a w nielepszym uczeń, czy urzędnik, którym wprawdzie nie brak energii i pomysłowości, ale nec Hercules contra plures. Zresztą tzw. dobre wychowanie jest w tych razach zupełnie „wystarczającym” hamulcem, no i... wstręt, który skłania do zachowania dystansu.

W rezultacie więc, po dokonaniu poprawek, nie przeczę, że komunikacja podmiejska jest wygodna, ale... dla Żydów.

Inny obrazek. — Wsiadam któregoś dnia do pociągu. Wiadomi pasażerowie. Ani jednego wolnego miejsca. Pośród starych brodaczy mały, blade, pejsaty Żydziak w wieku lat dwunastu. Mina i ubiór kandydata na rabina. Jest też kilku niechasydów. Rozmawiają po polsku o urlopach, Krynicy i Zakopanem.

W Radości wsiada kobieta z niemowlęciem przy piersi i zatrzymuje się w pobliżu Żydziaka. — Obserwuję go. Wierz mi, Czytelniku, ani jednego mrugnienia powieką! Ani jednego ruchu, który by świadczył o ułamku bodaj jakiej myśli, że wypada czy należy ustąpić miejsca. Jak mur, jak kamień! — Matka dziecięcia spogląda na mnie i wiele mi to spojrzenie mówi. A zresztą widzę jej nogi uginające się pod ciężarem nad siły, jest zmęczona, oddycha ciężko. Może odbyła daleką drogę do stacji, pocieszając się, że czeka ją w pociągu odpoczynek? — Wskazuję Żydziaka i mówię głosem drgającym od oburzenia:

— Ten smarkacz nawet nie spostrzega pani! Oto jakie są metody wychowawcze u Żydów!

Poczułem na sobie wiele jadowitych spojrzeń, ale nikt nie zareagował na moje odezwanie się. Żydziak, być może, nie zrozumiał nawet o czym mowa. Ogłupione w chederze, szeroko wybałuszone gały w dalszym ciągu patrzyły bez wyrazu przed siebie.

Myślicie, że ustąpili kobiecie miejsca? Gdzie tam! Stała do samej Warszawy.

III. Tragiczna wyprawa troskliwie tuczonoj wychowanicy.

Hurtownia kosmetyków, brud lakierowany na paznokciach, odorujący zapach perfum. Jak zwykle. Ale inowację stanowi olbrzymia, wypasiona pluskwa defilująca po czole siedzącej naprzeciwko mnie Żydówki. — Marszrutę obrała sobie wcale ciekawą. Po zwiedzeniu mateczników rudawej puszczy włosów, mającej dość bogate podszycie łupieżu, wyrzała na obszerną równinę mąką i potem płynącego czoła i, po chwili przezornego wahania, puściła się chyżo jedną z bruzd ku widniejącej z dala kotlinie oka. Kotlinka ta okolona zewsząd wątyłm zagajnikiem sownicie uczernionych brwi wzdrygnęła się na widok tak zamasytowanego gościa, pluskwa zatem, chcąc nie chcąc, okrążyła kotlinkę i już ostrożniej, ale jeszcze dość rączo, powędrowała ku głębokim jarom uwypuklającym garbatą, potworną górę semickiego nosa.

Sytuacja stawała się ciekawa. Obejrzałem się. Niemal cały przedział śledził z zainteresowaniem eskapadę przedsiębiorczego stworzonka. — Szczęśliwy traf zrządził, że procent Żydów był tym razem w przedziale

minimalny. Inaczej bowiem to ze wszech miar wspaniałe widowisko uszłoby uwagi sąsiadów, jako że nikt nie ciekaw rzeczy, z którą żył się od dziecka.

Jak zareaguje nos? Kichnie czy nie kichnie? — Pluskwa nagle zatrzymała się. Dla niej to pytanie było kwestią życia i śmierci. Albowiem kichnięcie dla pluskwy to tyle, co dla nas wybuch wulkanu. Jaką powężmie decyzję? Wróci się, czy ośmieli piąć się na nochal?

W momencie ogólnego napięcia żydówka, widząc tyle oczu w siebie wpatrzonych, pomyślała sobie, że widocznie starania o pogwałcenie natury jej oblicza odniosły wreszcie z dawien dawna oczekiwany skutek, ale dla zamaskowania radości odęła się okrutnie i, żeby podkreślić zupełną obojętność na tego rodzaju pasażerską adorację, ziewnęła, ile mocy w złotej paszczęce. — Ciało pluskwy przejął dreszcz. Trzęsienie ziemi? Otwarcie się czeluści piekielnej? — Przycupnęła cichutko i... ani mru-mru.

Nagle rzecz straszna! — Żydówka nie mogąc wytrzymać by, sprawdzić, czy fortyfikacja jej sztucznych wdzięków rzeczywiście zdolna jest podbić tyle serc przedziałowych, wyciąga torebkę, otwiera ją... przegląda się w lusterku i... zoczywszy jedną ozdobę za dużo... szybkim ruchem ręki usiłuje pozbyć się natręta, który spragniony wspólniej ze swą panią wycieczki, wzgardził larami i penetrami, podejmując tę tak ryzykowną, acz emocjonującą wyprawę.

Niestety! Zdenerwowanie nie pozwoliło na pomyślne przeprowadzenie zabiegu. Pluskwę spotkała katastrofa. Świadczyła o niej rdzawo-purpurowa smuga na nosie żydówki, świadczyło o niej głębokie a smętne westchnienie serc pasażerskich.

Atoli reakcja musiała przyjść. Wzdychanie wzdychaniem i żarty żartami, ale menażeria jeżdżąca w przedziałach dla ludzi, to trochę za dużo. — Jedna z pań powiedziała:

— Takich ludzi nie powinno się do pociągu wpuszczać. Przecież to zaraza!

Jeden z panów:

— Ohydne stosunki! I obrażają się, gdy mówimy o specjalnych dla nich wagonach.

I jeszcze ktoś:

— Przecież wiszą tabliczki, żeby nie wozić ze sobą materiałów żrących, cuchnących i tak dalej.

— Panie! — odzywa się głos z kąta — według teorii względności, co jednemu cuchnie, to drugiemu pachnie. Oni by jednego dnia nie przeżyli bez robactwa.

— Dobrze! — próbuje ktoś zaoponować — ale ja nie mogę przeżyć jednej godziny właśnie z robactwem!

Hi! hi! hi! — śmieje się głos z kąta — pan możesz dużo przeżyć! Będziesz pan jeszcze lata tym pociągiem jeździć, niejedną pluskwę zobaczysz, a nie nie poradzisz.

— Właśnie, że poradzę! — wycedził oburzony pan — i, korzystając z pojawienia się konduktora, opisał zajście i zażądał usunięcia żydówki z przedziału.

Zrobiło się zbiegowisko. Multum żydów biegło na pomoc zagrożonej współplemiennicze. Szwargot wzajemnych informacji zagłuszył przez chwilę wszystko inne. — Konduktor, usłyszawszy o co idzie, zakłopotał się wielce. Biedne konduktorzysko! On by tak chętnie spełnił życzenie oburzonego pana! Nawet przez jeden malutki momentik zawahał się. Ale widocznie przez głowę przemknęły mu jakieś „reminiscencje służbowe”, może wspomnienie podobnego wypadku zakończonych dla niego... naganą... — Cóż on może? On: gubiąca się

MŁODZIĘNCY,

którzy pragną zostać braćmi - misjonarzami w Stowarzyszeniu Misyjnym Księży Pallotynów niech się zgłoszą po warunki przyjęcia. Wiek wymagany szesnaście lat skończonych. Rzemieślnicy mają pierwszeństwo. Na odpowiedź załączyć znaczek.

KS. PROWINCJAŁ KSIĘŻY PALLOTYNÓW,
WARSZAWA 1, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.

śrubka olbrzymiej maszynierii! Gdyby mógł być szczery! Oho! Czego to on by nam nie powiedział! Przede wszystkim to, że kolej... nie może być zbyt rygorystyczna wobec tych, z których czerpie... swoje główne dochody. Żyd jest niemal wyłącznym pasażerem otwockiej linii i żyda... za pluskwę wyrzucaliby się z wagonu? — Płaci! Więc wymaga. Wymaga, by wolno mu było „za jednym biletem” przeszwarcować od razu kilka sztuk, to znaczy: siebie, pluskwę, wsę i pchłę. Już nie mówiąc o cuchnącym, ciekawym, śmierdzącym bagażu, którym zablokuje i tak już po ostatnią szpilkę przepętlone wagony.

No, ale cóż! Konduktor nam tego nie powie. Ma mundur. Strzeże „tajemnic” służbowych. — Zapluskwiona żydówka pozostaje w przedziale, żydzi z zadowolaniem komentują orzeczenie konduktora, z ukrytą nienawiścią ścigając wzrokiem człowieka, który zamarzył — co za śmiałek! — o czystej, kulturalnej podróży do stolicy i powoli rozchodzą się po przedziałach.

Patrzmy sobie porozumiewawczo w oczy i wiem, że jedna myśl świdruje wszystkie mózgi. Chcąc być tej myśli wyrazicielem, odzywam się głucho:

— Wszystko jedno. Jak jest, tak jest. Ale taki stan rzeczy długo już nie potrwa!

— Przecież w końcu cierpliwość skończyć się musi — wzdycha pani.

— A właśnie! — podchwytuje pan — cała kwestia: kiedy się skończy?

— Hi! hi hi — ironizuje głos z kąta — u nas kończy się wszystko... na gadaniu. Ot, co!

* * *

„Wieczór Warszawski” z dnia 10. X 1938 donosi:

„Czerniowce 10. 10. (PAT). Rumuńskie ministerstwo zdrowia zarządziło w porozumieniu z dyrekcją kolei, iż wszyscy podróżni 3-ej klasy przybywający z Bessarabii do reszty Rumunii muszą posiadać świadectwa „całkowitego odwszenia”, bez których nie zostaną wpuszczeni do wagonów”.

Ciekawe. W kraju, o którym mówi się, że niżej stoi pod względem kultury od naszego, obowiązuje przepis gwarantujący obywatelom ludzkie warunki podróży. Tymczasem u nas o czymś podobnym nikomu nawet się nie przyśni! Dlaczego? Czyżby pasażer polski był od macochy? A może ta opieszałość wynika z obawy przed trudnościami, na jakie natknęłaby się tego rodzaju akcja?

Bo u nas jedno zaświadczenie nie wystarczyłoby. Co najmniej trzy: odwszenia, odpchlania i odpluskwienia. I nie tylko dla 3 klasy.

ROZMOWY Z MŁODSZĄ SIOSTRĄ

Na list Ryszarda odezwały się dwie z Was tylko, moje miłe Siostrzyczki, a... ani jeden z chłopców. Dlaczego? Może odpowiedziecie na to następną korespondencją, Braciszku? Czekamy.

A tymczasem Redakcja prosi Ryszarda o adres. Słuszna to rzecz, byśmy się poznali między sobą, jeżeli do jednego celu zdążać chcemy.

Co do listów otrzymanych, to przede wszystkim z radością witamy list ze Złotego Potoka, opisujący wiejskie stosunki. Mówiliśmy dotąd stale tylko o młodzieży miejskiej — słusznie więc dopomina się o swoje miejsce w naszych „Rozmowach”.

„Mam lat 18 — pisze Potoczanka. (Czy można wymienić Twoje nazwisko? Czy podałaś je tylko do wiadomości redakcji?) — myślą jednak jestem dużo starsza, gdyż życie hojnie obsypywało mnie drobnymi, ale częstymi doświadczeniami, od bardzo dawna otwierając mi oczy na piękne i niepiękne swoje strony, nie ukrywając nawet tego, co mogło załamać kształtującą się dopiero duszę.

Mieszkałam na wsi, życie miejskie znam tylko z jego echa, ale przecież dzisiejsza wieś ma swoje życie intelektualne, które choć jeszcze słabutkie i zamknięte w ciasne ramy, przecież może kiedyś wygrzebieć się z powijaków, może zapali ogół?...”

Nie możemy nawet wątpić o tym, Siostrzyczko. Przyszłość naszej Ojczyzny leży w rozwoju kultury wsi, która musi rychło wejść olbrzymim ruchem na drogę taką, na jaką przed laty 80 weszła Dania, która siecią uniwersytetów ludowych pokryła kraj i zespoliła inteligencję miejską z wiejską, wprowadzając do gospodarstw wiejskich wszystkie te udogodnienia techniczne, z jakich korzysta miasto. Dziś gospodarz duński, czyszczący obórę, potrafi ze zwiedzającym jego zagrodę nauczycielem Polakiem rozmawiać o Meterlincku, a jego córka przerywa grę na fortepianie, by iść wydoić krowy i przepuścić mleko przez wirówkę odwieść hańki do spółdzielni mleczarskiej.

Ale to uwaga na stronie, bo wszakże chodzi nam w tej chwili o to, by nasza młodzież stała się taką, aby mogła i umiała to polskie życie przetrwać, zamiast tracić się w jałowym kręgu jeden do drugiego podobnych bezowocnych dni.

Pisziesz bardzo wnikliwie o zagadnieniu psychiki dziewcząt. Pisziesz przede wszystkim, że „dziewczeta są istotnie bardzo płochy i często śmieszne. Nie czują potrzeby myślenia, brak im energii, zdają swój los na łaskę Opatrzności. Jedyną ich myślą jest spędzić jak najprzyjemniej czas, dopóki nie zjawi się wybraniec... Jeżeli dziewczyna pracuje, całą zapracowaną sumę obraca na stroje, co często nie byłoby złem, gdyby nie to, że w domu bieda aż piszczy. Tak, ale przecież nie trzeba według tej płochy części sądzić ogółu”.

„Mundur”, „bujanie” i owa „chętniwość” — to przecież wyłączenie uczennic i dziewcząt, które nie myślały jeszcze dużo o życiu, a z takimi „kozami” rozsądny mężczyzna będzie rozmawiał, jak z dziećmi. I właśnie w tym sęk! Wszystkie uczennice, dopóki są uczennicami, bywają ciągle oto-

czone i to nie tylko przez chłopców do lat 20, ale nawet przez takich, którym lat 30 zawisło nad karkiem”.

I oto znów jedna z Was, Siostrzyczki, świadczy, że „taki pan... potem chwali się, ile to panienek, takich, wiecie, gąsiątek, wprowadził w życie”.

„Na wsi — czytamy dalej w liście — sprawa małżeństwa przedstawia się wcale nie tak, jak to sobie niejedna z córek gospodarskich wyobraża. O małżeństwie dzieci gospodarskich decyduje ilość i jakość posiadanej przez oboje pola, a częściej jeszcze to, że gospodarze zagrożeni rozdrobieniem gruntu scalają dwa sąsiadujące ze sobą pola w jedno za pomocą małżeństwa dzieci”.

„Dziewczyna nie każda potrafi samodzielnie iść przez życie. Często brak jej wykształcenia, często energii, a czuje paniczny strach przed staropaniństwem, które u nas na wsi prawie za hańbę bywa uważane. Widzi, że inne głupsze, brzydsze, ale flirciary, mają powodzenie, wychodzą za mąż, mimo szeptanych o nich na ucho plotek. Więc, gdy czuje, że zawodzi stare przysłowie: „Siedź w kącie — znajdą cię” — idzie drogą tamtych. Głupstwo robi, ale jest przekonana, że tą drogą dojdzie do małżeństwa”.

„Dziewczeta nie szanują się” — pisze Ryszard. — Trzeba zrozumieć przyczynę, bo one są tylko słabe i troszeczki nieoligiczne: biegają z prądem i z początku omotane nie śmiały się przeciwstawić mu, a potem widzą, że im z tym dobrze, że mają powodzenie — więc... wrzęgają się do tego rydwanu, na którym jedzie rozparty, błyszczący pokusami „głupiec” i ciągnąc go skaczą z chmurki na obłoczek, który pod ich stopami rozpływa się, jak każde złudzenie. W tym „nie szanowaniu się” więcej jest zaciekania i ufnosci (tak!), niż świadomej złej woli. (Nie biorę pod uwagę osób przeżytych).

Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego to mężczyźni biegają za tym, co błyszczy?

Mężczyźni nie cenią w kobiecie duszy. Oceniają ją tylko według jej urody, dowcipu, a przede wszystkim dodatnich cech fizycznych. Im kobieta jest wyższym człowiekiem, tym mniej podoba się mężczyźnie. Niechże wreszcie mężczyźni przestaną się uganiać za motylkami, a więcej czasu poświęcić dziewczętom zrównoważonym i mądrym, wówczas na pewno znikną z horyzontu motylki, zmuszone do myślenia nie tylko o kwiatach, ale o złotym dorodnym zbożu”.

„Niechże mężczyźni wyjdą z własnego serca, w którym siedzą, jak bożki chińskie ze skrzyżowanymi nóżkami, wpatrzeni w siebie, niechże obetną trochę skrzydła swemu egoizmowi, którym tak często się kierują, niech przestaną kolekcjonować świecidełka. To prawda, że dziewczętom wiele brak, ale i mężczyznom brak nie tylko „życia się z przyrodą”, jak pisze Ryszard.

„Mężczyzn tak, jak on, myślących jest bardzo mało. Czemu tak jest.

„Nie szukajmy przyczyn po wierzechu, ale sięgnijmy głęboko do sedna. Ludzie wykreślił Boga z osobistego życia! Uważają, że Bóg im zawadza w życiu. Pamiętać o Przykazaniach — to takie niewygodne! Przecież one zabraniają stanowczo rzeczy, które sprawiają przyjemność.

„Wiesz pod tym względem stoi — o ile mogą porównać — jeszcze niżej, niż miasto... Chłopak wiejski po skończeniu 3 czy 4 oddziałów szkoły powszechnej umie

wprowadzić czytać, ale nie umie myśleć i jest... leniem. Trzeba więc wskazać mu kierunek, w którym winny iść jego myśli. I czyni się to, ale — i tutaj spotykamy 2 przeciwnie prądy: katolicki i bezbożniczy. Za pierwszym idą tylko nieliczni, za drugim — chociaż skrycie — biegną gromady. Dlaczego? Dlatego, że ten drugi nie zmusza do myślenia, lecz, owszem, pozwala człowiekowi zapomnieć, że jest człowiekiem! Skutki tego to ciągłe pijaństwa, bijatyki i inne występki... Czy to kto z tej wiejskiej gromady pomyśli o uczciwym zachowaniu się względem dziewcząt?

„Moralność na wsi stoi na bardzo niskim poziomie. Nie pomagają nawet Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży, które zresztą na 150 dziewcząt we wsi liczą na przykład... 20 członkiń. I to takich, jak z takich.

„Złe jest. Jak zaradzić złu? Zmusić te masy do myślenia! Jak? Głos pojedynczy, drżący zalemem, wrzyski na chwilę i... przejdzie bez echa. Jedyną drogą — sądzę — byłoby powszechne porozumienie się i zdecydowanie ludzi myślących. Nasza „inteligencja” zanębia się, jak ślimak w skorupie. Nie udzielają się. Dziwne i przykre zarazem. Myśleć można by, że oni nie są tymi, którzy chcą pełnąć naród na wyżyny, ale tymi, którzy zadowoleni ze stanowisk, na które ich wciągnęła inteligencja, uważają, że nie są do niczego więcej obowiązani. No, ale w takim razie, dlaczego chłop ma sobie odmawiać rzeczy, w których znajduje przyjemność?”

Poruszyłaś, Siostrzyczko, istotnie ważne sprawy. I — niestety — prawdziwie je ujęłaś. Nie tylko w Twojej okolicy dzieje się tak, jak piszesz. Takie same wieści mamy z innych okolic. A jednak wszędzie są ci, którzy widzą zło i nie ulegają mu, tylko... może za mało mają odwagi, może nie umieli jeszcze w sobie wykrzesać wielkiego ognia, zdolnego zapalić innych. Może po prostu brak im świadomości, że nie są samotni tak, jak im się zdaje. Bo przecież sami czytacie, że coraz to ktoś odzywa się z różnych stron kraju. Więc jest Was gromada. A poczucie, że idzie się gromadą, wzmacnia siły.

O! może by tak każdy z Was znalazł sposób przekonywania innych, gdyby miał pod ręką na przykład wydane przez OO. Jezuitów książeczki (wspominaliśmy już o nich przed rokiem) o. Hardy Schilgena T. J.: dla dziewcząt „On i ty”, dla chłopców „Ona i ty”. Tegoż autora jest „Młodzi zwycięscy (słowo do młodzieży miejskiej)”. — O. Tihamer Toth (ksiądz, Węgier rodem) napisał „Życie piękne i czyste” (wyd. Księgarnia Świętego Wojciecha). Uczy w tej książeczce, jak się zachować wobec ludzi, którzy innych do upadku pociągają, jak się odnosić do drwin, przypomina, że są ludzie, „których drwiny stają się pochwałą”. Rozbudza męstwo. Przytacza zdania powag lekarskich, zwraca uwagę na higienę myśli i kształcenia woli. A tłumacz polski dodaje do jego słów grzmiącą przestrożę: „Obecnie, młodzieńcze, jesteście tylko zawiązką przyszłego narodu, ale możecie stać się bohaterem, lub grabarzem młodej Polski! W gigantycznej walce, jaką prowadzi narody o pierwszeństwo, ci tylko zostaną zwycięscami, którzy będą mogli wystawić dzielnych mężczyzn, mężczyzn o nieugiętych charakterach”.

I to jest prawda. Dziewczeta będą takie, jakimi je będą chcieli widzieć mężczyźni. Geś ani pawica nie wychowa orła.

Starsza Siostra.



SPRAWY RODZINY

Na szerokim świecie.

Międzynarodowy ośrodek dokumentacji w Paryżu w biuletynie swoim ze stycznia br. podaje następujące rozważania na temat ojcostwa i macierzyństwa nielegalnego wobec prawa moralnego.

Gdy dziecko rodzi się ze związku nielegalnego, opinia publiczna potępia zazwyczaj matkę, a uniewinnia ojca. Ten poziom opinii publicznej wyraża się w prawodawstwie niektórych narodów.

Ocenę taką należałoby zasadniczo zmienić, gdyż przynosi ona podwójną szkodę tak jednej jak i drugiej stronie, tzn. tak poszkodowanej jak i uniewinnionej, a przede wszystkim zdrowotności więzów społecznych.

Poczucie odpowiedzialności jest przy tym tak silnym uczuciem, że warto je wyzyskać jako hamulec od czynów groźnych w następstwie, bo błędnych i za takie uznanych.

Człowiek, dzięki swoim właściwościom, staje się twórcą, a to zbliża go i w pewnym stopniu upodabnia do swego twórcy — do Stworzyciela. To Boskie podobieństwo daje godność osobowości ludzkiej.

Podobieństwo to nie niezależnia go jednak całkowicie. *Człowiek nie jest równy Bogu.* Rozum wskazuje człowiekowi liczne więzy, które poddają go woli Tego, który wolnym aktem stworzył go i utrzymuje.

Przekroczyć prawo ustanowione przez Tego, który jest najwyższym prawodawcą, bo Stwórcą wszechrzeczy — to znaczy przekroczyć poza porządek ustanowiony przez Niego w środowisku, gdzie akt był spełniony.

I oto odpowiedzialność z płaszczyzny moralnej, bez żadnych zmian podstawowych, przechodzi na płaszczyznę odpowiedzialności społecznej.

Ojciec Sertillanges pisze: „Powiedz mi w jakim stopniu jesteś odpowiedzialny, a powiem ci, jakie jest twoje rzeczywiste społeczne stanowisko”.

Nieodpowiedzialność za dokonane czyny jest wystdem dla tego, który z tej nieodpowiedzialności korzysta.

P. Henri Loria precyzuje myśl w następujący sposób: „Nie jesteśmy w możności wycofać naszych czynów, „zabrać” je z powrotem, unicestwić je. Raz zaistnieją w czasie — już podległe są zmianom i właściwościom czasu, który je niesie ze sobą i często pomnaża nieskończenie, nawet na

wielką odległość od nas samych i od chwili spełnienia tychże czynów”.

Następstwa te, podobne śnieżnej kuli, wzrastają i mnożą się dla dobra społeczności, lub dla jej rozkładu. Kierownicy społeczni, których zadaniem jest kierowanie społeczeństwem, mają obowiązek przeciwstawienia się każdemu rozkładowi.

Stosując powyższe rozważania do zagadnienia ojcostwa i macierzyństwa poza legalnym małżeństwem, władze państwowe mają w pierwszym rzędzie obowiązek czuwać nad rzeczywistymi ich konsekwencjami społecznymi.

Następstwa są oczywiście równie ważne, ale różne dla obu płci. Toteż inaczej należy się do nich odnosić: matce i dziecku dać opiekę, z drugiej zaś strony przeprowadzić odnalezienie ojcostwa.

Prawdziwie ludzkim i społecznym stanowiskiem prawnym jest to, które wypływa z zasad moralnych i daje odpowiednie rezultaty moralne. Stąd władze państwowe w poczynaniach swoich oraz w wykonywaniu prawa uszanować winny godność ludzką i prawo do osobowości.

Dotyczy to zatem praw matki do własnego dziecka, oraz praw samego dziecka do opieki, wyżywienia i wychowania przez tych, którzy mu dali życie.

Należy odrzucić wspólną wszystkim urzędom skłonność do załatwiania wszelkich spraw czysto formalnie i powierzchownie, rząd winien, uwzględniając stosunki społeczne, oprzeć swoje czynności przede wszystkim na prawie moralnym, tym sposobem najlepiej uwzględni on poszczególne wypadki i potraktuje każdą sprawę indywidualnie, w tym duchu organizując odpowiednie instytucje.

Działając w ten sposób, w pełnym uwzględnieniu *czynnika ludzkiego*, który nim wędzie w dziedzinie materialną i fizyczną, *najprzód* jest zjawiskiem duchowym — władze państwowe uszanują wartości duchowe, które są u podstaw godności ludzkiej i promieniują na całe społeczeństwo.

Więcej jeszcze, rząd musi nie tylko uszanować, ale i popierać wszelkie dążenia, idące w tym kierunku, a przede wszystkim te, które zmierzają do wychowania odpowiedzialnego młodych pokoleń.

Jest bowiem rzeczą niezaprzeczoną ważną i konieczną ograniczyć i skrepić namiętności człowieka, który jest w stanie porzucić kobietę i dziecko. Ale dużo ważniejszą sprawą jest popieranie takiego wychowania, które kształci młodzież w dy-

scyplinie moralnej, w opanowywaniu egoistycznych instynktów, wskazujące mu na konieczność tej dyscypliny ze względów ludzkich i nadprzyrodzonych. oraz wzniosłość walki z pierwotnymi instynktami, dla zdobycia pełnowartościowego człowieczeństwa.

Dla osiągnięcia tej równowagi moralnej i społecznej pracować muszą wszyscy; poszczególne jednostki, społeczeństwa, narody i państwa. Praca w tym kierunku, to praca nad cywilizacją i postępem ludzkości.

Matka w rodzinie jest przede wszystkim powołaną do tego czynu. Ona bowiem budzi i wyrabia sumienia dzieci, ona urabia dobre przyzwyczajenia, ona uczy wysiłków moralnych, wyrzeczeń i poświęceń, ona uczy obowiązkom swoim patrzeć „twarzą w twarz”; ona w społeczności ludzkiej wysoko stawia czynnik duchowy i nadprzyrodzony.

Katolicka Agencja Prasowa podaje, co następuje:

„Catholic Herald” w czołowym artykule zwraca uwagę opinii publicznej w Anglii na zagrażające coraz bardziej Wielkiej Brytanii niebezpieczeństwo wyludnienia. Zjawisko to staje się groźne nie tylko w samej Anglii, lecz i we wszystkich dominjach Wielkiej Brytanii, jak Kanada, Nowa Zelandia, Australia, Afryka Południowa itd. W 1875 r. w Nowej Zelandii na 1.000 mieszkańców przybywało rocznie 40 dzieci. W 1899 r. — 25, w roku 1936 — już tylko nie całe 17 na tysiąc. Jest to tym bardziej charakterystyczne, że Nowa Zelandia wykazuje najmniejszą śmiertelność na całej kuli ziemskiej (zaledwie 8,75 na tysiąc). Podobnie rzecz się przedstawia i w Australii. Ludność Kanady nie wymiera jedynie dzięki płodności emigrantów Francuzów, a ludność Afryki Południowej (kolonie brytyjskie) jedynie dzięki Burom. „Angley — pisze „Catholic Herald” — jak widać, potrafią produkować kosmetyki, samochody i bezroboczych w ilościach więcej, niż potrzebnych, ale nie dzieci”.

W dalszym ciągu artykułu cytuje katolicki tygodnik wyjątki z ostatniej książki o depopulacji światowej pióra znakomitego lekarza i badacza tych zagadnień, dra Mc Cleary, który udowadnia na podstawie cyfr, że Anglia ze wszystkich krajów na świecie wykazuje prawie największe wyludnienie, gdy tymczasem największy przyrost ludnościowy można zanotować w Rosji sowieckiej. Cztery państwa poczyniły poważne

wysiłki w kierunku zatrzymania wzrastającego wyludnienia. Są to Francja, Włochy, Niemcy i Belgia. Jak dotychczas właściwie tylko III Rzesza ma poważne rezultaty w tej dziedzinie.

W końcu („Catholic Herald”) podaje nieco cyfr, świadczących o masowej sprzedaży środków zapobiegawczych przeciwko ciąży. I tak w samych tylko Stanach Zjednoczonych A. P. wydaje się rocznie ni mniej, ni więcej tylko 570.000.000 dolarów na środki zapobiegawcze.

Zdaniem dra Mc Cleary, przyczyną stałych postępów depopulacji na świecie, a zwłaszcza w krajach europejskich, jest w dużym stopniu pogoń za „wrażeniami”,

za „dreszczykiem” emocji wszelkiego rodzaju, nocne życie w miastach, alkohol, oraz brak jakiegóż głębszej filozofii życiowej.

W Polsce.

W komisji sejmowej, w dniu 25 stycznia br., w czasie obrad nad budżetem Ministerstwa Sprawiedliwości referent, poseł Szczyński, powiedział między innymi:

„Prawo w państwie polskim winno się opierać na jego faktycznych stosunkach społeczno-gospodarczych. Dlatego ustawa — nie może być wzorowana na obcych ustawach, które regulują inne stosunki faktyczne. Komisja kodyfikacyjna przystępuje do

opracowania bardzo ważnych działów prawa cywilnego. Ważne jest jakie ideowe podstawy będą przyświecały tym projektom, czy podłożem będzie zasada liberalizmu, wyzwalającego egoizm indywidualnej jednostki, czy też zasada wzmocnienia rodziny. Nie wątpię, że w nadchodzących kodeksach, zgodnie z polskim instynktem społecznym i tradycją dawnego prawa, znaczenie rodziny w życiu narodowym będzie ideą podstawową”.

Opinia społeczna winna nadal czuć nad niezłatwioną sprawą prawa małżeńskiego i rodzinnego, gdyż jest ono, jak wielokrotnie pisaliśmy, *podwaliną ładu społecznego*.
Zofia Jankowska.

NASZA WSPÓŁPRACOWNICZKA LAUREATKĄ KONKURSU ŚW. WOJCIECHA

Wanda Miłaszewska ma swoją kartę w literaturze powieściowej: autorka „Kacząt” otacza swe książki klimatem niewątpliwie zdrowym. Zagadnienia są rozwiązywane w płaszczyźnie etycznej, charaktery rozwijają się w zmaganiach z problemami życia, naświetlonymi odgłębnie, postawionymi w obliczu dobra i zła.

Powieść Miłaszewskiej „Bogaćtwo” otrzymała nagrodę konkursową Św. Wojciecha i była drukowana na łamach „Przewodnika Katolickiego”. Ma to być zatem powieść dla szerokiej masy. Jednak nie jest ona ujęta popularnie — może jednak i w tym ujęciu spełniła swoje zadanie, gdyż nie zawiera w sobie zbyt wielu przesłutelnich psychologicznych, ani refleksji zbyt przeintelektualizowanej.

Za to przypomina nam ta powieść najlepsze tradycje pozytywizmu polskiego. Bodaj że jesteśmy w samym środku renesansu tegoż pozytywizmu w literaturze — o ile pisarz współczesny w ogóle porusza jakie zagadnienia narodowe lub społeczne. Daleko odeszliśmy od potężnej inwazji poezji w literaturę, kiedy to nawet powieści (Przybyszewski) pisało się, jak poematy impresjonistyczno-kosmiczne. Przyszło po dniach zwycięstwa szare życie z codziennymi jego zadaniami, życie nie do wyminięcia, życie konieczne. Trzeba w dolinach orać i osuszać bagna, nie zaś na szczytach ścigać wizje wieczności, zawieje gwiazd...

To nastawienie nowego pokolenia, które chce życie twardo i trzeźwo zbudować, a nie, zpatrzone w dale, pozwolić sobie zeskałmotać spod ręki podstawę ziemską bytu, jest i u Miłaszewskiej. Porusza ona tak potrzebną i żywo, zwłaszcza przez Wielkopolan, odczuwaną potrzebę spolszczenia handlu polskiego. Tu chodzi o połów śledzi i handel nimi w Gdyni. Widzimy typ Polaka-kupca i armatora kutrów rybackich, typ gruboskórny, rubaszny, nie patyczkujący się z sentymentami, ale za to dzielny, zdobywczy, w gruncie rzeczy zaś nie pozbawiony lepszych uczuć. I umiający, prócz swego ciasnego podwórka i swego interesu, spojrzeć na rzeczy szerszej, z punktu widzenia narodowego.

Inną nowoczesną nutą w książce jest demokracizm. Miłaszewska zestawia warstwę drobnonieszczęśliwą — sklepikarzy Tomezyków, z których wyszło pierwsze pokolenie inteligentów, z szlachecką rodziną Daleckich. Porównanie wypada na korzyść tej nowej warstwy społecznej. Choć i z Daleckich wychodzi dzielna, ofiarna Krystia, przeciwstawiona swej siostrze Loli — uoso-



bieniu oportunistycznym i sobkostwa, płytkiej snobce. Nie dobrze jest poniewierać warstwy historyczne w narodzie: odradzają się oto, biorą dzielnie do pracy, jak owa Krystia u Miłaszewskiej, wnoszą dużo wartości w życie narodu, są łącznikami „między dawnymi a nowymi laty”. Na przykładzie narodu litewskiego, łotewskiego, estońskiego możemy zobaczyć, jak wielkim brakiem jest nieobecność warstw historycznych w jakimś narodzie. Dawniej trzeba było bronić wartościowych parweniuszy z ludu, zdolnych, etycznych, patriotów lub społeczników, takich Judymów. Wnet zajdzie potrzeba bronięcia ludzi, których skazą jest pochodzenie od wielu pokoleń kulturalnych, którzy grzeszą tym, że są produktem hodowli i doboru wielu wieków... Tym bardziej, że idąca ławą masa działaczy i inteligentów „niehistorycznych” nie zawsze jest narybkiem absolutnie wartościowym, często zaś odznacza się brakiem ideałości i wielkim apetytem życiowym. Pokazał nam takie typy Kaden-Bandrowski w „Czarnych skrzydłach”.

Styl Miłaszewskiej poprawny i potoczny

nie ma cech tak bardzo indywidualnych, jak styl Kossak-Szczuckiej, Żeromskiego, Reymonta, że wprost z paru zdań można go poznać. Ale jest to ładna, dobra polszczyzna, łatwo wchodząca w umysł i łatwo wywołująca wizje plastyczne.

Nagrodzenie tej właśnie powieści na konkursie jest „Signum temporis” — wyraża ona jeden z momentów walki narodu polskiego o ujęcie własnych spraw we własne ręce, maluje nam życie tak ważnego ośrodka polskiego, jak Gdynia. Sprawę rybną i śledziową, sprawę wędzarni i potłów dalekomorskich autorka dobrze udokumentowała.
A. Zahorska.

Z PIŚMIENICTWA

W Polsce.

Nowy przekład „Psałterza Dawidowego”, dokonany przez Leopolda Staffa, jest wielkim zdarzeniem literackim. Znany poeta współczesny rozkochał się w nieśmiertelnym śpiewniku. Zdawałoby się, że odważy się po *Janie Kochanowskim* na spolszczenie Psałterza — to poniekąd zachwalstwo. Ale Staff dowiódł, że ma prawo interpretować Dawida jeszcze raz. Porównajmy te dwa spolszczenia: Kochanowski w przekładach jest rozlewniejszy, daje upust melodiom tęsknot metafizycznych, lubuje się w czarownej dźwiękliwości powtarzanych zgłosek, np. w dźwięku „po”, gdy pisze:

„Cóż mam innego czynić, jedno płakać
[smutnie,
Po wierzbach powieszawszy niepotrzebne
[lutnie...”

Staff poszedł inną drogą: wyjątkowej po prostu lapidarności. Muzykę Psalmów wy dobył nie rymami, ale rytmami, ukrytymi w zdaniach zwartych, bez żadnego ornamentu dźwiękowego na zewnątrz. Dał wiersz wolny, wyzwolony od wszelkiego zdobnicstwa. Oto próbka lapidarności Staffa w psalmie XIII:

„Rzekł głupi w sercu swoim:
„Nie masz Boga!...”
„...Otwartym grobem jest gardziel ich,
używają języka ku zdradzie,
jad żmii pod ich wargami.
Usta ich pełne przekleństwa i goryczy,
stopy ręce są ku rozlewności krwi...
Ale kiedyś zadrzą ze strachu,
gdyż Pan ujmie się na prawym.
W niwecz pójdzie spisek przeciw biednym,
gdyż Bóg jest ucieczką ich”.

I oto jak w Katedrze w Chartres — na witrażu nieznanego twórcy król prorok Dawid,

oświetlony słońcem Francji, zachował jednak ducha pierwowzoru hebrajskiego — tak samo jego dzieło rozbłyśka teraz na nowo w polszczyźnie, ale jest w duchu uzgodnione z prawozorem. Obok zalet Staffa jako twórcy, trzeba postawić mistrzostwo w przekładach. Uniwersytet warszawski im. Józefa Piłsudskiego, dając pocie doktorat honorowy, uczcił wszechstronność jego zasług.

* * *

Nagrodę młodych przyznała w tym roku Polska Akademia Literatury pisarzowi, zwanemu „polskim Bernanosem” — Jerzemu Andrzejewskiemu.

Zagadnienia grzechu i odpowiedzialności moralnej zajmują go ponad wszystko. Wskutek takiej postawy moralnej zaliczono Andrzejewskiego do pisarzy kierunku katolickiego. Andrzejewski ogłosił niedawno autokrytyczne wyznania, wśród których znajdują się takie znamienne słowa:

„...Staram się odpędzić od siebie podszepty, dekorujące mnie zbyt zaszczytnym tytułem pisarza katolickiego. Nie dlatego, abym się tego ciężaru bał, lub go nie pragnął — owszem, pragnę go — lecz dlatego, że nie mógłbym go unieść czystymi rękami”.

Oto właśnie stanowisko człowieka, który ocenia wagę odpowiedzialności moralnej. Niewątpliwie autor „Ładu serca” znajdzie się z czasem bez zastrzeżeń w obozie katolickim, z którym już dzisiaj łączy go struktura duchowa.

* * *

Ottonowa obietnica, powieść Jana Dobraczyńskiego, otrzymała nagrodę Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu.

Z tego, co laureat sam wyznaje, widzimy, że ta najmłodsza powieść dzisiejsza przypomina strukturą właśnie owe katedry romańskie, gdzie każdy ornament stanowił akt wiary. Z romańszczyzny także wywodzą się tytuł i treść utworu. „Ottonowa obietnica”, umocniona włożeniem korony świętego imperium rzymskiego na głowę Bolesława Chrobrego, miała przekazać dziedziczo tronu cesarskiego królowi polskiemu. Tę hipotezę Kętrzyńskiego rozwija Dobraczyński na tle dzieł późniejszych. W Bolesławie śmiałym, zdobywcy Kijowa, a potem wygnaneu tragicznym — widzi autor dziedzica wielkiej idei Ottonowej, rozszerzającej powszechnie, czyli katolickie imperium na wschodnią Europę.

Równocześnie wychodzi spod prasy drukarskiej studium Dobraczyńskiego o Papi-nim, wielkim pisarzu italskim, który swe dzieło o Chrystusie zaczął pisać dla obalenia „Jezusowego mitu”, a zakończył je, jak sam wyznaje, na kolanach, gdyż walka z Ewangelią pokazała mu jej piękno wieczyste i z prześladowcy przemieniła w wyznawcę. Wspominałam o tym studium Dobraczyńskiego obszerniej przy sprawozdaniu z odczytu autora w Zjednoczeniu Pisarzy Katolickich.

Prócz nagrodzonej „Ottonowej obietnicy” wykończył już Dobraczyński powieść pt. „Dwa stopy”. Są to dzieje heretyka Jana Husa i św. Joanny d'Arc, ujęte w artystycznej syntezie. I ta powieść historyczna ma w sobie aktualność, gdyż autor widzi w Hussie prototyp idei Marksa i Lenina, zaś w Joannie — upostaciowanie nacjonalizmu w harmonii z chrześcijaństwem. Kult dla św. Joanny spokrewnia Dobraczyńskiego z Francuzem Karolem Peguy, jednym z wielkich nawróconych współczesnych.

Zaznaczając osobliwe stanowisko Joanny d'Arc wśród świętych, Peguy pisał o niej: „...Pobudzona natchnieniem Bożym do działania ziemskiego — nie modliła się nigdy o poparcie nieba w dziedzinie — że tak powiem — fizyczno-nadprzyrodzonej... Nie żądała, aby mury zamków padały od dźwięku jej trąb... Zdaje się, że Król niebios nigdy nikomu wyraźniej, niż tej świętej, nie nakazał, aby o własnych siłach zdobyła palnę męczeństwa... Walczyła w najwykleszych warunkach... Zadanie Boskie spełniła ludzkimi środkami... Jest równocześnie świętą między bohaterami i bohaterką wśród świętych”.

*

Nader wartościową książkę o Instytucie Wyższej Kultury Religijnej wobec potrzeb umysłowych inteligencji polskiej napisał ks. dr Władysław Lewandowicz, dyrektor Akcji Katolickiej w Warszawie.

Otwierając dla świeckich podwoje do sanktuarium teologii, autor zaznacza, że do celowości tych studiów niezbędna jest wiara nadprzyrodzona. Gdyż — jak pisze uczony kapłan — nauka o rzeczach Bożych jest najwyższą z doczesnych umiejętności, lecz tajemnie nadprzyrodzonych niepodobna zgłębić bez specjalnego daru, czyli bez wiary.

Przeorać umysł inteligencji polskiej systematycznymi studiami, a dusze uśpione pobudzić światłem naprzyrodzonym do działań ziemskich — oto prawdziwie wzniosły cel, uwidoczniiony w książce ks. Lewandowicza.

Ważne zagadnienie wychowawcze poruszył ks. biskup Adamski w pracy pt. „Szkoła wedle nauki Kościoła i uchwał Synodu”.

„Pedagogika liberalna — pisze ks. biskup Adamski — wyrosła z materializmu filozoficznego. Odrzuciwszy Boga zarzuciła ideał wychowawczy Kościoła”. Wskutek tego gubi się w szukaniu drugorzędnych celów wychowawczych kosztem celu głównego, jakim jest rozwój umysłu równoległy z budową charakteru.

Wanda Mitaszewska.

Za granicą.

W. Butler Yeats. Najważniejszym bezspornie wydarzeniem w literaturze europejskiej ostatnich paru tygodni była śmierć wielkiego poety irlandzkiego W. B. Yeats, w Mentonie, w pierwszych dniach lutego. Opinia literacka, opinia ludzi nawet o umysłowości krąciwo różnej od umysłowości Yeatsa, uważała go za największego żyjącego poetę angielskiego.

Yeats urodził się w Sandymont, koło Dublin, 8 czerwca 1865 roku, a w r. 1923 otrzymał nagrodę Nobla. Wraz z Lady Gregory był on głównym przewodnikiem i promotorem ruchu celtyckiego, znanego pod nazwą *Odrodzenia Irlandzkiego* (The Irish Riveal). — (Jest faktem godnym uwagi, że właśnie w okresie, kiedy Irlandia usiłowała odłączyć się fizycznie i duchowo od „Brytyjskiej Rzeczypospolitej Narodów”, dała ona literaturze angielskiej twórców o wiekopomnej wartości, jak Yeats, George Moore, J. M. Synge, James, Stephens...).

Dzieło Yeatsa uderza swą rozległością: znajdujemy w nim rozmaite rodzaje poezji, prozę poetycką, esaje, sztuki sceniczne...

William Butler Yeats wychował się w ostatniej fazie pre-rafaelizmu, poczem znalazł się we Francji pod wpływem symbolizmu — był też najprawdźwierszym angielskim przedstawicielem tego kierunku. W istocie, zyskał sobie miano „mistrza symbolizmu marzenia”. Niewątpliwie środowi-

sko irlandzkie wraz ze swymi tak charakterystycznymi starożytnymi tradycjami, wierzeniami i legendami ułatwiło Yeatsowi rolę konkretnego wyraziciela w poezji marzącej duszy.

Główne zasługi Yeatsa dla sceny angielskiej są dwojakiego rodzaju: po pierwsze wniósł on do teatru angielskiego ilość poezji nieznaną w nim przez parę wieków — od czasów elżbietańskich, a po drugie — odkrył wielki talent dramatopisarski, przedwcześnie zmarłego J. M. Synge'a.

Poza legendarną przeszłością własnego kraju pociągały Yeatsa Indie i tajemna mądrość Yogów indyjskich, które studiowaniu poświęcał sporo czasu w latach ostatnich.

Pióra poetyckiego do końca nie wypuścił z ręki. Jeszcze w styczniowym numerze *The London Mercury* znajdujemy kilka jego wierszów. Poezje te są bardzo charakterystyczne. Przebija w nich bolesne odczucie własnej starości i takie uporządkowanie wartości, do jakiego można dojść jedynie kosztem długoletnich doświadczeń. Jest w tych ostatnich wierszach retrospektywny stosunek do własnego życia i dzieła, które — przesuwając się przed oczyma poety w ciszy bezsennych nocy, przybierają nowe postaci i odkrywają nowe oblicza. — Widać w nich wreszcie — jak gdyby w przeczuciu bliskiej śmierci — usiłowanie sprawiedliwego oceniania własnych czynów — jakże trudne do dokonania z tej strony grobu...

Biografia Jucka Londona. Któż w Polsce nie czytał powieści Londona? Pełno ich nawet po czytelnich na najfuchszej prowincji. Toteż na pewno tych wszystkich, którzy je czytali, zainteresuje wiadomość, że Iroing Stone napisał doskonałą biografię Londona (pt. *Marynarz na koniu — Sailor on Horseback*, Collins). Są to przygnębiające dzieje niepospolitych zdolności w znacznej mierze zamarnowanych, ale książkę czyta się jak najlepszą powieść, bo zarówno osobowość Londona, jak jego awanturnicze życie, były przynajmniej równie niezwykle, jak bohaterów jego książek.

Dzieje domu mieszkalnego w Anglii. Nic innego, jak właśnie dzieje domu mieszkalnego w Anglii, jest zatem ciekawą książką, którą napisał niedawno Geoffrey Boumphrey pod tytułem *Twój dom i mój (Your House and mine, Allen & Unwin)*. Autor prawdziwie zasługuje na to, aby znaleźć w innych krajach naśladowników. Jak się wyraził R. A. Duncan: „jest to nowoczesne i właściwe podejście do architektury, jako trwałej oprawy dla kulturalnego i wygodnego życia”. — Autor nie mówi zbyt wiele o historii wspaniałych zamków i pałaców — zajmując się raczej domem przeciętnego Anglika, bo rozwój takich domów — szczególnie w Anglii, gdzie wśród nich znajduje się tyle arcydzieł — lepiej potrafi opowiedzieć kulturalne dzieje kraju, „niż lista imion królów i dat najważniejszych bitew”.



Z Francji. W ostatnich czasach przyjechała do Paryża Victoria Sackoille-West, aby pod protektoratem komitetu „Zbliżenia intelektualnego” wygłosić odczyt o swej nowej książce *Pepita, tancerka hiszpańska* (która ma się ukazać w tłumaczeniu francuskim). Choć V. Sackville-West jest autorką kilku doskonałych powieści, uważa jedynie poezję za swe powołanie i jej chce się wyłącznie poświęcić... *Pepita* jest historią autentyczną, dotyczącą rodziny autorki, która twierdzi, iż odkrywszy przypadkowo walizkę z dokumentami, znalazła w nich gotową powieść — i to powieść, w której wszystko jest prawdziwe! —

Nowa książka Mauriaca. François Mauriac wydał nową książkę — *Les Chemins de la Mer* (Bernard Granet), którą Edmond Jaloux uważa za najlepszą od czasów *Genitrix*. Nie ma w niej jednego ciągłego, logicznie rozwijającego się wątku, jakiego coraz bardziej nie znosi niecierpliwa natura Mauriaca, i nie jest to właściwie powieść, tylko — używając wyrażenia Jaloux — „cały bukiet powieści”. — Ale za to w przeciwieństwie do dawniejszych powieści, odznaczających się długą i powolną ekspozycją, tu znajdujemy się od razu wrzuceni w wir akcji i spotykamy cały szereg wspaniałych scen, w których talent autora ma właściwe pole do popisu.

Plotezki. Nagrodę Victor Margueritte-Sylvestre Bloix, którą Margueritte ufundował dla uczczenia pamięci swej żony, a która wynosi 12.000 franków, podejmowanych z praw autorskich Margueritte'a, otrzymała pani Thyde Monnier za swą trylogię: *Le Pain des Pauvres*. Tymczasem anonimowy ofiarodawca zgłosił 6.000 franków, które uzyskała jej rywalka — autorka francuska, nosząca polskie nazwisko — p. Andrée Sikorska, za powieść *Vent de wort*.

Tegoroczny laureat nagrody Goncourtów, Henri Troyat, ożenił się niedawno. Ponieważ żaden z jego poprzedników nie zenił się w tak krótkim czasie po otrzymaniu nagrody, ślub jego wywołał wiele rozgłosu, co jest najlepszym dowodem popularności Akademii Dziesięciu.

M. Buyno.

MUZYKA

Tak się złożyło, że po raz trzeci zmuszony jestem rozpoczynać swój felieton od rzeczy smutnych, ale mających wielkie znaczenie i wagę w naszym życiu muzycznym. Po długim szeregu wybitnych muzyków, którzy odeszli — przychodzi kolej na tych, którzy odejść mogą. Mam tu na myśli tragiczny byt naszej reprezentacyjnej orkiestry filharmonicznej w stolicy, której dalsze istnienie wisi w chwili obecnej dosłownie na włosku. Uważam więc za obowiązek publicysty wysunąć tę sprawę na czoło swoich dzisiejszych rozważań.

Od szeregu lat *Stowarzyszenie Artystów Filharmonii warszawskiej* znajduje się w ciężkiej sytuacji finansowej. Najistotniejsze podstawy jej bytu są zagrożone, gdyż istnienie orkiestry z każdym dniem staje się coraz bardziej niepewne. Starania skierowane dla poprawy bytu do Departamentu Sztuki nie odniosły żadnych pozytywnych rezultatów. W roku zeszłym na terenie ciał ustawodawczych odbyła się wspólna konferencja, złożona z przedstawicieli reprezentujących w ogóle sztukę, gdzie przedmiotem i podstawą było znalezienie możliwości polepszenia bytu członków orkiestry Filharmonii warszawskiej. Osiągnięcie tego celu miało być zrealizowane na terenie Sejmu i Senatu drogą otrzymania subsydium sankcją budżetową w rozplanowaniu pozycji Departamentu Sztuki w budżecie na rok 1939-40, przy poparciu Rządu. Zdawało się, że miarodajne czynniki w budżecie tym uwzględniają dwie pozycje, tj. pomoc dla Opery i dla orkiestry filharmonicznej. Niestety, nie zrealizowano starań orkiestry Filharmonii, natomiast umieszczono w budżecie na rok 1939-40 pozycję zł 500 000 na operę. Tym samym jedynej w Polsce orkiestrze reprezentacyjnej wyrządzono krzywdę, gdyż orkiestra ta od 37 lat kulturowo i reprezentuje muzykę symfoniczną w Polsce.

Członkowie tej orkiestry, zasłużeni artyści-muzycy, za swoją wyczerpującą nerwy pracę otrzymują skromne wynagrodzenie (miesięcznie od zł 60 do 180) oprócz wydatków na utrzymanie, opłacanie ciężących podatków, kształcenie dzieci itp. ponoszą jeszcze inne wydatki, jak konserwację instrumentów, struny, stroiki, naprawa smycz-

ków. Tak skromne wynagrodzenie członkowie orkiestry filharmonicznej pobierają jedynie w okresie sezonu, trwającego zaledwie 8 miesięcy. Z dobrodziejstw Ubezpieczalni Społecznej w letnich miesiącach korzystali nie mogą i nie pobierają zasiłków.

Orkiestra Filharmonii warszawskiej jest bezwzględnie jedyna z najlepszych zespołów europejskich, o czym często czytać można w prasie zagranicznej, co również stale potwierdzają najwybitniejsi kapelmistrzowie o światowej sławie, a wierna dawnym założeniom pracuje ona w dalszym ciągu dla dobra rodzimej muzyki, w czasach zaś o wielkim znaczeniu historycznym, szeregi naszych zasłużonych artystów-muzyków wykazały niebawem hart ducha, karność, wysoki poczucie obywatelskie i ofiarność na ołtarzu Ojczyzny... Stowarzyszenie artystów orkiestry Filharmonii warszawskiej zwraca się z gorącą prośbą do pp. marszałków Sejmu i Senatu, ażeby w najbliższych, odbyć się mających posiedzeniach budżetowych w Sejmie i Senacie zechcieli uwzględnić... sprawę orkiestry Filharmonii warszawskiej.

Biorąc powyższe słowa z memoriału, przesłanego przez Zarząd Orkiestry, nie umiemy do nich dodać niczego ponad życzeniem najgorętszym, aby czynniki miarodajne zechciały potrzebom i słusznym postulatom naszych dzielnych filharmoników zadosyćuczynić. Domagają się tego nie tylko koła melomanów polskich, ale i całe kulturalne społeczeństwo. Zarówno Opera warszawska, jak Filharmonia, winny być otoczone należytą opieką najwyższych władz Rzeczypospolitej. Skoro o Filharmonii mowa, okres sprawozdawczy obfitował w zdarzenia muzyczne pierwszorzędnej jakości. Usłyszeliśmy doskonałego pianistę, jakim jest *Schura Czerkassky* i, co nie mniej cenne, nową kompozycję prof. Maliszewskiego pn. „Fantazja kujawska”, wykonaną przez Czerkasskiego z towarzyszeniem orkiestry. Dyrygował *Z. Latoszewski*, jeden z najzdolniejszych kapelmistrzów młodszej generacji.

Obok niego postawić należy *Mierzejewskiego*, któremu przypadł w udziale — na szczyt nielada — towarzyszenie do koncertów fortepianowych artyście tej miary, co *Mikołaj Orłow*. Rzadko który z moczarów



Scena s du (akt III) z nowej opery „Pani X”.



Scena końcowa z opery Leo Francka (Z. Fedyczkowska — matka, Łuczyński — syn).

fortepianu posiada w grze swojej tyle liryzmu, tak piękne „toucher” i niezwykle oryginalne potraktowanie kompozycji. Dwa, krańcowo odmienne koncerty: Skrajania i Rachmaninowa w wykonaniu ulubionego przez stolicę Orłowa wypadły przepięknie. Trzecim z kolei był *Claudio Arrau*, artysta doskonały, niesłusznie nie mający u publiczności warszawskiej należnego sobie uznania. Grał tym razem romantyczny koncert a-moll Schumana, wiążący się wspomnieniem z natchnioną grą niezapomnianego szopenisty, śp. Józefa Sliwińskiego. Gra Arrau wyposażona w świetną technikę, niezawodny rytm i wyrazistość akcentacji zastępuje na najwyższą pochwałę. Choć kto wie czy liryka Orłowa nie jest bardziej pociągająca. Finlandzki dyrygent (i kompozytor), *Hannikainen*, z dużą rutyną dyrygował (z pamięcią) mocno za rozwlekłą symfonię Jana Sibelisa i o wiele od niej ciekawszą transkrypcję orkiestrową Vivaldiego-Silotiego z koncertu skrzypcowego.

Ciekawą i wartościową audycję dało 17 stycznia zasłużone T-wo Dawnej Muzyki, zapoznając nas z nieznanymi kompozycjami pianistki z ubiegłego stulecia, Marii Szymanowskiej. Wykonała je bardzo starannie młoda wirtuozka, p. *Jadwiga Szamotulska*, zyskując sobie dużo uznania.

Wreszcie nowozałożona Sekcja pomocy młodym muzykom nie ustaje w pracy, dając nam co dwa tygodnie przegląd młodych talentów.

Uważam za konieczne omówienie najnowszej premiery w Operze warszawskiej. „Pani X” — nowoczesna opera kompozytora wiedeńskiego, Leo Francka, była dla nas rewelacją. Przywykliśmy do koturnowości dawnego libretta, do nienaturalnych sytuacji. Sprowadzenie opery do życia codziennego wywołuje (i musi wywołać) najróżniejsze uwagi i komentarze. Dla mnie jednak jest jasne, że dyr. Dołżycki idzie po wytkniętej a priori linii *modernizacji sztuki operowej*. Zarówno w świetnym „odmłodzeniu” „Fausta”, jak w operze Leo Francka widać tę linię. Można się z tą modernizacją godzić, lub — nie, trzeba jednak przy-

znać, że wprowadza ona nowe elementy na scenę Teatru Wielkiego. I, co idzie w parze, przyciąga ku niej te sfery, których się dawniej nie widywało. Co najradośniejsze — przyciąga liczną młodzież. Wykonawcy „Pani X” raczą mi darować, że zmuszony jestem w syntetycznym skrócie wspomnieć o nich generalnie. Wszyscy oni, w karnym posłuchu dla magicznej pałeczki dyr. Dołżyckiego, dali maksimum, aby przyczynić się do świetnego wystawienia nie znanego nam dzieła współczesnego kompozytora. Pani *Fedyczkowska* i *Płońskiemu* należą się specjalne pochwały za akt I i za postacie tragicznych bohaterów wieczoru. Tekst Bissona podano w bardzo dobrym przekładzie.

Ale musimy kończyć (nożyce redaktora!) pomijając wiele szczegółów, na omówienie których potrzeba byłoby co najmniej tyle miejsca, ile zajął niniejszy felieton.

Wł. B.

TEATR

Bałucki przeżywa nową epokę tryumfu na stołecznych scenach. W ostatnich latach sięgano raz po raz do jego sztuk, by ich wznowieniem zasilić repertuar. Nic więc dziwnego, że obecnie pokazano nam „Grube ryby”. Utwór szczególnie wdzięczny z uwagi na szereg świetnych ról, stwarzających pole popisu aktorskiego, w całości swej zaś znakomicie bawiący widownię.

Jakkolwiek więc szarża dramatopisarska Bałuckiego nie jest najwyższa, jakkolwiek ideowość jego utworów nie ma nic wspólnego z Wyspiańskim, ani ogólny ton bałucki nie dosięga poziomu „klasycyzmu” fredrowskiego — to jednak jest to dobry teatr, zrobiony z instynktownym wprost poczuciem sceny.

Bałucki jest czujnym malarzem środowiska biurokratyczno-mieszczańskiego b. Galicji, umie podpatrywać jego śmieszności, potrafi dezawuować różne „grube ryby” — w danym wypadku dwu emerytowanych radców — i pokazywać ich słabostki i śmieszności.

Robi to z naturalnym wdziękiem, bez specjalnej szarży. Swój zaś karykaturalny rysunek łagodzi wprowadzeniem dwu par — jednej sympatycznych starszków, drugiej — dwu figlarnych, pełnych uroku pensjonarek, w których ręce składa właśnie zadanie wystrzelenia na dudków wspomniane dwie „grube ryby”. Jeśli dodamy, że obie figury narysowali tacy mistrzowie gry, jak Jerzy Leszczyński i Stanisławski, godni następcy Frenkla i Kamińskiego — to nie trudno nam będzie zgodzić się, że zabawa z „grubymi rybami” wypadła w całym tego słowa znaczeniu przednio.

Przednią, choć w zgoła innym smaku, jest wznowiona komedia W. Sardou, „Madame Sans Gène”. Ma ona również wszelkie cechy beztrudniejszej zabawy, choć jednym z jej bohaterów jest figura historyczna pierwszej klasy, bo sam Napoleon. Być może, w tym czasie, kiedy Sardou pisał swój utwór, był to jeden z warunków przemycenia na forum publicum zdegradowanej nieco postaci wielkiego bohatera.

Autor istotnie nie nadaje mu niezwykłych blasków. Przeciwnie, wielki Bonaparte ukazany jest na początku sztuki, jako zakłopotana o czystość swej bielizny postać, na końcu zaś, jako uwikłany w drobne rodzinne incydenty i spory między rodzeństwem, „tyran w pantoflach”.

Tego faktu w niczym nie osłabia przepych cesarskiego dworu.

Przeciwnie na jego tel autor z dużą, choć artystycznie wysubtelnioną ironią, ukazuje tym jaskrawiej kłopotliwość sytuacji zwycięzcy spod Austerlitz, że każe znaleźć mu pomoc w interwencji b. praczki „małego kaprala”, a dziś księżnej Gdańskiej. Znowu zjawia się „Madame Sans Gène”, by wygarnąć komu potrzeba ostrą prawdę, by osadzić trochę zbyt już rozpanoszone i dufne siostry cesarskie.

W tej interwencji „Madame” autor zręcznie pochlebił ludowi, który lubi obserwować tryumf zwykłego zdrowego rozsądku i uczciwości serca nad wyrafinowaniem i przebiegłością rozumu.

Lud wyżyna się w sferze szerokich poruszeń uczuciowych, lubi podziwiać błyskotliwe kariery kogoś „ze swoich”, zwłaszcza jeśli nie przewróciły mu one w głowie.

A właśnie „Madame sans Gène” ma wciąż dobrze w głowie i umie skutecznie walczyć o pewien ład dokoła siebie, umie prac... bieliznę, tak, żeby była czysta.

Cdy się ongiś widziało Przybyłko-Potocką w tej roli, człowiek zachodził w głowę, jak też wypadnie kreacja Eichlerówny.

Niespodzianka okazała się w całej pełni niła i pełna obietnicy. Eichlerówna wprowadziła w wodewilowy charakter sztuki ton poważny i mocny, ale nie na tyle, by zrobić z komedii — dramat.

W rezultacie dała postać pulsującą życiem, a pełną troszkę rubasznego wdzięku.

Zaprawiona w ostrym mówieniu prawdy, czego wielki popis dała w „Szaleństwie” — nieco tylko spopularyzowała melodię — żeby tak powiedzieć, i rzuciła na scenę istną lawinę oszałamiających rewelacji i powiedzeń „prosto z mostu”, czy jak kto woli „prosto z magła” — oczywiście z francuskiego, pełnego wdzięku magła.

Postać Napoleona wyczarował Junosza Stępowski. Dał nie tylko maskę, ale i rysunek psychologiczny imperatora Francji wierny, żywy, przemawiający zdrowym, komediowym realizmem.

W Ateneum wystawiono sztukę jednego z największych żyjących dziś pisarzy polskich, Szaniawskiego. Nosi ona brzmienie tajemniczo i nieco symbolicznie tytuł „Dziewczyna z lasu”.

Historia dość prosta, ale przy tym pełna dramatycznego napięcia, zamkniętego mocnym finałem, dotąd niespotykany w twórczości tego autora, którego rozlubowanie się w półtonach i półsłowach jest aż nadto dobrze znane.

Córka gajowego, „człowieka z lasu”, otrzymała lepsze wykształcenie. W rezultacie prowadzi kancelarię w miejscowym dworze.

Pan dziedzic tak się zachwycił talentami swej sekretarki, że ostatecznie chce się z nią żenić.

Rzecz jest tak serio, że wkrótce mają się odbyć zaręczyny. Dziedzic pojechał nawet do miasta, żeby porobić różne przygotowania.

W czasie jego nieobecności zjawia się jakiś oberwaniec. To Olek, towarzysz dziecięcych zabaw „dziewczyny z lasu”. Wykoleił się. Dziś jedynym jego marzeniem jest chwycić do rąk jakąś strzelbę i oddać się kłusownictwu.

Pod wpływem jego namów i wspomnień młodości „dziewczyna” kradnie dubeltówkę dziedzica i daje ją Olkowi, który znika ze zdobyczą jak widmo...

We dworze wre zabawa. Nagle we drzwiach staje leśnik — ojciec „dziewczyny”. W rękę ma strzelbę dziedzica. Z jed-

nego rzutu oka panna zrozumiała, co się stało. „Żyw czy zabity?” — i spośród koła rozbawionych gości wybiega w noc do lasu, gdzie na leśniczówce dogorywa Olek.

Mocna pointa. W ramach tego zdarzenia Szaniawski mistrzowsko pokazał łamanie się w duszy „dziewczyny” kultury z nawykami i nawrotami barbarzyństwa. Pod tym względem przygoda „dziewczyny” jest wysoce pouczająca. Jej perypetie świetnie z dramatycznym napięciem oddała Bonecka — bohaterka wieczoru.

Partnerem jej był Maszyński, jako dziecko. Bajeczną sylwetkę „człowieka leśnego” — gajowego stworzył mistrz maski, Jarczyk.

FILM

Polska wytwórczość wciąż jeszcze zasila nasze ekrany nowościami ostatniego sezonu.

Na razie na czoło wysuwa się film grany w Stylowym, oczywiście znów zaczerpnięty z powieści. Tym razem natchnienia udzielił scenarzyście znany powieściopisarz Stefan Kiedrzyński. Jego powieść „Dzień upragniony” przerobił Henryk Szaro na film pt. „Kłamstwo Krystyny”.

Tym razem wersja filmowa wyszła utworowi powieściowemu raczej na korzyść. Film rozjaśnia ciężką atmosferę dramatyczną, która ciąży nad powieścią, rozładowuje niebezpieczne, nieprzyjemnie podcieniowane napięcia psychologiczne. Banalna trochę historia ubogiej dziewczyny, odrzuconej przez ukochanego i kończącej czynem rozpacz — staje się czymś ważnym.

W rezultacie film tylko z brzmienia tytułu przypomina znakomity w swoim czasie obraz „Przedziwne kłamstwo Niny Pietrówny”. W istocie swej na zgoła odrębnym oparty jest temacie. Natomiast pod względem logiki psychologicznego rysunku

może ze wspomnianym filmem iść śmiało w zawody.

Reżyser dał również szerokie pole do popisu aktorom i potrafił ukazać ich możliwie korzystnie. Dotyczy to zwłaszcza Barszczewskiej, która nie miała ostatnio szczęścia do odpowiadającej swemu talentowi roli. Mammy tu zwłaszcza na myśli film „Znachor” (nie mieszać z niemieckim filmem „Córka znachora”, z Paulą Wessely).

Dobrze ucharakteryzowana, zawsze szczerliwie stawiana przed obiektyw, Barszczewska święci, jako „Krystyna”, prawdziwy tryumf.

Jej partnerem jest Jerzy Słowiński, nowy nabytek aktorski. Jako amant okazał się aktorem wysokiej klasy. Poprzedni pobyt na scenie teatralnej nie przeszkodził mu ujawnić należyte zrozumienie odrębności sztuki filmowej.

Wśród dalszych filmów polskich zapowiadają nam „Na Anioła Pański”. Tytuł zaczerpnięty z Tetmajera, poza tym będzie miał treść zgoła daleką od lirycznego nastroju tego pięknego wiersza.

Sensacją prawdziwą będzie nowy film komiczny Adolfa Dymyzy pt. „Sportowiec mimo woli”. Niewątpliwie tytuł ten przypomina podobny film z Buster Keatonem, który się bodaj nazywał „Rekordzista mimo woli”. Ten sam temat ekploatował zresztą Harold Swyd w filmie „Pan profesor”.

Miejmy nadzieję, że nasz Dymsza nie tylko dorówna, ale i przewyższy obu amerykańskich humorystów w wywoływaniu komicznego wrażenia swymi wyczynami sportowymi.

W kinie „Roma” idzie doskonały pod względem wywoływania atmosfery beztróskiego humoru film „Student z Oxfordu”. Jest to dzieło współpracy amerykańskich i angielskich reżyserów i artystów, owoc oddziaływania metod artystycznych obu krajów. Daje przy tym ostre, o galwanizują-

cych widza śpiączkach komicznych, zestawienie kultur dwu krajów.

Zręczność reżysera sprawiła, że z przyjemnością śledzimy rywalizację brytyjczyków z młodym Yankesem, przybyłym na studia do Oxfordu.

Cała ta rywalizacja rozgrywa się na tle wesołego, wprost beztróskiego środowiska studenckiego. Koniec jest bardzo „happy”. Przybysz z Ameryki zbrała się wreszcie ze swymi angielskimi kolegami. Jeśli dodamy, że pełnego dynamizmu Amerykanina gra Robert Taylor to będziemy mieli komplet zalet tego pierwszorzędnego filmu.

Filmy niesamowite zawsze miały i będą mieć swoich odbiorców, żądnych mocnych wrażeń. Stąd powodzenie takich filmów jak „King-Kong” czy „Frankenstein”.

A przecież powodzenie zobowiązuje, więc wytwórcy dobry pomysł zaczynają ekploatować w dalszym ciągu. W ten sposób powstał „Syn King-Konga” „Powrót Frankenstein” i na koniec ostatnio wypuszczony na ekrany film „Syn Frankenstein”.

Film ten nie ustępuje w niczym poprzednim pod względem napięcia efektów grozy i niesamowitości.

Historia potwora, syntetycznie stworzonego z „diesicta membra”, na stosie elektrycznym ma swój ciąg dalszy. Został bowiem żywy ślad powrotu Frankenstein do żywych ludzi w dzień wesela władców zamku.

Jakie stąd wynikają powikłania, to już obejrzyć na samym filmie. Amatorzy silnych dreszczów, nie pozbawionych przy tym głębszego wpływu na refleksyjność, znajdują tu niebyłą sposobność do mocnych przeżyć.

PLASTYKA

Zachęta.

Luty poświęcony był w Zachęcie wystawom zbiorowym Bolesława J. Czedeckowskiego, Edwarda Okunia, Aleksandra Jakimeczuka, Władysława Roguskiego, Wiktorii J. Goryńskiej.

Każdy z wymienionych artystów posiada swoje ustalone „oblicze”, wystawy ich prac zatem, będące sumarycznym zestawieniem długoletniej pracy artystycznej działalności, mogą tylko pogłębiać i w pewnych miejscach silniej, lub słabiej akcentować istniejącą opinię. Poza tym wystawy zbiorowe mają to do siebie, iż na nich po latach odbywa się pewnego rodzaju naturalna selekcja. Wśród narastających bowiem nowych prądów i nastrojów w sztuce, stawiając czoło przemijającym sądom, ostają się te z ich dzieł, które zostały stworzone bez wszelkich sztuczek i kompromisów malarskich, bez schlebienia gustom publiczności, lub modom jedynie „sub specie aeternitatis”. A to jest oczywiście zawsze rzadką rzeczą. Tych kilka słów wstępnych godziło się skreślić zwłaszcza przy omawianiu cytowanych nazwisk.

B. Czedeckowski jest zbyt wytrawnym o ustalonej światowej marce artystą, jako uczeń i spadkobierca sławy Kazimierza Pochwalskiego, ażeby powątpiewać o jego wysokiej klasie malarskiej. Na wystawie obecnej, pierwszym pokazie ogólnym prac Czedeckowskiego w Polsce, są obrazy wyłącznie portrety i akty. Jedne mogą się więcej, drugie mniej podobać, lecz wszystkie wskrzeszają przed oczyma raczej „ancien regime”, aniżeli wulkaniczne, nowym wyrazem tchnące, „dziś”. W każdym razie taki wizerunek, jak portret arcybiskupa Sapiehy

POLACY — BOGAĆCIE SIĘ. —

Takie hasło — po 10 latach istnienia — wypisała neonem na frontonie swego gmachu (ul. Zgoda nr 7) KKO pow. warszawskiego, jako instytucja użyteczności publicznej, nie obliczona na zyski a powołana do gromadzenia oszczędności i udzielania pomocy kredytowej.

Ten zakład pieniężno-kredytowy o pupila rnej rękąmi wkładów i lokat, rozpoczynając swą działalność przed laty 10 z kapitałem zakładowym zaledwie zł 50.000, zdołał za okres ubiegły zgromadzić pokazny zespół wkładów (książeczek): 48.919 z ogólną kwotą wkładów i lokat: złotych 35.170.309. W zakresie akcji pożyczkowej (pożyczki hipoteczne, weksłowe, dyskonto, zastaw) za tenże 10-letni okres czasu udzieliła KKO 61.218 pożyczko odbiorcom pomocy kredytowej na kwotę globalną złotych 89.223.000 (saldo: zł 22.725.390 na koniec roku ub.).

Z drugiej zaś strony wkładcy za tenże ubiegły okres lat 10 osiągnęli również znaczne korzyści: zł 9.043.784, a to przez doraźne wypłacenie, względnie dopisanie na książeczkach należnych im %-ów. Nadto instytucja w wyniku pomyślnego rozwoju operacyj, opartych na utrwalonym zaufaniu, osiągnęła powiększenie początkowych kapitałów własnych (zł 50.000 do kwoty z górą zł 800.000). Nabyła przy tym KKO przed 5 laty na własność gmach dla obsługi

licznej klienteli (ponad 1.200 osób dziennie), przy rocznym obrocie — ówierć miliarda zł.



Gmach własny KKO (W-wa, Zgoda 7).

Wszystkie (354) KKO w Polsce, jako zakłady regionalne o szerokim zasięgu zaufania (1.800 000 książeczek — wkładów zaś i lokat zł 885.251.000), gromadzą kapitały wyłącznie rodzime a przeto zasilają energią pieniężną też same środowiska społeczne. Ogólna kwota pomocy kredytowej, rocznie udzielanej — i to w gotówce — przez wszystkie KKO (zł 604 miliony — rok 1937) wysuwa te zakłady w dziedzinie kredytów gotówkowych na miejsce naczelne w całym Państwie.

może być ozdobą każdego muzeum Europy, będąc chlubą pędzla polskiego.

Ed. Okuń poza kilkoma widokami rodzimymi wystawił głównie szereg pejzażów Italii dawniej malowanych, stanowiących pokaźny dorobek sumiennej pracy malarzkiej. Na czele ich słusznie, jako „leitmotiv”, może być umieszczona większa kompozycja pt.: „Wróć do Sorrento”, gdzie artysta starał się podkreślić słodycz włoskiego nieba i przejrzystej atmosfery krainy włoskiego morza. To podkreślenie fotograficznie dokładne, a technicznie bez zarzutu, staje się jednak z czasem za ekliwne i wywołuje pewien przesył.

Aleks. Jakimczuk należy bezprzecznie do artystów zdolnych, wybijających się łatwością malowania. Owa łatwość powoduje, że Jakimczuk zbyt mało ukazuje swej własnej indywidualności, przetwarzając zresztą wysoce szlachetne wpływy Fałata, Chełmońskiego, Brandta, Wyczółkowskiego i innych. Do najwięcej indywidualnych zaliczyłbym konie w nocy w Krzemieniu.

Władysław Roguski wystawił większą ilość swoich specyficznych wizerunków Madonn i kilka obrazów z życia legionowego. Osobście zasadniczo nie sprzyjam kierunkowi artysty z wielu powodów. Zamiar stworzenia typu nowoczesnego, a zarazem rodzimego, dla wizerunku Bogarodzicy w założeniu jest bardzo szlachetny. Na przestrzeni wieków w rejestrze ogólnej sztuki europejskiej, jak wykazałem swego czasu, posiadamy zdecydowany typ „polskiej Madonny” o przepięknym, szlachetnym, subtelnym obliczu. Dr M. Skrudlik w swej specjalnej pracy i licznych studiach temat ten obszernie omawiał, liczne pokazy sztuki ludowej, zwłaszcza ostatnia tego rodzaju wystawa ukazała nam tradycje wielkiej naszej sztuki i przebogatego folkloru — z którego czerpać może współczesny artysta natchnienie i pobudki. Czerpać nie jest równoważne z naśladowaniem. Kopowanie dosłowne z pewnymi wariantami — prymitywu nigdy nie może stworzyć nowego arcydzieła. Oto są uwagi, które muszą nasuwać się przy oglądaniu obrazów Roguskiego.

W. J. Goryńska w grafice jest bardzo silna i różnorodna. Tematy religijnej treści nie należą do najlepszych prac artystki.

Wystawa w Instytucie Propagandy Sztuki (IPS) składała się z dwóch działów: wystawy prac Stowarzyszenia Plastyków „Szkoły Warszawskiej” i innych artystów oraz z wystawy projektów konkursowych na opakowania wyrobów polskiego monopolu tytoniowego.

Co do pierwszej części, na samo czoło wysunęła się znakomicie silna, bowiem żywiołowa, indywidualność batalisty Michała Byliny. W jego koniach znać pewien szlachetny wpływ rozmachu Piotra Michałowskiego, lecz przekształconego przez artystę indywidualnie w prawdziwe wartościowe polskie dzieła sztuki. Osobliwie „Gwardia konna”, „Generał”, „Szkie” muszą zatrzymać na sobie wzrok każdego miłośnika piękna. Z kolei wybija się Władysław Koch, szukający ciągle jeszcze nowych dróg i wpadający wskutek tego nieraz w pewne wewnętrzne konflikty. Jego „Jan Karol Chodkiewicz” jest bardzo ciekawą pracą. Właśnie tutaj przez niezrównoważenie kolorystyczne wpada w pewną za silną „gobelinowość”. Mariana Szyszko-Bohusza szkic do dużej religijnej kompozycji: „Ukrzyżowanie” jest znacznie lepszy od wykonanego obrazu, malowanego brudną manierą. Artysta umie rysować, czego dowodem licz-

ne portrety szkicowane ołówkiem. Włodzimierz Bartoszewicz i Tadeusz Pruszkowski wystawiają interesujące portrety, poza nimi reszta malarzy nurza się w zielonkawym błocie olejnym. Ulubiona ta maź rozma-



Z wystawy sztuki brytyjskiej. Augustus John — „Płk. Lawrence”.

tych Menaszów pokrywa pustką artystyczną i nieumiejętność zdobycia się na prawdziwie rzetelną pracę. Czas skończyć z wystawieniem pokrak, naiwnych coraz mniej niestety!...

Cieszyć się możemy, że w grafice, zwłaszcza w grafice użytkowej, posiadamy taki



Z Zachęty: B. J. Czedekowski — „Młodość”.

tego zespół artystów, co już niejednokrotnie podkreślałem. Obecnie serie projektów na opakowanie wykonali: Z. Glimecki, E. John, E. Manteuffel, Z. Michałowski, T. Pio-

trowski, S. Szyller, A. Wojwód. Każdy z nich ujawnił swój odrębny styl.

Wystawa współczesnej sztuki brytyjskiej obejmuje 117 obrazów olejnych, 120 akwarel i rysunków, i około 150 prac graficznych wszystkich współcześnie uprawianych technik, zatem miedziorytów różnych odmian, drzeworytów i litografii. Do wystawy włączona została pewna niewielka ilość sztychów z okresu przełomu XVIII i XIX wieku. Obecna wystawa jest piątą z rzędu, urządzoną przez Komitet Sztuk Pięknych w Anglii („British Council”) od chwili jego powstania w r. 1935. Jury londyńskie, jak objaśnia Komitet wystawy, dołożyło wszelkich starań, aby wystawa nie miała charakteru ani zbyt „akademickiego”, ani też zbyt „modernistycznego”. Myślę jednak, że wynik tego postępowania w praktyce nie okazał się słuszny, ponieważ myliłby się ktoś, kto po obecnie pokazanym zbiorze dzieł angielskiej plastyki chciałby sądzić sztukę brytyjską. Znając malarstwo angielskie na miejscu i oceniając ze wszech miar jego wielkość, nie rozumiem z emfazą wypowiedzianych słów zaproszenia, iż „jest to jedna z najbardziej dobranych kolekcji dzieł sztuki brytyjskiej, jaka kiedykolwiek opuściła ziemię angielską”, ponieważ nie odpowiadają one istotnej wartości sztuki brytyjskiej, choćby z powodu braku zasadniczych, największych artystów angielskich, nie mówię o kierunkach i prawdziwym charakterze sztuki wyspiarskiej. Widać, że i Wielka Brytania posiada tak jak i Polska dziwną i swoistą propagandę zagraniczną.

Z olejnych prac wybijają się: K. Henderson „Tłum w porcie”, H. Lamba: „Pani z jaszczurką”, prace Mc. Evoy Ambrose: konie, A. J. Mumingsa, S. W. Orpena: „Portret familijny” i kilka w akademickim tonie utrzymanych portretów. — Portret pułkownika Lawrence’a, malowany przez A. Johna, nie oddaje natchnika tego słynnego człowieka przynajmniej tak, jak sobie to wyobrażamy. Poza tym jest sporo okazów międzynarodowego bohomazostwa w rodzaju czyżewsko-menaszo-seidenbojtłowskiem.

Stanowczo za dużo esperanta, a za mało Anglii!...

W salonie Komitetu Przyjaciół Sztuki wystawił szereg swoich prac Stefan Manasterski. Są to widoki z Tatr, Wilna, Gdyni i Dubrownika. Artysta wyczuwa szczególnie, malując z zacięciem — architekturę na tle pejzażu.

W tymże samym miejscu obecnie jest wystawa prac graficznych Zofii Stankiewicz, Stefani Dybowskiej, Ludomiły Łunzanki obrazków malowanych na szkło, Marii Kuleszyny i Wandy Rudzińskiej-Wypychowej prace ceramiczne.

W Simie otwartą została wystawa: „Polski portret historyczny” mistrzów z wieku XVIII. Wystawę uzupełnia porcelana z „Cmielowa”, „Nieborowa” i „Lubartowa”, i różne okazy szkła i brązów.

Śp. Antoni Madeyski.

Rzeźba polska okryta się żałobą z powodu zgonu jednego z najświetniejszych artystów dłuta — Antoniego Madeyskiego.

A. Madeyski był nieodrodnym synem południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Urodzony w majątku Fośnia Wielka na Polesiu wołyńskim, kończy gimnazjum w Żytomierzu, a później szkołę wojskową w Elisawetgradzie, nie oddaje się jednak dalszej karierze wojskowej, przenosi się do Krakowa i tutaj wstępuje w 1886 r. do

szkoły Sztuk Pięknych, głównie kształcą się pod kierunkiem C. Godebskiego. Wyjechawszy na dalsze studia do Paryża Madeyski potem przenosi się na stałe do Rzymu, przyjeżdżając tylko na chwilowy pobyt do kraju.

Podczas wojny artysta jest gorliwym współpracownikiem Komitetu Narodowego w Paryżu.

Jako artysta zostawił bogatą spuściznę. Poza monumentalnymi rzeźbami sarkofagów wawelskich, królowej Jadwigi i Władysława Warneńczyka, i pomnikami, Madeyski jest twórcą szeregu pierwszorzędnych prac rzeźbiarskich. Znakomitą, wszechstronną technikę łączył z świetną formą i wewnętrznym wdziękiem. Ów wdzięk pozbawiony sztywnego patosu, pewna delikatność, znamionująca subtelną duszę artysty, nadają pracom Madeyskiego urok, który zmusza każdego oglądającego jego rzeźby do uznania wysokiego stanowiska, jakie zajął artysta w sztuce polskiej.

Dr M. Nalecz Dobrowolski.

RADIO I RADIOFONIA

600-na „skrzynka radiokronikarza.

W ostatni wtorek stycznia, radiokronikarz dr Marian Stępowski, jak co tygodnia, zabrał głos w „Skrzynce ogólnej” Polskiego Radia. Licząc od lipca 1936 r. była to w kolejności „Skrzynka” 600-na, a więc jubilatka radiowa.

Istotnie, ale dla ścisłości trzeba by zrobić małą poprawkę i do „Skrzynek” dorzucić jeszcze 250 „Radiokronik”, które od 1935 roku nadawane były także raz na tydzień na zmianę ze „Skrzynką”.

A właśnie „Radiokronika” stała się matką wszystkich innych „Skrzynek” jakie z biegiem czasu powstawały, a więc: ogólna, techniczna, dziecięca, rolnicza, leśna, językowa, sportowa, a także wszystkie „skrzynki” regionalne.

„Skrzynka ogólna”, nadawana przez Raszyn, choć nie znajduje się w programie ogólnopolskim, korzysta z największego zasięgu. Liczba zarejestrowanych przez nią listów doszła w tej chwili do 52.000, a popularność jej wśród radiosłuchaczy rośnie z każdym rokiem.

Czemu to przypisać?

Tajemnicą powodzenia skrzynek radiowych w ogóle jest to, że między prelegentem i radiosłuchaczem, wskutek częstego obcowania ze sobą, wytwarza się pewna zażyłość i nić sympatii, promieniująca bezpośrednio od człowieka do człowieka. Słuchacz, który w głośniku lub w słuchawkach pochwylił swoje imię, nazwisko i adres, ulega miłemu złudzeniu, że prelegent zjawił się u niego osobiście i udziela mu wyjaśnień w kwestii, która go interesuje.

Tego ciepła, bezpośredniości nie dałaby odpowiedź udzielona listownie, ani wydrukowana w gazecie, jako „odpowiedź od redakcji”.

Ten kontakt zresztą jest obustronny, bo i Polskie Radio, gdy pragnie wśród słuchaczy wy badać, czy dana audycja „chwyciła” lub zorientować się w upodobaniach i życzeniach słuchaczy, odwołuje się do nich również drogą radiową i prosi o listy.

Odpowiedzi napływają niekiedy tysiącami.

Polskie Radio zyskuje w ten sposób bardzo ciekawy materiał, odzwierciedlający opinie szerokiego kół publiczności radiowej, z którymi liczy się przy układaniu dalszych programów.

Radiosłuchacz, zwłaszcza ten, mieszkający w dalekim zakątku, z dala od centrum życia kulturalnego i umysłowego, a mający z nimi łączność przez radio, nabrął do „Skrzynki” radiowych zaufania, uważając je za swych najlepszych doradców i niewidzialnych przyjaciół.

Ze „Skrzynką ogólną” dzieli się więc zwykle wszystkimi swymi troskami, nawet takimi, które nie mają nic wspólnego z radiem. Ale wierzy święcie, że radio w każdej potrzebie służyć mu będzie pomocą.

Minął okres, kiedy, krzyżowały się tutaj głównie opinie o audycjach radiowych, nieraz biegunowo sprzeczne. Radiokronikarz musiał je odpowiednio naświetlić i nieraz tłumić swary o muzykę „ciężką” i „lekką”, które dzieliły słuchaczy jakby na dwa skłócone obozy. Często wracanie do tego samego tematu uprzykrzyło się wreszcie i radiokronikarz już dość dawno „zwekslował” uwagę swych słuchaczy na inne tory, wskazując ile, dzięki specjalnym właściwościom fal radiowych, można dla ludzi zdziałać dobrego.

Z końcem i początkiem każdego roku



Radiokronikarz — dr Marian Stępowski.

szkolnego np. napływają do „Skrzynki” setki listów z zapytaniami o takie lub inne szkoły, które rodzice pragnęliby obrać dla swych dzieci po ukończeniu szkoły powszechnej, lub średniej, gdzie i jakie są warunki przyjęcia kandydatów itd. Toteż trzeba mieć pod ręką odpowiednie materiały informacyjne, aby udzielać odpowiedzi szybko i dokładnie.

Dużym zainteresowaniem słuchaczy cieszą się wiadomości o Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni i o podróży, jakie co roku odbywają młodzi kandydaci do służby morskiej na statku ćwiczebnym „Dar Pomorza”. Wiadomości te czerpie „Skrzynka” bądź z raportów kapitana statku, bądź też z listów „darpomorzaków”, wysyłanych do kraju z każdego portu, gdzie statek się zatrzymuje.

Ogromną ilość listów stanowią prośby o poszukiwanie osób o niewiadomym miejscu zamieszkania. Aby wszystkim tym prośbom móc uczynić zadość „Skrzynka” musiałaby się zamienić w biuro adresowe na

całą kulę ziemską. Ale doświadczenie tylu lat pokazało, że prośbom takim można ulegać tylko w okolicznościach wyjątkowych, gdy podawane są motywy nie nasuwające żadnych wątpliwości i zasługujące na szczególne uwzględnienie.

Najbardziej ożywiony dział korespondencji przypada na akcję charytatywną w stosunku do ubogich szkół i dziatwy szkolnej na kresach. Dzięki wytrwale rozwijanej przez „Skrzynkę” propagandzie ruch ten uwydatnił bardzo silnie wychowawczo-społeczne zadanie radiofonii. Życie pokazało, że Polskie Radio może nieść szkołom powszechnym pomoc bardzo skuteczną. Liczne szkoły na zachodzie i w środku kraju niekiedy nawet poszczególne klasy jednej i tej samej szkoły, obierają sobie jakąś biedną szkołę na Polesiu, Wołyniu, Wileńszczyźnie itp., a w ostatnim czasie na Zaolziu, i drogą wymiany listów zaprzyjaźniają się z sobą. Tym sposobem, dzięki Polskiemu Radiu i „Skrzynce ogólnej”, nawiązane zostały liczne węzły uczuciowe, wiążące ludność kresów z całością Rzeczypospolitej.

Ale nie tylko szkoły potrafiła „Skrzynka” wciągnąć do tej akcji. Wciągnęły się do niej także organizacje wielu instytucji publicznych, np. Korpusu Oficerów i Podoficerów różnych rodzajów broni, zrzeszenia pracowników Monopolów Państwowych, Zakładów Uzbrojenia, T-wa Handlu Komercyjnego, Linii Żeglugowych „Gdynia-Ameryka”, Polskich Zakładów Philipsa, P. P. W. Polskiego Radia i wiele, wiele innych.

W ogólnym organizmie Polskiego Radia „Skrzynka ogólna” stanowi kółko bardzo ruchliwe i słuchacze utrzymują z nią ożywiony kontakt.

Konkurs Polskiego Radia na modele produkcyjne popularnych odbiorników sieciowych.

W dalszym ciągu akcji, zmierzającej do otrzymania polskiego odbiornika popularnego Polskie Radio i Związek Elektryków Polskich wspólnie z Państwowym Instytutem Telekomunikacyjnym ogłasza konkurs na model produkcyjny popularnego odbiornika sieciowego, wykonanego w dwóch typach: jako odbiornik na prąd zmienny i odbiornik uniwersalny na prąd stały i zmienny.

Odbiorniki te mają być podstawą do radiofonizacji najszerszych warstw ludności okręgów zelektryfikowanych.

Wymagania konkursu idą w tym kierunku, aby zgłoszony model zawierał minimum części pochodzenia zagranicznego, łączył wysoką jakość techniczną z możliwie najniższą ceną i nadawał się do produkcji masowej.

Na konkurs należy zgłaszać odbiorniki modelowe wraz z rysunkami warsztatowymi i kalkulacją cen.

Za najlepszy odbiornik każdego z typów (na prąd zmienny i uniwersalny) zostanie przyznana premia w wysokości po 3.000 złotych, przy czym odbiorniki te zostaną uznane jako polskie popularne odbiorniki sieciowe.

Ostateczny termin zgłaszania prac na konkurs upływa dnia 17. IV br. o godz. 12 w południe.

Bliższych informacji co do warunków konkursu udziela Polskie Radio (Biuro Studiów) w Warszawie, Mazowiecka 5, listownie lub osobiście w godzinach od 12 do 13, z wyjątkiem sobót.

ELEKTROHOMEOPAPIA

(Ciąg dalszy).

II. Charakterystyka seryj i zakres działania poszczególnych środków. — Seria Scrofoloso — S.

Seria ta zawiera 6 środków tej samej nazwy, a mianowicie: Scrof. nr 1 — S₁, nr 2 — S₂, nr 3 — S₃, nr 5 — S₅, nr 6 — S₆ i Scrof. Giappone (dziapone) — S. G., oraz siódmy pod nazwą Marina — M.

Jakkolwiek każdy z tych środków zawiera inne składniki i lepiej odpowiada pewnym organizmom i pewnym chorobom, wszystkie one leczą choroby pochodzące czy też powstające na tle zepsutej limfy, czyli choroby tzw. skrofuliczne, liszajów, psoryczne (dziedziczne przejawy kily, trądu itp.).

Zakres stosowania tej serii środków jest tak obszerny, iż obejmuje $\frac{9}{10}$ wszystkich chorób w ogóle.

Najważniejszym z tej serii jest *Scrof* nr 1 — S₁. Zasięg jego działania jest o tyle szeroki, iż obejmuje wszystkie części i organa ciała ludzkiego, oraz tak dużą ilość wypadków chorobowych, iż wyliczenie ich tu, chociażby w skrócie, jest niepodobieństwem.

Dość powiedzieć, iż S₁ z powodzeniem uleczają choroby skóry, oczu i powiek, uszu, nosa, dziąseł, zębów, gardła, języka, organów oddechowych, organów trawienia, gruczołów, organów moczowych i płciowych, mięśni, stawów, kości, systemu nerwowego i mózgu.

Jednocześnie S₁ jest bardzo skutecznym środkiem zapobiegawczym przeciwko chorobom zaraźliwym w czasie epidemii.

Systematycznie przyjmowane przez dłuższy okres czasu, oczyszcza organizm, wzmacnia go i usuwa skłonność do schorzeń, np. do zaziębień.

Scrof nr 2 — S₂ ma zakres stosowania znacznie węższy, działa nieco wolniej, lecz głębiej i przenikliwiej, a zarazem łagodniej. Nadaje się bardziej dla organizmów usposobienia mieszanego pomiędzy skrofulicznym i krwistym. Specjalnie zaleca się w chorobach błon śluzowych kiszek, oraz kamieni pęcherzowych i nerkowych.

Scrof nr 3 — S₃ działa jakby z połączenia S₁ i S₂. Szczególnie skutecznie i szybko działa na system nerwowy, zwłaszcza w połączeniu z *Febrifugo*. Bardzo się nadaje do stosowania na zewnątrz w okładach, kompresach i wannach.

Scrof nr 5 — S₅ ma zakres tak samo szeroko jak S₁. Działanie tego środka zbliżone jest do działania środków serii *Canceroso* i dlatego w wielu wypadkach *Canceroso* nr 1 może być zastąpione przez S₅, lecz nie w chorobach rakowatych i macicznych.

Podobnie do S₁ jest bardzo skutecznym środkiem przeciwwenerycznym, zwłaszcza w tych wypadkach, gdy np. kiła istnieje we krwi, nie powodując żadnych zewnętrznych przejawów. Ze wszystkich środków tej serii najlepiej nadaje się do zewnętrznego zastosowania w wannach, okładach, maściach.

Scrof nr 6 — S₆ przewyższa wszystkie inne środki tej serii w specjalnym działaniu na wszelkie choroby nerek i pęcherza. Bardzo skutecznie uleczają rozstrój żołądka, spowodowany zimnymi napojami, lub zbyt kwaśnymi pokarmami, osłabienie z chorób lub starości, objawy różny, melancholii, usychanie rdzenia pacierzowego.

Scrof Giappone — S. G. stosuje się przeciwko wszelkim zaburzeniom organów trawienia, specjalnie zaś przeciwko cholercze, dezynterii, bieguncie oraz grypie i jej

skutkom. Z powodzeniem stosuje się go również jako środek zapobiegawczy przeciwko wymienionym chorobom, np. w czasie epidemii cholery i grypy, oraz dla wzmocnienia organizmu po ciężkich i przewlekłych chorobach, lub z powodu wyczerpania pracą umysłową.

Marina — M. należy również do serii Scrofoloso. Jest specyfikiem w większości chorób oczu, szczególnie przeciwko katarakcie. Stosuje się na zewnątrz w kompresach i wanienkach oraz do wewnątrz.

Seria Angioitico — A.

Seria ta składa się z 3 środków tej samej nazwy pod nrnr. 1, 2 i 3.

Środki te oczyszczają krew i regulują obieg krwi, działając na cały aparat krwioobiegu, w szczególności zaś na serce i wszystkie jego choroby.

Środki te przeznaczone są przede wszystkim dla osób pełnokrwistych (sagwiników), lecz również i dla małokrwistych, słowem dla chorych na krew.

Ponieważ jednak zepsucie krwi i nieprawidłowość jej krążenia powoduje zepsucie limfy i odwrotnie, zepsuta linfa powoduje zepsucie krwi, zachodzi potrzeba równoczesnego stosowania z Angioiticami i Scrofolosów, *Cancerosów* lub innych specjalnych środków, jak *Febrifugo*, *Pettorale* itp., zależnie od zaatakowanego organu i objawów chorobowych.

Angioit nr 1 — A₁ najlepiej odpowiada osobom krwistym, nerwowym, drażliwym, posiadającym nadmiar krwi i zbyt silne jej ciśnienie, co powoduje zaburzenia w jej obiegu, przekrwawienie organów, uderzenia do głowy, apopleksje itp. Skutecznie uleczają powstające na tym tle choroby serca i naczyń krwionośnych, przede wszystkim arteryj, tamuje wszelkie krwotoki zewnętrzne i wewnętrzne, usuwa przekrwienie itd.

Przyjmowane przez osoby krwiste, zapobiega wymienionym schorzeniom, wzmacnia siłę i zdrowie, sprawdza dobry sen i ułatwia proces trawienia.

Angioit nr 2 — A₂ lepiej odpowiada temperamentom mieszanym, a więc osobom raczej niedokrwistym. Jest bardzo skutecznym środkiem w organicznych chorobach serca i naczyń krwionośnych, powstających z zepsucia krwi, niedostatecznej ilości jej i słabego obiegu, co powoduje zastój krwi w żyłach i tzw. przekrwienie pasywne.

Przy zewnętrznym zastosowaniu w postaci okładów, kompresów i wanieni osiąga się wyniki lepsze niż przy użyciu wewnętrznym.

Posiada poza tym bardzo silne właściwości przeciwweneryczne i z powodzeniem stosuje się przy leczeniu kily.

Angioit nr 3 — A₃ działa podobnie jak nr 1, tylko łagodniej i przenikliwiej, głębiej. Szczególnie skutecznym jest w wypadkach, gdzie wchodzi w grę system nerwowy. Sprawdza dobry sen i przeciwdziała obstrukcjom.

(C. d. n.).

APTEKA HOMEOPATYCZNA

Towarzystwa Zwolenników Homeopatii w Warszawie, ul. Nowy Świat, 16, tel. 6-23-44, posiada wszystkie leki homeopatyczne i *elektrohomeopatyczne* hr. Mattei.

Wysyłka za pobraniem.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Jeśli nie możesz być w ciągłym skupieniu ducha, przynajmniej w pewnych chwilach wchodź w siebie: a przynajmniej raz na dzień, to jest rano, albo wieczorem.

Z rana postanawiaj, jakim masz być dzień cały; wieczorem rozważaj, jakim dziś byłeś w myśli, w słowie i w uczynku, albowiem może w nich nieraz obrazisz Boga i bliźniego.

Uzbrój się, jako rycerz, przeciwko złościom szatańskim. Bądź wstrzemięźliwym, a wszelką cielesną skłonność snadniej pohamujesz.

Nie puszczaj się nigdy na zupełne próżnowanie: lecz albo czytaj, albo pisz, albo módl się, albo rozmyślaj, albo zajmuj się pracą jaką na korzyść wspólnego dobra.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

RACJONALNE WYCHOWANIE DZIECKA DO LAT 7

Śliczne wydawnictwo, jak zresztą wszystkie M. Arcta, zajmująco podana najżywotniejsza dla nas kobiet treść, przez głęboko patrzącą w życie autorkę, p. Marię Ankiewiczową, która i wychowaniem własnego syna i prowadzeniem domu, i poszanowaniem rodzinnego w nim technienia stwierdza wagę, jaką przywiązywać należy do tej grupy wspólnoty krwi i myśli złączonej, a noszącej miano: domu rodzinnego. A w nim, jaką czułą opieką otoczyć tę część składową tego domu, któremu na imię: dziecko!

Autorka, wobec nowych dziś prądów unikania macierzyństwa, zwraca się z taką apostrofą do swych czytelniczek:

„Matko! nie bój się dziecka, lecz się kształć! Bo ani małe nie sprawi ci kłopotu, ani duże od ciebie nie odejdzie, jeśli posiadasz wiedzę należytego z nim postępowania”.

I tu, już od pierwszej chwili życia stwierdzając, że „najbardziej nawet upragnione dziecko, wchodząc w życie dwojga ludzi przekształca zasadniczo dotychczasowy rytm ich codzienności”, prowadzi autorka młodą matkę za rękę, mówiąc jej jak ma zużyć dzień, który otędnęła już w pierwszym stopniu pełnienia powinności i prowadzenia przez nią tej istoty, za której nie tylko dziś, ale i za jutro całego jej przyszłego życia będzie odpowiedzialna.

W książeczce p. Ankiewiczowej zebrane jest najstarsze wszystko, co złączone jest z losem dziecka. A więc od zasobu jej powijaczy i sukienek do 7-miu lat życia radzi autorka — jak dziecko fizycznie chronić ode zła, jak je ubierać, jak przyuczać je do ładu, dając, jeśli nie można całego, to bodaj mały kącik w domu, ale własny, i nauczyć nad nim czuwania dziecka od najmłodszych chwil życia. Dalej przechodzi przed oczami matki cały szereg mowy o zabawkach, wózkach, zbliżenia ze zwierzątkami domowymi, wreszcie z doborem odpowiedniego towarzystwa, znajomości na spacerach itd.

Ważna też jest uwaga, że w młody organizm dziecka, niby woda w gąbkę, wsiąkają różne zewnętrzne wrażenia, które przechodzą często w zły nawyk, męcący najlepsze chęci otoczenia.

Dziecko zaczyna kapryścić, zaczyna okazywać swą niczym nieuzasadnioną wolę i jeśli wtedy nie umie tego

ręka opiekuńcza matki, już przyczyni się swą słabością do utraty własnego spokoju i skrzywdzi dziecinę — bo dopuści doń — kaprys, który, nieposkromiony na razie, może się rozwinąć w nawyk, a z czasem i uświadomienie, że ktoś czegoś zaniedbał w czuwaniu, kiedy dziecku było małeńkie.

Na te sprawy życia, zwraca poważną uwagę p. Ankiewiczowa.

„Sprawność, a więc i ugodność życiowa każdego człowieka zależy bezpośrednio od przeszkolenia, jakie przeszedł w najwcześniejszej młodości w zakresie techniki życia codziennego. A tą jedynie szkołą sprawności dla dziecka może być dom.

„Planowy podział zajęć dziecka, stopniowe przekazywanie mu troski o własne potrzeby, niedostrzegalna dla dziecka pomoc przy pokonywaniu trudności w funkcjach cięższych lub wykonywanych przez nie po raz pierwszy, wreszcie zainteresowanie dziecka z biegiem czasu ogólnymi czynnościami gospodarskimi domu i powierzanie niektórych jego wyłącznej odpowiedzialności — oto sposoby niezawodne wyposażenia dziecka w sprawność, a także pogłębienia jego uczucia łączności z domem. Ale nie wszyscy rodzice mają cierpliwość, czas, ochotę, a nawet świadomość konieczności stosowania podobnych metod wychowawczych do swoich dzieci. Dzieci sobie rosną, a rodzice podjęcie trudu wychowawczego odkładają z roku na rok”.

Prawda, że to czuwanie pochłania czas, którym często sami zajęci pracą zawodową i zarobkową, nie jesteśmy w możności rozporządzać dowolnie. Jednak zapominać nie można, że: „wartości duchowe były i zawsze będą jednym z najważniejszych współczynników wychowania i że na ich rozbudowie jedynie można opierać nierozważną więź pokoleniową”, mówi p. Ankiewiczowa, dodając, że:

„Młodzież łatwo zdobywa szczyty duchowej doskonałości, ale musi wieść ją tam świadoma i mocna dłoń wychowawcza”.

Dbając o fizyczne wymogi dziecka autorka, słusznie psychiczne wartości wychowania pragnie każdym słowem, podnieść do szczytów w uzupełnieniu cech — człowieczeństwa.

L. Kotarbińska.

ZE ZWIĄZKU PAŃ DOMU – PRACA NA PRZEDMIEŚCIACH

Gospodarczo-oświatową pracę obejmuje Związek Pań Domu szerokie masy i niesie pomoc tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, gdzie dochody są minimalne, a więc umiejętność żywienia konieczna dla utrzymania rodziny od chorób. Praga, Targówek, Wola, Bródno, Czerniaków; fabryki: Wedla, Monopolu Spirytusowego, Gazowni znają Związek Pań Domu. Na pokazach gospodarczych gromadzą się tłumnie kobiety ze sfer robotniczych, czekając od nas pomocy w słowie lub praktycznej nauce. Niesie ją Związek niejednokrotnie z zaparciem siebie, dociera tam, gdzie tramwaj nie dochodzi, z lotnym bagażem w skrzynce narzędzi i naczyń do pokazów, na zaimprovizowanym stole, korzystając z kuchni, sal rekreacyjnych, hollów a czasem nawet korytarzy zaofiarowanych, praktycznie naucza jakie i jak przyrządzać potrawy, jak żywić rodzinę, aby ustrzec przed popsutymi zębami, krzywicą, gruźlicą, jak w najskromniejszych warunkach stworzyć ład i harmonię w domu, jak ustrzec przed alkoholizmem. Kobiety, dziewczęta a nawet niejednokrotnie chłopcy, gromadzą się na tych pokazach tłumnie, domagają się od nas stworzenia stałej świetlicy. Niestety, brak funduszy i niemożność zaangażowania fachowych sił nie pozwala nam na założenie własnych świetlic, które byłyby stałym ośrodkiem kultury i oświaty gospodarczej, promieniując na całą dzielnicę. Z jakąż przykrością po zorganizowaniu cyklu pokazów i pogadanek musimy żegnać się z jedną dzielnicą, by móc to samo przeprowadzić w drugiej. Jedynie na Czerniakowie we własnym lokalu posiadamy własną świetlicę, z odpowiednio urządzonej kuchnią, wyposażoną w potrzebny inwentarz, gdzie kobiety z danej dzielnicy pod opieką fachowych instruktorek szkolą się na pokazach, kursach, uczą szycia, tkactwa, gdzie zawsze znajdują pomoc w poradni itp.

UCZMY SIĘ JĘZYKÓW OBCYCH

Wolność — zmieniła tempo naszego życia, otworzyła drogi w świat szeroki, narzuciła obowiązki względem własnego kraju, zobowiązania względem innych, z którymi wiążą nas raczej polityczne lub interesy handlowe, czy sprawy zawodowe, a nawet sympatie bezinteresowne. To wszystko łączy się najbezpośredniej z koniecznością nabywania języków obcych, co niezmiernie nie tylko ułatwia doraźne zbliżenie, ale ułatwia także podstawy porozumień we wszelkich ważnych, choćby nawet i mniej ważnych towarzyskich stosunkach.

Dawniej znajomość języków obcych służyła nam nade wszystko do poznawania wspaniałych dorobków ludzkiego intelektu, rozwijających się naturalnie na całym świecie. Dorobki kultury umysłowej w narodach wolnych — w nauce, w pracach zawodowych, literaturze — to był nasz pokarm duchowy, to było to ciągłe śledzenie pracy



Do działania w tej dziedzinie jest masę. To co prowadzi i Związek Pań Domu jest zaledwie kroplą w morzu. Pracę tę należałoby jak najbardziej rozbudować, oprzeć o pewne stałe fundusze, czy subsydia, których niestety brak, a jeśli są to tak minimalne, że jedynie własną przemyślnością a niejednokrotnie trudnymi sztuczkami zdobywa je Związek.

A przecież umiejętność żywienia rodziny i prowadzenia gospodarstwa ma nie tylko wielkie znaczenie dla dobrobytu kraju w czasie pokoju, lecz również w czasie wojny — kiedy na równi z żołnierzami stanowi o obronności kraju.

geniuszu ludzkiego, niekępowanego, jak u nas — ciężkimi łańcuchami niewoli, ale z tego korzystać mogły tylko pewne warstwy w społeczeństwie, znające języki obce.

Dziś to się zmieniło. Wprawdzie czujne oko światłych umysłów obcych narodowości umiało dojrzeć wartości naszych uczonych nawet wtedy, kiedy nie mieliśmy bytu politycznego. Nie było bowiem zjazdu we Francji, Niemczech, Anglii, żeby nie byli na nie zaproszeni nasi uczeni, więc tym bardziej dziś, kiedy stajemy jako równi — z równymi, dla których mieć mamy należne poszanowanie, ale do których nie idziemy też bez dorobków pracy bogatych naszych umysłów, musimy mieć w zapasie znajomość języków, bo to dopiero daje swobodę w każdym kierunku, to ułatwia korzystanie bezpośrednio ze wszystkich źródeł tak bogato nagromadzonych w księgozbiorach światowych, to daje prawdziwą możliwość wgłębiania się w ducha danego a obcego nam narodu. —

Oczywiście widzimy, że w tym kierunku są już duże usiłowania ogółu. Doceniamy wszyscy ważność tej dziedziny umiejętności — ale w rodzinach naszych powinno się wyteńczyć wszystkie siły, aby dzieciom ułatwiać naukę języka obcego. To, co się wyda na ten cel, to jakby się do skarbonki odkładało dla kapitału, który oprocen-tuje najbliższą przyszłość.

Rozmowa jednej z poważnych urzędniczek utkwiała mi szczególnie w pamięci:

SKÓRY

surowe wszystkie skupujemy.

FUTRA

wszelkie dostarczamy — naprawiamy — modernizujemy.

GARBUJEMY — FARBUJEMY

Prowincja pocztą.

Ilustrowane katalogi, 32 str., 25 gr znaczkami.

Przedstawiciele — skupujących — poszukujemy.

POLSKA CENTRALA SKÓR I FUTER

Sp. z o. o. Poznań, Focha 27.

— Pracą biurową zajęta jestem w godzinach porannych. Od 5 do 7 uczę się języków z tym przeświadczeniem, że każdy nowonabyty język — to powiększenie moich dochodów o sto złotych miesięcznie. Podróżuję dużo — znajomość francuskiego, niemieckiego, ułatwia mi doskonale pobyt wśród cudzoziemców. Dopełniam moje zdobycze w tym kierunku nauką angielskiego i włoskiego, z tym przeświadczeniem, że wydany na to grosz —

wróci mi się z procentem w dalszej mojej urzędniczej pracy, nie mówiąc o tej rozkoszy, jaką właśnie sprawia znajomość danego języka w kraju obcym, który od razu staje się bliskim, i przystępnym.

Dziś u nas są już szkoły języków cudzoziemskich. Cenny nauki przystępne. Są kursy dla dzieci specjalne i dla dorosłych, więc ułatwienia mamy i korzystać z nich musimy dla ułatwienia warunków własnego życia. M.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

WIOSNA I GRYPA. — „POLSKA NA MORZU”. — ZJAZD OGÓLNOPOLSKI L. M. i K. W TORUNIU. — KONGRES FEDERACJI KOBIET Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM W SZTOKHOLMIE. — POMOC ZIMOWA. — 360 MILIONÓW POTRZEBA NA BUDOWĘ SZKÓŁ. — ZNIENIE OCHRONY PRACY KOBIET W SOWIETACH.

Wiosna tuż, a z nią: zaziębienia, katar, grypa... Otóż *wiedzieć trzeba*, że przestrzeganie czystości, w najmniej dokuczliwych praktykach, aby ją zdobyć, to pierwszy warunek od uchronienia się od dokuczliwych niedomagań. Jeździmy tramwajami, dotykamy się poręczami, schodów, klamek itd. nie bacząc, że zarazki wszędzie na nas czyhać mogą. Otóż pierwszy zabieg po powrocie do domu — to natychmiastowe umycie rąk, zanim się popieści dziecko, zanim się dotknie paczek z sucharkami czy ciastkami. — A potem codzienne wietrzenie mieszkania rano i wieczór otworzenie, zwłaszcza w sypialni, bodaj na pół godziny, całego okna. Powietrze w Warszawie mamy złe. Prezydent miasta, nasz dzielny opiekun, i na to znajdzie z czasem radę, tymczasem niech każdy u siebie przestrzega czystości, to może i zmniejszy epidemie grypy, które rujną nie tylko zdrowie, ale i kieszeń.

Wiedzieć trzeba i radzić drugim, którzy chcą się w sposób przystępny dowiedzieć wielu dla nas nowych rzeczy, dotyczących morza, że pismo: „Polska na morzu”, doskonale redagowane, opowiada nam w sposób bardzo przystępny, a zawsze zajmujący, o ważności „wychowania morskiego” i samokształcenia się w tym kierunku. Mówi o podróżach naszych statków, o portach, w których one znajdują gościnę.

Pięknym językiem pisze nam p. Janusz Stepowski, utalentowany poeta, o założeniu

Wejherowa przez Jakuba Wejhera, sięgającego daty 1615 i mówi: „W Wejherowie jak od stuleci tak i dzisiaj, wiernie z przastarym zwyczajem, dotykają spracowane dłonie Kaszubów obrazów świętych w kalwaryjskich kapliczkach na znak swej obecności i niezłomnego trwania przy wierze ojców na tej krzewidzi pomorskiej ziemi”. Prenumerata tania. Redakcja: Warszawa, Widok 10.

Wiedzieć trzeba, że Ogólnopolski Zjazd Ligi Morskiej i Kolonialnej odbędzie się w tym roku w dniach 18 i 19 maja w Toruniu. Podczas zjazdu urządzona będzie wystawa propagandowa, nad czym narady prowadzi prezes R. Radłowski.

Zapisy i wszelkie informacje osiągnąć można w siedzibie L. M. i K., Widok 10. Zniżki kolejowe dla członków Ligi sięgają 50%. Liczba chętnych do wzięcia udziału w uroczystych chwilach, jakie nam zawsze gotuje każdy zjazd Ligi, jest nieograniczona.

Legitymacja członka Ligi ułatwia podróż i hotele.

Wiedzieć trzeba, że w dniu 6 — 15 sierpnia r. b. odbędzie się w Sztokholmie kongres Federacji Kobiet z wyższym wykształceniem. Głównym tematem obrad będzie zagadnienie „Czy możliwe jest pogodzenie nacjonalizmu z prądami międzynarodowymi”. Poza tym omawiane będą zagadnienia, związane z pracą zawodową kobiet.

Kongres w Sztokholmie jest połączony ze zwiedzaniem Szwecji, a po drodze uczestniczki są zaproszone na dwudniowe pobyty do Kopenhagi i Oslo, celem poznania tych ciekawych i pięknych stolic skandynawskich.

Wiedzieć należy, że: z pomocy zimowej w Warszawie korzysta 10.000 rodzin, i że gwiazdką udarowano 65.000 dzieci. Mimo to ofiary dalsze płyną, bo bezrobocie trwa, więc składajmy grosze ofiarne, na które czeka — nędza braci!

360 milionów złotych potrzeba na to, aby naukę z programem szkół powszechnych zadowolnić. Oczywiście suma to wielka, ale częściowo będzie maleć i zacznijmy we

własnych budynkach — naukę, która dziś często mieści się w najmniej odpowiednich lokalach.

Wiedzieć trzeba, że: Rada komisarzy ludowych w Sowietach powzięła uchwałę, zmieniającą dotychczasowe przepisy ochrony pracy. Według uchwały praca kobiet dopuszczona jest również w tych gałęziach przemysłu, gdzie dotychczas według sowieckiego ustawodawstwa socjalnego była ona zakazana. Nowe przepisy stosują się szczególnie do kolei sowieckich, warsztatów kolejowych i fabryk parowozów. Kobiety mogą pracować jako maszyniści, pomocnicy maszynistów, palacze oraz spełniać ciężkie roboty w poszczególnych oddziałach fabryk budowy maszyn.

Zaznaczyć należy, że uchwalona nowela do sowieckiego kodeksu pracy zmienia zasadniczo dotychczasowe przepisy o ochronie pracy kobiet.

Zapamiętać należy, że naukę języków obcych prowadzi prof. Ludwik Amblarda, mając nad kursami ogólną dyrekcję. Kursy mieszczą się przy ulicy Rysiej 1, m. 5, telefon 2-81.28. Grupy wspólne są nieliczne. Dla członków L. M. i K. za pokazaniem legitymacji znaczne zniżki w cenie, która wynosi za określony czas zł 13. Dziś bez znajomości języków trudno znaleźć pracę, której tak wszyscy — potrzebujemy.

Przypominać sobie wzajem należy o gromadzeniu odpadków i oddawaniu ich do *Caritasu*. Z tego co mam nieużyteczne i niepotrzebne — zbierają się należycie posegregowane i zużyte setki i tysiące, idące na pomoc dla największej nędzy, która wytwarza bezrobocie. Telefoniczne zawiadomienie upraszcza oddanie odpadków.

W SPORCIE, TURYSTYCE
I NA WYWCZASACH
ODDA CI NIEOCENIONE USŁUGI
KREM 62 I ZIS
REXSPORT
CHRONI
NASKÓREK PRZED
ODMROŻENIEM
OPIERZCHNIĘCIEM
I PĘKANIEM

PROSZKI
MIGRENO-NERVOSIN
KOGUTER
GASBICKIEGO
GRYPA, PRZEZIĘBIENIE
BOLE GŁOWY, ZĘBOWITP
WALCZE PROSZKI TYTUŁ W MIĘSIĘCZNYCH TORISKACH.

BLUZKI, BLUZKI, BLUZKI!

Oto — co najmłodniejsze. I, dodać należy, niebywale praktyczne. Bo, mając dwie spódniczki także, albo gładkie, wąskie czy kloszowe, albo plisowane dla osób szczupłych od samego paska, dla otyłych od gładkiego karczka, który ochroni biodra od pogrubeń, spódniczki wełniane lub jedwabne, czarne czy granatowe, możemy być co dzień w innej toalecie, zmieniając bluzki, stosownie do pory dnia i celu wizyty.

Więc: *bluzka-zakiet*, bluzka wpuszczona pod spódniczkę, wtedy pas fantazyjny, spięty ładną sprzączką, lub jeśli miękki, fantazyjnie związana kokardą. *Bluzka z cienkiego jedwabiu* lub woalu, czy nawet ładnej wełny, gładka lub w rzucik, opadająca na biodra, spięta na ładne guziczki, lub jeden guzik, czy ładną broszkę i *bluzka strojna*, z lekkich materiałów, nawet koronki, z rękawkiem krótkim, z pękiem fiołków czy innych kwiatów przy gorsie, ze

spiciem kokardką z małych rancików, słowem — już toaleta, w której można po odbyciu poobiedniej wizyty u przyjaciół — pójść na salę koncertową czy do pierwszych rzędów krzeseł teatru lub łoży i będzie się pięknie, stosownie ubrana.

Jedna spódniczka i trzy bluzki na zmianę — oto cały zasób stroju ładnego i wygodnego.

Bo, jakkolwiek Szanowne nasze Czytelniczki wiedzą, że do stroi nie przywiązujemy wielkiej wagi, to jednak hołdujemy zasadzie, że kobieta zawsze musi dbać o estetyczne, stosowne do okoliczności

i wieku — ubranie. Tak samo — jak nie możemy asystować uroczystej chwili pogrzebu w stroju bardzo kolorowym lub w żałobie znaleźć się w tanecznej sali, tak i w ubraniu codziennym idąc na popołudniową herbatę nie możemy włożyć tego, co przeznaczone na zebrania jakieś uroczyste.

Nawet w domu, na co kładziemy wielki nacisk, kobieta zawsze dbać powinna o stosowną domową sukienkę, bo to zaraz daje atmosferę estetyczną i miłą, i schludną, którą musi być napełniony każdy dom rodzinny.

Mrówka.

DWIE SASZETY

Można je wykonać różnej wielkości, zależnie od tego, na jaki użytek je przeznaczamy — mniejsze mogą służyć do chusteczek, większe na cienką damską bieliznę. Kilka takich saszet wielką odda usługę w podróży, ułatwi to utrzymanie porządku w walizkach, bielizna nie gniecie się ani rozrzuca. Saszety haftować na jedwabnym płótnie, podszewkę z fularu lekko przepikować. Haftować muliną w trzech kolorach.

Naturalnie w stosunku do wielkości saszety trzeba zmieniać wielkość motywów kwiatowych i liści.

E. K.-Onichimowska.



SUKNIA POPOŁUDNIOWA

Fałdy, fałdeczki, zakładki są stale modne. Podany model nadaje się dla szczupłej osoby. Ponieważ jest mocno nafałdowany, lepiej wykonać go z jedwabiu, ale można i z lekkiej, miękkiej wełny, chodzi o to, żeby się fałdy ładnie układały.

Pelerynki futrzane będą wiosną noszone na ulicy, obecnie stanowią ładne dopełnienie wizytowej sukni. Pasek i wyłogi koło szyi haftowane kolorowymi i złotymi perełkami na georgiecie, obecnie są to drobiazgi bardzo modne i można takim drobiazgiem odświeżyć dawniejszą sukienkę. Torebka uszyta ze złotej lub srebrnej lamy z błyskawicznym zapięciem.

E. K.-Onichimowska.

Nie będziemy wtedy narażone na stratę czasu i na pracę od wypadku do wypadku, lecz zdołamy wprowadzić do gospodarstwa domowego pewną oszczędność realną i uda nam się często uniknąć wydatków zbędnych.

Inny warunek uproszczenia sobie pracy polega na *racjonalizacji*, która jest pracą *seryjną*, wykonywaną szybciej, dokładniej i wskutek nabytej wprawy, bez zmęczenia. Polega ona na zgrupowaniu tych samych elementów pracy, używając tych samych przyrządów. Jako przykład podajemy prasowanie. Bieliznę należy naprzód przejrzeć, wyreperować, posegregować i seriami prasować, układając następnie kolejno w szatach. —

Skupienie potrzebnych przyrządów do wykonywania danej pracy uwolni nas od zbędnego biegania, zmęczenia i straty czasu, *uproszczenie* zaś polegać będzie na używaniu najmniej skomplikowanych przyrządów. Z wyborem i kupnem zachwalanych bezkrytycznie różnych noży, terek, maszynek, należy być ostrożnym i kupować jedynie rzeczy przez kompetentne czynniki popierane. — Zwykle przyrządy te są bardzo trudne do utrzymania w czystości. Natomiast upraszczają zmywanie np. noże nierdzewne, półmiski szklane i porcelanowe, ogniotrwałe, które wprost z pieca mogą być postawione na stole itd. Są to przedmioty cokolwiek droższe, ale oplacają się w domach, gdzie sama pani prowadzi kuchnię. —

Praca nowoczesnej pani domu nad planowaniem i uproszczeniem metod gospodarskich nie tylko że nie „ochłodzi” atmosfery jej domu, lecz przeciwnie wniesie nowy powiew piękna w najskromniejsze prace domowe, którym przepoi wszystko, co ją otacza.

KILKA MNIEJ ZNANYCH PRZEPISÓW POTRAW POSTNYCH

Zupa jarzynowa.

Trzy pory, kilka liści kapusty, trzy pietruszki i 3 kartofle pokrajać, ugotować w 2 litrach wody, po godzinie wrzucić 2 łyżki ryżu, gdy będzie miękki, posolić, popieprzyć i wlać do wazy, do której włożyliśmy łyżkę masła, trochę ostrego sera i siekanej pietruszki. Tania i posilna zupa.

Zupa cebulowa.

Usmażyć na maśle ¼ kg cebuli, nie rumieniąc, wlać 1½ litra wody i gotować pół godziny. Wsypać 2 łyżki tapioki lub kaszki-manny, posolić. Jeszcze zagotować kilka razy. W wazie rozbić 1 całe jajko z 2 łyżkami mleka, włożyć łyżkę masła surowego i wlewać wolno gotującą się zupę.

Jajka na czerwono.

Ugotować jajka przez 5 minut, kładąc w zimną wodę, aby białko się ścięło, a żółtko zostało płynne. Włożyć je natychmiast po ugotowaniu w zimną wodę i obrać ze skorupki. Zanurzyć każde jajko w cieście o gęstości śmietany, na które wziąć filiżankę mąki, 1 żółtko, łyżeczkę masła, 1 — 2 łyżki śmietany i pianę z białka. Usmażyć na oliwie soi, lub smalcu, podać z sosem pomidorowym.

Podobnie przyrządzają się *jajka faszerowane* z tą różnicą, że gotują się dłużej na twardo. Obrac z skorupki, przeciąć wzdłuż, wyjąć żółtka, utrzeć je z wymoczoną w mleku bułeczką, kawałeczkami masła, koperkiem, lub gdy kto lubi — ze szczypiorkiem posolić. Napełnić białka formując całe jajka. Maczać w cieście i smażyć. —

Trzeci sposób przyrządzenia jajek jest również wyborny.

Jajka na zielono. Ugotować jajka na twardo, przeciąć po obraniu ze skorupki, wymieszać żółtka z bardzo gęstą masą z zielonego groszku, posolić i popieprzyć, dodać trochę surowego masła. Napełnić białka, formować całe jajka, maczać w cieście i smażyć.

Trzy przepisy powyżej podane na postne potrawy z jajek są doskonałe i posilne. —

ŁATWA LEGUMINA CZEKOLADOWA

Cztery tabliczki czekolady rozpuścić w 2 łyżkach wody z 4 łyżkami cukru. Gdy czekolada gorąca, dodać 10 deka masła i ucierać bez ognia.

W salaterce utrzeć 2 żółtka z 1 łyżką cukru, wlać masę czekoladową, wymieszać starannie, dodać pianę z 2 białek i formować rodzaj piramidy, którą wokoło obstawić biszkoptami.



DWIE SUKIENKI DLA PANIENEK

Obie sukienki są wykonane z cienkiej wełny, albo jedwabiu, żeby mogły służyć na mniejsze lub liczniejsze zabawy, a potem jeszcze na lato. Jedna ozdobiona ciemnymi aksamitkami w kolorze sukni, druga nikłym rzucikiem naokoło kołnierzyka i na przodzie stanika. Spódniczki mocno nafałdowane. E. K.-Onichimowska.

Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

SPRAWNOŚĆ W GOSPODARSTWIE

Znana pionierka racjonalizacji gospodarstwa domowego, pani Paulina Bernege, w książce swojej „La Méthode menagère” w interesujący sposób ujmuje kwestię usprawnienia pracy w gospodarstwie. —

Na pierwszym miejscu stawia *przygotowanie* do wykonania danej roboty, co jest podstawą do jej należytego przeprowadzenia. Praca winna być naprzód obmyślona, później wykonana. Pani Bernege proponuje przed każdą czynnością odpowiedzieć sobie na następujące pytania: Gdzie ją wykonam? Kiedy? Jak? Ile czasu będzie potrzebowała? Takie „planowanie” wymagać będzie dla nieskomplikowanej roboty zaledwie kilka sekund, dla zorganizowania zaś i obmyślenia szeregu prac na dzień, tydzień itd., a głównie dla skontrolowania przewidzianych wydatków, potrzeba będzie dłuższego czasu, który się bardzo oplaci! —



wiedliwym być winien względem poddanych, na wzór króla Kazimierza stawiając, a dziś prawie mieliście o miłosierdziu królewskim w postaci królowej Jadwigi, tej świętej Pani. —

— Nie tylko ona, królowa, wzorem miłosierdzia, ale i poświęcenia siebie samej dla dobra kraju była, Maryśko moja — prawil ojciec — głoszącą główkę córki. W tej chwili rozmowę tych dwojga przerwał człowiek jakiś z wiejska ubrany, kłaniając się pokornie zbliżył się nieśmiało do rozmawiających — Cóż tam takiego? — spytał pan dostojny marszcząc brwi. — Szukają was, miłościwy panie — odparł człek patrząc z uszanowaniem na oboje — pono goście jakoweś przybyły. A że mnie wiadomo, gdzie najchętniej spaceru używacie, więc wyprzedziłem posłańca, bo hym może inaczej nie miał śmiałości podziękować za dobroć okazaną mej chorej żonie, przez miłościwą panienkę. — Uśmiechnęła się Marysia do niego: — Zdrowsza już żona? Bogu dzięki. Niech się Baptysta zgłosi do kuchni, to mu wydadzą trochę posilnego rosółu. — Mówiąc te słowa dopomogła wstać ojcu i ująwszy go pod rękę zwolna wiodła do domu. Baptysta patrzył długo za nimi szepcąc słowa błogosławieństw i ocierając łzy rozrzewnienia.

Wtem drgnął cały, poczuwszy czyjąś dłoń na ramieniu. Obrócił się żywo, przed nim stał pan wspaniały z niemniej dostojnym towarzyszem. — Hej, człowieku — rzekł — któż to byli ci państwo?

— Ci, co tak łaskawie z biedakiem mówili? — odparł drząc Baptysta. — To król Stanisław Leszczyński, król z dalekiego kraju, z Polski, ze swą córką, wszyscy ich tu znają, kochają i błogosławią.

— Dzięki ci czelezo za dobrą nowinę — rzekł dostojny pan, rzucając mu sakiewkę z pieniędzmi, a pozostawiając nie mogącego ze zdumieniem nawet podziękować Baptystę, skierował się do ka-

rocy, mówiąc do swego towarzysza: — A teraz prędzej do Paryża. Nie mówiłem, że w ciszy leśnej nie jedno znaleźć można, a jam znalazł tu cenną perłę, której na próżno szukałem w dworskim rozgwarze.

I nie minęło wiele czasu, gdy na dwór króla-wygnańca Stanisława Leszczyńskiego zjawilo się poselstwo z dworu francuskiego prosząc o rękę jego córki Marii dla króla Francji Ludwika XV. Przewodził poselstwu onemu biskup de Rohan, ten sam dostojny pan, który był świadkiem rozmowy przyszłej królowej z ojcem w gaju nad strumieniem.
H. Rostafińska-Choynowska.

Rozwiązanie konkursowych zadań z nr 2 br. wraz z wykazem nazwisk nagrodzonych rozwiązań ukaże się w numerze następnym. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 10 marca. Jeszcze więc macie czas pomyśleć, napisać i zdobyć nagrodę w formie ładnej książki, którą otrzymacie przed Wielkanocą lub na Wielkanoc.

Wesoly kącik.

Brat młodszy pyta starszego: — Kiedy jest rok przestępny?

Starszy brat: — Gdy rok ma 366 dni.

Młodszy brat: — A kiedy ma 366 dni rok?

Brat starszy: — Wtedy, gdy jest przestępny.

U FOTOGRAFA

— Mistrzu, niech pan zrobi zdjęcie z moich chłopców. To są bliźniacy.

— Gdzie jest drugi chłopiec?

— Zostawiłam go w domu. Ale to nie szkodzi, bo oni są do siebie tak podobni, jak kropla wody.

Bajka o warszawskim szewcu.

W starym domku, wpadłym w ziemię,
Gdzie sto bajek dawnych drzemie.
Mieszkał sobie szewc starutki,
Co szył ludziom buty, butki...
Lecz przykładał częściej taty —
— Naród wokół niebogaty —
Krzywdował sobie szewczyzna —
— Ze szyć buty zapomina,
Ze miast stworzyć coś pięknego,
Nowe robi ze starego. —
Aż gość w dom wszedł niespodziany.
W złoto, karmazyn ubrany:
Imć pan kogut — i tak prawi:
„Niech się acan szewc nie bawi,
Jeno prędko bierz miarę
Na złotciutkich butów parę.
Podkuć obcas, dać ostrogi,
A ciemki dla niebogi,
Imć kokoszki, mojej żony,
Uszyć w tempie przyspieszonym

Grzebiąc w piasku jak najęta,
Wciąż pończochy drze na piętach!”
— Będzie wszystko, panie złoty!
Zabrał się szewc do roboty
I nie minął tydzień cały,
Gdy dwie pary butków stały.
Przepowiadacz — zaś — pogody
Kogut ów — dworzanin młody —
Na królewski dwór go bierze —
Z roboty szewca rad szczerze.
A tam siedzi król w koronie,
Z berłem, na przepysznym tronie.
Ale łapcie król niebogi
Miast butów włożył na nogi.
Skinął berłem i powiada:
„Niechże szewc co prędzej siada
I uszyje mi wygodne
Buty — majestatu godne!
Bom ukaran bardzo srodze —
Popatrz jak obuty chodzę! —
Zem wzgardził bytu naszymi
A stroił się zamorskimi!”
Usiadł szewczyk starowina.
Miarę wziął i szyć zaczyna.
Dzień i noc szył bez przestanku
Od poranku do poranku.
Król, gdy tylko buty włożył,
To przytupnął i wnet ożył,
Wola: — Szewcze, mój kochany,
Chodźcie razem ze mną w tany.
I oberka tańcowali,
Dwór za nimi cały wali,
Przytupuje, przyklaskuje,
Że najlepsze — wysławia —
Czy do pracy, czy ochoty
Buty krajowej roboty.

H. R. Ch.



Na wiosnę.

A ta stara kuźnia
Cicha w ziemie stała,
Teraz dźwiękiem młotów
Znow się rozgadała.

Trzeba przekuć konie,
Ponaostrzać brony,
Lemiesze oczyścić
Cóż za ruch szalony.

Kowal kuje młotem
Dmą w miech kowalczyki.
Lecą iskry złote
I dziarskie okrzyki:

Już spłynęły śniegi
Ziemię widać czarną,
Śpieszno nam, kowale,
W rolę rzucić ziarno!

H. R. Ch.



FABRYKA BIELIZNY I KRAWATÓW
pod firmą
ZAKŁADY PRZEMYSŁ. - HANDLOWE
CZARNOWSKI I JEZUITKOWSKI
Sp. z o. o.
WARSZAWA, UL. RYMARSKA 8
poleca swoje wyroby: bieliznę męską,
kołnierze białe sztywne, krawaty,
chustki męskie ozdobne i materiały
popielinowe na bieliznę z własnej tkalni
w Łodzi.

PIOSNKA SZARADZISTÓW

SZARADA

Ludzkiego życia szarą przedzę
 gdziegdzie zdobi złota nić.
 I choć radości, dużo nędzy...
 Siódmy-czwór-dwa... i lata pędzą,
 więc trzeba umieć pięknie żyć!
 Więc raz-dwa się ponure chwile
 nudy i troski barwić tak,
 by liszka stała się motylem,
 by stępał ostry strapiień sztylet,
 pogodnym stał się życia szlak.

My, szaradziści, wiemy o tym,
 że całość jest odtrutką zła,
 od nudy leczy podczas słoty,
 od grzechu broni w czas spiekoty
 „Rozrywek umysłowych” gra.

Nie jeden jednak mgnienia trwoni
 siedem-ósmego w igrach czczych
 i za uśmiechem płochym goni
 drugich-wspaktrzech, bo w agonii
 wznioślejszych uczuć widzi... szyk.
 W lokalu nocnym, w hucznym kole
 czas czwór-pięć wśród dymiących mis,
 w kielichu topi ucisk doli, —
 w trzy-szóstej przy zielonym stole
 znajduje szczęście... szczęście — zysk.

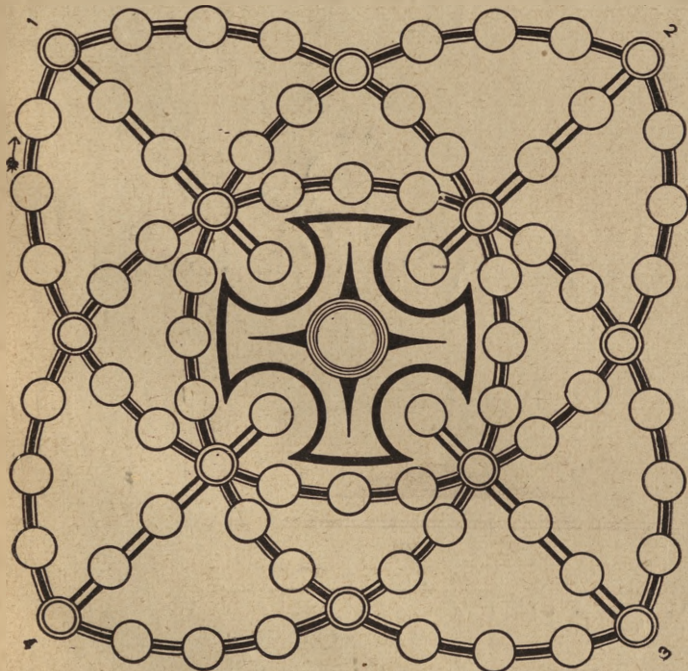
My, szaradziści, wiemy o tym,
 że całość tylko szczęście da
 przy grze umysłu. Myśli wzloty
 lżejszymi czynią losu młoty
 i spokój sięga serca dna.

Precz osiem-sześć zdradliwa starość
 i bieli coraz więcej skroń,
 a wtedy wstrętnych wspomnień mara
 siódmy-pięć sobą snuje szary
 miast kolorowych kwiatów woń.
 I głowa chyli się niziutko,
 wspakpierwsze-szóste biją w twarz...
 Bo przyszła pora wstydu, smutku,
 za znajdowanie uciech w brudku,
 za zaciemnionej życia blask.

My, szaradziści, wiemy o tym,
 że całość, to najlepszy lek,
 co zawsze chroni nas od błota,
 kołi zawody i kłopoty,
 od młodych lat po późny wiek.

K. Szumanowa
 (cz. Kl. Sz.).

CIĄGÓWKA



Poczynając od kółka oznaczonego kropką w kierunku strzałki po półkolech, należy wpisać wyrazy o podanych znaczeniach jednym ciągiem; ostatnia litera każdego wyrazu jest pierwszą następnego; poszczególne wyrazy krzyżują się ze sobą w odpowiednich miejscach. Dodatkowe wyrazy pięcioliterowe w rogach należy wpisać dośrodkowo. Dwanaście liter (w kółkach podwójnych) czytane rzędami poziomymi jednym ciągiem dadzą rozwiązanie zasadnicze.

Uwaga. Liczby w nawiasach oznaczają ilość liter danego wyrazu.

Znaczenie wyrazów ciągówki: 1. Jedna z najwyższych gór na Kaukazie (6). 2. Nieudana nuta w śpiewie (4).

3. Prawodawca Aten (5). 4. Dolna kończyna (4). 5. Miasto przy ujściu Donu do morza (4). 6. Pierwiastek chemiczny, składnik wody (7). 7. Tytuł znanego dzieła Boccaccio (9). 8. Robaki z rodziny oblenców (8). 9. W starożytności, jedno z większych miast Jonii (4). 10. Miasto w Syrii, na stokach Libanu (6). 11. Placa służbowa, żołądek (4). 12. Figiel, sztuczka (5). 13. Połączenie rozrzuconych gruntów w jedną całość (9). 14. Tętnicza sercowa (5). 15. Duńska miara cieczy (3). 16. Lekarz (5).
 Znaczenie wyrazów dośrodkowych: 1. Czasomierz. 2. Bania, arbuz. 3. Żyro. 4. Zjawy.

FIGIELKI REBUSOWE



„Kasta” (czł. Kl. Sz.).

DO WISŁY

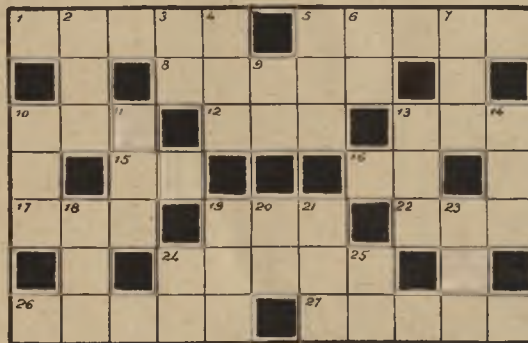
Każde rybaka wtór-raz-trzecie,
 które mozolnie raz-sześć ciebie
 i w łonie twoim wiry nieci,
 i szósta-piąta mew na niebie
 kocha się w tobie, jak w kobiecie.

W siódmym-czwór-szóstym nawiśniętym
 wspakdrugich, śniących nad wód falą,
 co się odbiciem w swych odmetach
 siedem-piętego słońca pałą,
 czają się czułki sentymentu.

...I w końcu biegu... kiedyś... potem...
 kiedy dosięga stóp Bałtyku,
 trój-czwarta woda nie kłopotem
 przejmując nas, bo jest to wykup
 tęsknoty łez i peret potu.

„Kasta” (czł. Kl. Sz.).

KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Wielkie drzwi, brama. 5. Prostack, gbur. 8. Drzewo z rodziny palmowatych. 10. Narzędzie wzroku. 12. Czas, epoka. 13. Znak zapytania. 15. Nuta. 16. Spółgłoska (fonet.). 17. Imię żeńskie (zdrobniale). 19. Miesiąc. 22. Papuga. 24. Narodowość. 26. Grający rolę w sztuce. 27. Młyn ręczny.

Znaczenie wyrazów pionowych: 2. Głos zwierząt. 3. Zaimek. 4. Piwo angielskie. 5. Struś amerykański. 6. Tuz inaczaj. 7. Uczynek, czyn. 9. Złoto (w j. ob.). 10. Rodzaj poezji wzniosłej. 11. Imię żeńskie (zdrobn.). 13. Kawał lodu. 14. Zaimek. 18. Bojaźń, przestrach. 19. Sciana z cegieł. 20. Miara powierzchni. 21. Zwierzę pokryte kołcami. 23. Panika na giełdzie. 24. Zaimek. 25. Litera (fonet.).
 J. Pulwarski (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązanie zadań (nawet jednego) przeznaczają Redakcja nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy (z dopiskiem: „Rozrywki umysłowe”).

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NUMERU STYCZNIOWEGO:

Szarada noworoczna: „Nowy Rok”.
 Krzyżówka świąteczna: „Gloria in excelsis Deo!”
 Szarada-kołoda: „Dosiego Roku wam szaradziści!”
 Szarada-życie: „Życie to surowa szkoła”.
 Rebus kołowy: „Chwała na wysokości, a pokój na ziemi”.
 Nagrody książkowe otrzymują: p. inż. Bogusław Dobrzyński z Warszawy i p. Janina Krzyżanowska z Wilna.
 L. K. (Kl. Sz.).

CHIŃSKIE CEREMONIE

Najgrzeczniejszym narodem na świecie są Chińczycy. Niedawno pewien cudzoziemiec, znający język chiński, podstuchił taką rozmowę między dwoma poważnymi chińskimi kupcami:

— Dostojny Wej-Ho-Li, twój niegodny sługa chce się ośmielić zrobić pewną uwagę, jeżeli twa łaskawość zechce jej wysłuchać...

— Czcigodny Kiu-Sin-Taju! Twój najniższy podnózek, marny robak, Wej-Ho-Li, już zamienił się cały w ucho i czeka, żeby twe przemądre słowa wpływały weń, jak ożywcza rosa do spragnionego kwiatu!

— Dostojny Wej-Ho-Li! Weksel, ozdobiony twym szlachetnym podpisem, nie został wykupiony w terminie! Twój niegodny sługa, ośmiela się zauważyć, że w razie, jeżeli twa łaskawość nie przypomni sobie jutro o wykupieniu tego weksla i nie zaszczyty twego niegodnego sługę Kiu-Sin-Taja przyniesieniem należnych stu dolarów, które będą za cześć przyjęte, jako przez ciebie, dostojny Wej-Ho-Li, dotknięte, to twój niegodny sługa, Kiu-Sin-Taj, połamie bambusową łaskę poważnej grubości na tych czcigodnych plecach!

NIEZUPEŁNIE

— Więc pan, panie mecenasie, obiecuje zastąpić mnie w tej sprawie całkowicie?

— No, niezupełnie. Przed sądem stanę w pańskim imieniu, ale odsiedzieć to już będzie pan musiał osobiście.

BLIŹNIĘTA



— Czego się śmiesz, smarkaczu?

— Zapomniałaś o mnie i kąpiesz po raz drugi Piotrusia.

ODRZUCONA PROPOZYCJA

Znakomity pisarz angielski, Shaw, otrzymał kiedyś od pewnej tancerki amerykańskiej list z następującą propozycją:

— Drogi mistrzu! Ma pan spośród wszystkich ludzi na świecie najwybitniejszy intelekt, ja znów uchodzę za jedną z najpiękniejszych kobiet na kuli ziemskiej. Czy nie sądzi pan, że z naszego związku powinno urodzić się dziecko tak doskonałe, jakiego świat nie widział?

Shaw w następujący sposób odpowiedział na list:

— Droga pani! Zgadzam się z panią najzupełniej, że posiadam najwybitniejszy intelekt na świecie, jak również nie wątpię, że pani jest najpiękniejszą zbudowaną kobietą na naszej kuli ziemskiej. Ale przecież może się zdarzyć, że nasze dziecko odziedziczy po mnie moje ciało, a po pani rozum. Z obawy przeto przed tą ewentualnością, sądzę, że lepiej będzie, jeśli odpowiem odmownie na pani miłą propozycję.

UPARTY DENTYSTA



Ucieczka z bólu...

NA ODCZYCIE



Sposób na zasypiających słuchaczy.

HUMOR POLITYCZNY

Były min. Eden nie lubi swego przeciwnika premiera Chamberlaina, nie uważa go w ogóle za polityka.

A propos tego będąc w Ameryce opowiadał podobno następującą anegdotkę:

— Sniło mi się, że umarłem, przychodzę do bram raju i pukam. „Kto tam?” — słyszę głos z wewnątrz.

— To minister Eden.

— Eden? Nic z tego nie będzie, tu nie przyjmujemy polityków.

— Jak to, przecież sam widziałem, jak przed chwilą wpuszczono tu Chamberlaina.

— Chamberlaina? — owszem, ale to pan go uważa za polityka?

PRZYTOMNOŚĆ UMYŚLU

Bandyta (przystawiając pistolet do piersi handlarza starzyzny): — Dawaj pieniądze, żydzie!

Handlarz: — Nu, co ja mogę dać za takie stare pukawkę... nu, 50 groszy.

REUMATYKOM

szczególnie dają się we znaki nagłe i częste zmiany pogody. Bóle reumatyczne i artretyczne uśmierza Total. Tabletki Total stosowane w dawkach po 2-3 tabletek 3 razy dziennie przynoszą ulgę w tych cierpieniach.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — 700 zł, 1/2 str. — 380 zł, 1/4 str. — 200 zł, 1/8 str. — 120 zł, 1/16 str. — 70 zł, 1/32 str. — 40 zł
 Za 1 mm rozm. 6 cm — 1.60 zł, za 1 mm rozm. 4,5 cm — 1.20 zł. — Miejsca zastrzeżone 50% drożej.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI: ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk.	Ameryka	2 dolary.
Francja	50 fr.	Inne kraje	6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł, KWARTALNA 1.50 zł. — CENA POJEDYŃCZEGO NUMERU — 50 gr.
 Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. nr 14.664 — Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (rachunek wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa-Śródmieście, Krakowskie Przedmieście 71. Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
 Drukarnia Archidiecezjalna, Warszawa-Śródmieście, Krak. Przedmieście 71.